Na str. 3-ej reportaż ze Śląska Opolskiego

10 GR

Warszawa, niedziela 8 grudnia 1935 r.

Opłata pocztowa uiszcz. ryczałtem

P R

Nr. 349 Rok X

ABC
NOWINY CODZIENNE

Rada Ministrów uchwaliła projekt amnestji
dla więźniów politycznych i kryminalnych

Rada Ministrów na wczorajszem posiedzeniu uchwaliła projekt ustawy amnestyjnej, na mocy którego więźniom politycznym, skazanym do jednego roku więzienia, kara będzie darowana w zupełności, skazanym od 1 do 5 lat — zmniejszona o połowę, a skazanym 5—10 lat o jedną trzecią.

Przestępcy kryminalni skazani na pół roku otrzymują całkowite darowanie kary, od pół roku do 3 lat — zmniejszenie kary o połowę, a skazani od 3 do 5 lat — zmniejszenie kary o jedną trzecią.

Co do emigracji politycznej, to projekt jej nie obejmuje i ci, którzy nie stawili się dla dsiedzenia kary, są spod amnestji wyłączeni. Data, od której amnestja będzie obowiązywać, jest 11 listopada b. r.

Projekt wniesiony będzie w najbliższych dniach do Sejmu, a rząd życzy sobie, by został uchwalony jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, tak, iżby ułaskawieni mogli natychmiast znaleźć się na wolności.

Projekt ustawy wyłącza przestępstwa karno - skarbowe, urzędnicze oraz prasowe o zniesławienie.

Tylko jedno Posiedzenie Sejmu przed świętami

Plenarne posiedzenie Sejmu odbędzie się prawdopodobnie w piątek i będzie ono jedynem przed świętami Bożego Narodzenia.

Senat w czwartek

Posiedzenie Senatu odbędzie się w czwartek, 12 b. m. o godz. 12-ej w poł. Na porządku dziennym jest wybór wicemarszałka, na miejsce dr. Świtalskiego, który złożył mandat, oraz wybór członków komisji budżetowej.

Polskie parowozy na kolejach chińskich

Na statku linji Gdynia — Daleki Wschód odpłynął do Szanghaju z Gdyni próbny parowóz dla kolei chińskich, wykonany przez fabrykę Cegielskiego w Poznaniu. Od egzaminu pierwszej polskiej lokomotywy w Chinach zależy zamówienie na dalsze 22 parowozy.

NASZE ABC

P. Laval na pełnem morzu

(g) Jeśliby politykę porównać z żeglugą po niepewnych wodach (bo przeważnie tak bywa), możnaby powiedzieć, że okręt p. Lavala przepłynął szczęśliwie przez trzecią i ostatnią z cieśnin, jakie mu zagrażały rozbiciem. Piszczały już żałośnie mewy, ostrzyły zęby rekiny — ostatecznie pokazało się, że najważniejszą rzeczą jest dobry sternik.

Z pierwszej próby, wstępnej, wyszedł gabinet francuski z bilansem 120 głosów większości; w drugiej, gdy chodziło o aprobatę jego polityki gospodarczej i dekretów oszczędnościowych, większość stopniała do 77; w trzeciej zaś, uważanej za najtrudniejszą, gdyż dotyczyła drażliwej kwestji orjentacji rządu w polityce wewnętrznej, większość wzrosła nawet do 132. Triumf całkowity.

Ale nie przesądzajmy. Nie zawsze tam najsilniejszy ogień, gdzie najwięcej dymu. Osią dyskusji była sprawa rozbrojenia lig, t. j. organizacyj wojskowo - politycznych, gotujących się do ewentualnego zamachu stanu. I oto prawica pierwsza oświadczyła, że się na to godzi, o ile tak samo będą rozbrojone ligi socjalistyczne i komunistyczne, z lewicy odpowiedziano gromkiem „Zgoda" — i burza się uciszyła.

Tak łatwo i szybko?

W gruncie rzeczy zaś zadecydował ten wzgląd, że w maju, a więc już za pół roku, mają się odbyć nowe wybory. Pocóż więc mobilizować „ulicę", skoro ona i tak dojdzie do głosu? Związki prawicowe przekształcą się w partje polityczne i będą starały się wejść do parlamentu: to im dobrze zrobi. Hitler także rozpoczął od organizowania oddziałów bojowych, ale zwyciężył w urnach wyborczych — gdy potrafił rozbudzić ruch masowy.

P. Laval odzyskuje więc swobodę ruchów w polityce zagranicznej i — co ważniejsza — jego partnerzy wiedzą już teraz, że w miesiącach najbliższych kierownictwo polityki francuskiej nie ulegnie zmianie. To jest dla Europy pozytywna korzyść, gdyż największą trudność stanowi operowanie niewiadomemi.

Korzyść zaś jest tem większa, iż niema bardziej od p. Lavala zdecydowanego zwolennika pokojowego i polubownego załatwienia konfliktu z Włochami.

Spekulacja węglowa przełamana
Aresztowanie 66 składników węglowych

Z dniem dzisiejszym miała obowiązywać nowa cena węgla, w wysokości 48.5 gr. za 10 kg. kostki I. Tymczasem Centralny Związek Detalicznego Kupiectwa Ch. R. P. wydał cennik, który określa, że detalista godziwy zysk osiągnie dopiero przy cenie 52 gr. za 10 kg. najlepszego węgla.

Wczoraj wszyscy detaliści nie zastosowali się do ceny ustawowej, lecz sprzedawali węgiel po cenach określonych przez C. Z. D. K. Za niestosowanie się do cen ustawowych i nieujawnienie cen, zgodnie z obowiązującemi przepisami, policja aresztowała w śródmieściu 30 składników węglowych.

Są to: Eugenjusz Skorewski (Bracka 22), Stanisław Cieślak (Żórawia 11), Julja Podgorska (Chmielna 32), Ignacy Kusio (Topiel 18), Jan Wajtyński (Widok 2), Jan Kownawski (Chmielna 6), Franciszka Cymerung (Tamka 39), Ewa Wądołowska (Tamka 32), Michał Krasnodębski (Złota 4), Władysław Rydowiecki (Chmielna 23), Wiktorja Wyganowska (Szpitalna 4), Piotr Wiernik (Solec 54), Dawid Jankielewicz (Solec 62), Ludwik Kusowski (Topiel 7), Stanisław Chmielak (Czerwonego Krzyża 4), Kacper Młodowski (Solec 109), Jan Skupniewski (Widok 12), Józef Wudarkiewicz (Czerwonego Krzyża 1), Józef Popławski (Tamka 22/24), Jan Siarkiewicz (Topiel 7), Władysława Puchalska (Złota 5), Bronisława Olszewska (Szpitalna 10), Stanisława Marciszewska (Leszczyńska 11), Anastazja Dąbrowska (Dobra 36), Władysław Jasiński (Dobra 39), Marja Rosińska (Zajęcza 11), Stanisław Nowak (Sienkiewicza 3), Jan Bogacz (Nowogrodzka 22), Józef Grzybowski (Al. Jerozolimska 27) i Zofja Rokicińska (Żórawia 32).

Zatrzymani zostali ulokowani w aresztach przy poszczególnych komisarjatach P. P. do czasu ukończenia dochodzeń i przeprowadzenia rozpraw karnych.

Aresztowano również prezesa Centr. związku detalicznego kupiectwa, Henryka Hallera (ul. Chmielna 20) i sekretarza Eugenjusza Michalaka (Rozbrat 36). Czeka ich sprawa karna o wprowadzenie węglarzy w błąd i nakłanianie ich do nieprzestrzegania zarządzeń.

NA PRADZE

Z polecenia starosty grodzkiego prasko - warszawskiego doprowadzono na rozprawę karną Marjannę Adamską (Radzymińska 26) za odmowę sprzedaży węgla i niewystawienie cennika. Sąd starościński skazał ją na t. dzień bezwzględnego aresztu i 100 zł. grywny.

Pozatem w ciągu dnia sobotniego odbyło się w starostwie 16 rozpraw karnych, w których za brak cenników wymierzono kary grzywny w wysokości od 10 zł. do 300 zł. z zamianą na areszt.

Śród zatrzymanych kilkunastu właśc. składów opałowych są: Rubin Psachowski (Białostocka 2), Antoni Wajnberg (Ząbkowska 48), Zofja Kostyńska (Ząbkowska 45), Józefa Iglińska (Grochowska 11), Jan Prus (Tarchomińska 10), Antonina Kamińska (Zamoyskiego 43) i in.

Niezależnie od tego czterech urzędników starostwa będzie codziennie kontrolowało ceny węgla w terenie i w razie stwierdzenia żądania cen wyższych winni będą doprowadzeni do starostwa na rozprawy.

NA PRZEDMIEŚCIACH

Na terenie starostwa grodzkiego południowo - warszawskiego zatrzymano 17 właścicieli detalicznych składów węgla za pobieranie nadmiernych cen za węgiel i nieujawnienie cen. W wyniku przeprowadzonego dochodzenia, sześć składów unieruchomiono przez opieczętowanie, a mianowicie: Chawy Gastman przy ul. Sosnowej 18, Jana Dierżyły przy ul. Złotej 20, Stanisława Szewczyka przy ul. Sosnowej 9, Reginy Fiszman przy ul. Siennej 19, Andrzeja Kwiatkowskiego przy ul. Czerniakowskiej 106 i Julji Górzyńskiej przy ul. Czerniakowskiej 112. Ponadto pięć osób już w ciągu soboty stanęło przed sądem starościńskim, który skazał Antoniego Ozdobskiego (Wronia 22, Katarzynę Ryszkowską (Prosta 38), Hipolita Kowalczyka (6-go Sierpnia 36), Franciszka Ziółkowskiego (Puławska 23) i Franciszka Wiśniewskiego (Olesińska 6) każdego od 2 do 4 tygodni bezwzględnego aresztu.

SANKCJE

Niezależnie od tego badane są obecnie uprawnienia koncesyjne wszystkich zatrzymanych w celu ewentualnego cofnięcia koncesji w związku z nielojalnem ich stosunkiem do zarządzeń władz państwowych.

Niezależnie od dotychczasowych wyników akcji przestrzegania pobierania godziwych cen za węgiel, starostwo grodzkie śródmiejsko - warszawskie przeprowadziło w sobotę dalszą dokładną kontrolę wszystkich składów węgla, położonych w obrębie starostwa.

Winni niestosowania się do obowiązujących zarządzeń będą również zatrzymywani.

ZNIŻKA CEN WĘGLA W HURCIE

Z dniem wczorajszym wszystkie hurtownie węglowe i miejskie zakłady opałowe zaczęły sprzedawać węgiel „kostkę" po 39.5 zł. za tonnę, a węgiel gruby (orzech I) po 38 zł.

Dzisiejszy numer „ABC" zawiera 14 stron druku

a mianowicie 8 stron normalnego numeru i 6 stron bezpłatnego dodatku z początkiem

powieści Zygmunta Jurkowskiego (Jura)

„Księżycowe interesy"

Dalszy ciąg tej świetnej powieści satyryczno - obyczajowej ukazywać się będzie od poniedziałku w „ABC" w odcinkach, obok zbliżającej się już do zakończenia powieści Croisseta „Dama z Malakki".

Autorem „Księżycowych interesów" jest dobrze znany czytelnikom naszym feljetonista Jur, który w formie powieściowej okazuje się niemniej doskonałym i dowcipnym pisarzem.

Wydatne obniżenie cen chleba i bułek

Wczoraj odbyła się u p. wojewody Jaroszewicza konferencja 14 delegatów następujących ugrupowań piekarstwa warszawsk.: cechu piekarzy m. stoł. Warszawy, cechu zrzeszonych piekarzy m. stoł. Warszawy oraz koła mistrzów piekarskich przy Związku Rzemieśników Chrześcijan.

Piekarze zadeklarowali dobrowolnie obniżkę ceny pieczywa, poczynając od poniedziałku, 9 b. m. Cena chleba pytlowego obniżona będzie z 30 do 26 gr., razowego z 24 do 20 gr. i bułek (wodnych i warszawianek) z 5 do 4 gr., wszystko w sprzedaży detalicznej. W ten sposób zniżka wyniesie cztery grosze na kilogramie chleba pytlowego i razowego i grosz na bułce.

Obniżkę tę zadeklarowano do 15 stycznia 1936 r., wychodząc z obecnych cen surowca i kosztów wypieku. W razie zmiany elementów kalkulacji, powyższe ceny ulegną rewizji. Wojewoda Jaroszewicz zapewnił obecnych delegatów piekarstwa stołecznego o pomocy Komisarjatu Rządu w zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, dokonywanej głównie przez niestosowanie się do ustawodawstwa społecznego oraz uchylanie się od świadczeń skarbowych.

Wręczenie insygniów kardynalskich
ks. nuncjuszowi apostolskiemu

W końcu grudnia r. b. przybywa do Warszawy kapitan gwardji papieskiej, hr. Piotr Pietromarchi, w celu doręczenia ks. nuncjuszowi apostolskiemu Fr. Marmaggiemu pierwszej oznaki jego godności kardynalskiej — piuski purpurowej. Akt wręczenia piuski odbędzie się w apartamentach Nuncjatury warszawskiej w dn. 30 b. m. o godz. 5 pp.

Dnia 1 stycznia 1936 r. ks. nuncjusz — zwyczajem lat ubiegłych — złoży na Zamku w imieniu korpusu dyplomatycznego życzenia noworoczne P. Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Uroczystość wręczenia księdzu nuncjuszowi biretu kardynalskiego przez P. Prezydenta odbędzie się na Zamku według wszelkiego prawdopodobieństwa w dniu 4-go stycznia 1936 r. Specjalny ceremonjał towarzyszy aktowi wręczania przez głowę państwa biretu purpurowego nowokreowanemu kardynałowi.

Włoskie torpedy powietrzne
spadły na kwaterę cesarza abisyńskiego

ADDIS ABEBA, 7. 12. Otrzymano z Dessie szczegółowe informacje, dotyczące ostatniego bombardowania przez samoloty włoskie. Miasto oraz główna kwatera cesarska, częściowo zniszczone. Trzykrotne napady eskadr włoskich wywołały mnóstwo pożarów. Jak się okazuje, lotnicy włoscy rzucali nietylko bomby zwykłe i zapalające, lecz i torpedy powietrzne.

Zatrudnieni w Dessie lekarze - cudzoziemcy, w liczbie dziewięciu oświadczyli przedstawicielom prasy, że wiele bomb padło na amerykański szpital Czerwonego Krzyża. Pierwsza bomba trafiła w ambulans, pięć następnych bomb spadło na szpital im. Taffari Makomena, ojca negusa. Sala operacyjna jest zniszczona, a jedna z sióstr miłosierdzia, nazwiskiem Hawig, odniosła jakoby ranę. Pozatem inna bomba zniszczyła namiot chirurgiczny dr. Dassiusa w odległości 200 m. od zabudowań szpitalnych.

Lekarze amerykańscy mieli stwierdzić, że wszystkie zabudowania szpitalne były zaopatrzone w emblematy Czerwonego Krzyża. Lekarze ci protestują i zwracają uwagę rządów na fakt, że Włosi zrzucili eksplodujące i zapalające bomby na szpital. Wskutek ogromnego bombardowania zginęło przeszło 10 osób.

RZYM, 7. 12. — Prasa włoska przypomina, że w miastach abisyńskich wszystkie gmachy publiczne, a nawet domy prywatne są przyozdobione chorągwiami Czerwonego Krzyża. Zarzut, jakoby lotnicy włoscy mieli rozmyślnie zbombardować szpital, jest bezsensowny.

TRZY KIERUNKI PRZYSZŁEJ OFENZYWY

ASMARA, 7. 12. (PAT.). — Korespondent PAT'a w Asmarze donosi:

Od czasu wykonania poprzedniego ruchu zaczepnego upływa już miesiąc czasu. Zgodnie z przewidywaniami, czas ten zużyto na wyrównanie linji frontu z północnego zachodu na południowy wschód, wzdłuż rzeki Tacazze i jej dopływów, przechodzących na południe od Makalle. Wkrótce możliwy jest nowy ruch naprzód.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie żadnego oporu ze strony Abisyńczyków. W razie rozpoczęcia ponownej ofenzywy możliwa jest ona w trzech kierunkach: 1) z nad rzeki Selitu na południe, 2) z rejonu Adua - Axum w ogólnym kierunku na Gondar, 3) Makalle w kierunku na Amba - Alagi. Za tym kierunkiem przemawiałoby znaczne nagromadzenie sił pod Makalle, nagromadzenie tamże zwierząt jucznych, chęć zajęcia Amba - Alagi, która już była w rękach włoskich w r. 1895.

Który kierunek ofenzywy zostanie wybrany w rzeczywistości, trudno przewidzieć.

Kongres ludowców
rozpoczął wczoraj obrady

Wczoraj, w sobotę, rozpoczął się dwudniowy kongres Stronnictwa Ludowego, na który przybyło około 450 delegatów z różnych stron kraju. Obrady zagaił Jan Tepper, pełniący obowiązki prezesa kongresu; przewodniczącym kongresu wybrano p. Stanisława Thugutta.

Referat polityczny wygłosił p. Maciej Rataj, poczem dokonano wyboru trzech komisyj: programowej (przewodniczący Thugutt, referent Kuncewicz), politycznej (przew. Gruszka, ref. Rataj) i statutowej (przew. Grudziński, ref. Graliński). Po popołudniu obradowały komisje, które przedstawią swe sprawozdania kongresowi w dniu dzisiejszym. Dziś uchwalane będą rezolucje i dokonane wybory władz stronnictwa.

Swiadkowie rozpoznają
Płaszcz Maciejki-Olszańskiego
Eksperymenty optyczne w sądzie

Wczorajsze posiedzenie sądu rozpoczęło się o godz. 10.35.

Na ławie oskarżonych znajduje się dziś Jarosław Karpyniec, który zarządzeniem przewodniczącego w dn. 5 b. m. za niewłaściwe zachowanie się usunięty został z sali sądowej na przeciąg dwóch dni.

Na wstępie przewodniczący sędzia Posemkiewicz, w myśl przepisów K. P. K., streścił zeznania świadków zbadanych podczas nieobecności osk. Karpyńca. Obrońca osk. Bandery, adw. Horbowyj, nawiązując do zawiadomienia przewodniczącego z dnia 3 b. m., iż osk. Bandera zgłosił do zarządu więzienia żądanie, by umieszczono go spowrotem w odosobnieniu, zaznacza, iż osk. Bandera takiego oświadczenia nie składał.

Przewodniczący zarządza wciągnięcie oświadczenia adw. Horbowego do protokułu i zaznacza, że okoliczność ta będzie sprawdzona.

Następnie sąd przystępuje do dalszego badania świadków. Jako pierwszy zeznaje św. Błażej Żołądek, woźny w schronisku przy ul. Wolskiej w Warszawie.

Na kilka dni przed zabójstwem ś. p. min. Pierackiego przyszedł do schroniska młody człowiek, podający się za Olszańskiego z prośbą o przenocowanie. Po omówieniu ze świadkiem warunków pobytu w schronisku, rzekomy Olszański wyszedł i wrócił wieczorem na nocleg. Zapłacił zgóry za trzy noce, miał z sobą teczkę koloru bronzowego.

Świadkowi okazywano w śledztwie kapelusz, znaleziony na ulicy podczas pościgu sprawcy zabójstwa, lecz wydał mu się jaśniejszym, niż kapelusz, jaki miał Olszański.

W dniu zabójstwa Olszański wyszedł jak zwykle koło godz. 8-ej rano początkowo nie chciał wziąć płaszcza i kapelusza, mówiąc, że przyjdzie po te rzeczy pewna kobieta, później jednak zdecydował się wziąć je z sobą.

WOŹNY ŻOŁĄDEK OGLĄDA UBRANIE MACIEJKI

Sąd zarządza okazanie świadkowi płaszcza, kapelusza i teczki Olszańskiego. Świadek podaje, iż kolor płaszcza jest taki sam, rozmiary i kolor teczki również, kapelusz natomiast jest nieco jaśniejszy. Na pytanie prok. Żeleńskiego wyjaśnia, że kapelusz widział w ciemnym pokoju schroniska.

Na wniosek obrońcy adw. Szłapaka sąd poleca świadkowi udać się z kapeluszem w ciemniejszą część sali sądowej, gdzieby światło było mniej więcej takie, jak w owym pokoju schroniska, poczem świadek stwierdza, że w tem świetle kapelusz okazany mu jest tego samego koloru co kapelusz Olszańskiego.

TURYSTA ZE LWOWA

Św. Marja Behrowa zarządzająca schroniskiem przy ul. Wolskiej zeznaje, iż 12 czerwca 1931 r. zgłosił się do schroniska rzekomy Olszański, po wynajęciu noclegu Olszański wyszedł i wrócił wieczorem, przyczem okazał dowód osobisty, wydany przez magistrat miasta Lwowa i zdeponował u świadka kwotę 57 zł., zegarek i teczkę.

Mówił, że przybył do Warszawy celem jej zwiedzenia.

Był wzrostu średniego, szerocki w barach, lecz lekko pochylony, włosy miał ciemne o złotawym odcieniu, zaczesane do góry, wargi wydatne, miał na sobie ubranie szaro-bronzowe w kratkę i długie spodnie. Płaszcz Olszańskiego świadek widziała dwukrotnie: w dniu przybycia Olszańskiego i w dniu jego zniknięcia. W tym ostatnim dniu płaszcz wydał się świadkowi ciemniejszy.

Sąd zarządza okazanie świadkowi płaszcza, znajdującego się w dowodach rzeczowych, w których świadek rozpoznaje jako podobniejszy do płaszcza, który widziała w dniu zniknięcia Olszańskiego. Widziany w dniu przybycia Olszańskiego płaszcz posiadał według świadka podszewkę krótką do połowy.

W dniu zniknięcia Olszańskiego podszewki nie widziała. Kapelusz Olszańskiego wydawał się świadkowi wówczas ciemniejszy, być może jednak dlatego, że go widziała w ciemnym pokoju.

Olszański mówił świadkowi, że chodzi się kąpać i że jest doskonałym pływakiem, zdobywcą nagrody w zawodach. Wydawał się zawsze jakby przestraszony, czasem chciał coś powiedzieć, lecz wycofywał się, był skryty i małomówny.

FOTOGRAFJE MACIEJKI

Na wniosek prok. Żeleńskiego Sąd odczytuje niektóre ustępy zeznania świadka złożone w śledztwie, kiedy zarządzająca schroniskiem dokładniej określała wygląd rzekomego Olszańskiego oraz okoliczności w jakich widziała płaszcz i kapelusz.

Na wniosek prok. Żeleńskiego okazano świadkowi 4 fotografje Maciejki. W jednej z nich świadek upatruje duże podobieństwo do Olszańskiego, w innych zaś pewne różnice.

ZŁE PRZECZUCIA ŚWIADKA

Na pytania obrony świadek wyjaśnia, że co do rzekomego Olszańskiego miała jakieś tragiczne przeczucia. Świadek ostrzegała go nawet przed kąpielą w Wiśle. Miała ona wrażenie, że Olszański chce jej coś zlecić, lub o coś zapytać. Zawartości teczki nie zna, a nawet nie dotykała jej. Co do kapelusza, to widziała na wieszaku kilka kapeluszy. Kapelusz o którym myślała, że jest Olszańskiego, był z włosem, jakby pilśniowy, kapelusz ten mógł jednak należeć do innej osoby.

Z zeznań tych wynika, że dnia 22 maja 1934 r. do księgarni Kozłowskiego przybyli Łebed i Hnatkiwska, przyczem Łebed zaabonował książki na nazwisko Haliny Zarzeckiej, zamieszkałej przy ul. Brackiej nr. 6. Ostatnią książkę Łebed zwrócił 15 czerwca, to jest w dniu zabójstwa min. Pierackiego.

CZARNY I ZIELONY PŁASZCZ ŁEBEDA

Świadek potwierdza swoje zeznania ze śledztwa, a na pytania obrony podaje, iż Łebed przychodził bądź w płaszczu zielonym, bądź w czarnym.

Adw. Hankiewicz wnosi o okazanie świadkowi płaszcza znajdującego się w dowodach rzeczowych.

Przewodniczący zapytuje obrońcę, czy twierdzi on, iż płaszcz załączony do sprawy (płaszcz Olszańskiego - Maciejki) jest płaszczem osk. Łebeda. Adw. Hankiewicz oświadcza, iż tak nie twierdzi. Przewodniczący nie uwzględnia wniosku obrońcy, oświadczając, iż sprawa ta nie ma znaczenia.

Adw. Hankiewicz prosi o uchwałę w tym względzie całego Trybunału. Sąd postanawia utrzymać w mocy zarządzenie przewodniczącego.

O godz. 13.15 przewodniczący zarządził przerwę obiadową.

SŁUŻĄCA Z MIESZKANIA ŁEBEDA

Po przerwie, która się zakończyła o godz. 14.30, przystąpiono do badania Św. Józefy Kuszewskiej, która była służącą u p. Emilji Kuszerowej, na ul. Koszykowej 19. U p. Kuszerowej mieszkał przez miesiąc osk. Łebed, podając się wówczas za Swaryczewskiego.

Przew.: — A który to jest spośród oskarżonych ten Swaryczewski?

Św. Kuszewska: — Zdaje się, że to ten (wskazuje na osk. Łebeda).

Osk. Łebed, przytakując głową, mówi, chcąc zapobiec wahaniu świadka:

— Tak, tak, tak.

Przew.: — Proszę oskarżonego nie dawać żadnych znaków.

Św. Kuszewska: — Ostatni raz widziałam go w dniu zabójstwa min. Pierackiego. Wyszedł rano, po śniadaniu, wrócił do domu ok. godz. 6-ej popołudniu. Brał wtedy wodę z pokoju kąpielowego. Był bardzo zdenerwowany i ręce mu się tak trzęsły, że nawet rozlał wodę, którą niósł w szklance. Słyszałam, jak Łebed powiedział do p. Glicensteinowej: „Jestem zdenerwowany, bo zabili ministra“. Przychodziła do niego jakaś pani. Pani Kuszerowa mówiła, że jest to jego narzeczona.

Przew.: — A czy jąby pani poznała?

Św. Kuszewska przyglądając się ławie oskarżonych: — Nie, nie mogę poznać, ale to może dlatego, że jej dobrze nie widziałam. Później pukała ona ze schodów do pokoju Swaryczewskiego i ten jej sam otwierał drzwi.

Przew.: — Oskarżona Hnatkiwska, proszę wstać.

Hnatkiwska wstaje, jednak świadek jej nie poznaje.

Św. Kuszewska: — Swaryczewski wyjechał 16 czerwca zrana. Naszykowałam mu śniadanie, jednak po umyciu się wyszedł i śniadania nie zjadł.

Na wniosek prok. Żeleńskiego sąd wobec kilku sprzeczności w zeznaniach tego świadka postanowił, odczytać zeznania, złożone przez nią w śledztwie.

ŁEBED I „SWARYCZEWSKI“

Św. Kuszewska całkowicie potwierdziła swoje poprzednie zeznania.

Adw. Hankiewicz: — Jakie różnice są między oskarżonym Łebedem a tym Swaryczewskim?

Św. Kuszewska: — Ten lepiej teraz wygląda.

Adw. Hankiewicz: — Kiedy i gdzie po raz ostatni pani widziała Swaryczewskiego.

Św. Kuszewska: — 16 czerwca rano, w łazience.

Świadkowi okazano płaszcz oskarżonego Łebeda, zabrany mu w Berlinie, jednak świadek nie rozpoznała go.

Po przesłuchaniu tego świadka, adw. Hankiewicz prosił sąd o dodatkowe przesłuchanie już zbadanego św. Trzcińskiego, który miał widzieć w Warszawie Fedynę.

Prok. Żeleński: — Wobec tego, że obrona ma w tym procesie utrudnione zadanie, nie może pamiętać bardzo obszernych akt sprawy i złożonych w śledztwie zeznań, przychylam się do tego wniosku.

Sąd postanowił decyzję w tym przedmiocie powziąć później.

Bandera chce być sam

Po przerwie przewodniczący stwierdza, że w świetle uzyskanych informacyj urzędowych oświadczenie obrońcy osk. Bandery, jakoby Bandera nie prosił o pozostawienie go nadal w celi pojedyńczej nie odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, albowiem ponownie stwierdzone zostało w sposób kategoryczny, iż osk. Stefan Bandera istotnie prosił władze więzienne o pozostawienie go w celi pojedyńczej.

POSTERUNKOWY TRZCIŃSKI

Dalej zeznawał św. Stanisław Trzciński, posterunkowy Policji Państwowej. Pełnił on służbę w maju i czerwcu 1934 r. przy gmachu Min. Spraw Wewn. Świadek widywał w tym czasie 5 do 6 razy osk. Łebeda, którego rozpoznaje wśród oskarżonych. Łebed przechadzał się vis a vis Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 10 do 15 minut, obserwując gmach. Świadek widział go również na Krakowskiem Przedmieściu. Łebed zawsze bywał sam.

Adw. Hankiewicz wnosi o odczytanie zeznań świadka w śledztwie w całości, uważając, iż w zeznaniach świadka są sprzeczności. Przewodniczący stwierdza, że sprzeczności w zeznaniach świadka nie upatruje.

PODANIE ŁEBEDA

Następny św. Alojzy Zacharski, st. strażnik więzienia Mokotowskiego, zeznaje, iż osk. Łebed kilkakrotnie zwracał się do świadka o papier do napisania jakiegoś podania. Przewodniczący stwierdza, że w aktach sprawy znajduje się podanie osk. Łebeda, poczem Sąd okazuje świadkowi to podanie. Świadek stwierdza, że podanie w jego obecności pisał oskarżony Łebed.

Para „narzeczonych“

ŁEBED I HNATKIWSKA W CZYTELNI

Dalej zeznaje św. Janina Kalinowska, pracownica księgarni Kozłowskiego w Warszawie przy ul. Wspólnej 44. Na pytanie przewodniczącego, czy poznaje kogoś z oskarżonych, świadek stwierdza, iż poznaje Łebeda i Hnatkiwską, jako tych, którzy przychodzili do księgarni i wypożyczali książki.

Ponieważ świadek dokładnie dziś nie pamięta szczegółów, sąd postanawia odczytać jej zeznania, złożone w śledztwie. Z zeznań

Nadużycia na poczcie
Goniec zdefraudował 1800 zł.

W czasie kontroli urzędu pocztowego Warszawa IV, komisja stwierdziła nadużycia, wynoszące około 1800 zł. Po dłuższych badaniach stwierdzono, iż była to suma 1800 zł. 85 gr., przywłaszczona przez jednego z gońców tego urzędu, Józefa Kaszewskiego. Zawiadomiono władze policyjne, które ustaliły, iż Kaszewski zameldowany jest w Ząbkach, jednak nie było go w domu w czasie przybycia policji. Poszukiwania za zbiegiem trwają.

Dzisiaj w godzinach przedpołudniowych, Kaszewski zadzwonił do urzędu pocztowego, zawiadamiając naczelnika, iż natychmiast odeśle zdefraudowane pieniądze, pod warunkiem, że policja przestanie go ścigać. Pomimo upływu kilku godzin, pieniądze od Kaszewskiego nie wpłynęły. Policja w dalszym ciągu poszukuje defraudanta.

Wzmożona ilość zatargów
w przedsiębiorstwach przemysłowych

Ostatnie tygodnie przyniosły wzmożoną ilość zatargów w przedsiębiorstwach przemysłowych spowodu zalegania przez fabryki z wypłatą zarobków robotniczych.

W fabryce dykt pod Wilnem robotnicy zastrajkowali, ponieważ od szeregu tygodni nie otrzymują zarobków.

W hucie szkła w Krośnie zaległe zarobki robotnicze wyniosły 25 tysięcy złotych. Robotnicy podjęli strajk. Po kilku dniach strajku huta wypłaciła 6 tysięcy złotych na poczet zaległości i robotnicy wrócili do pracy.

W warszawskiej fabryce wyrobów metalowych „Pelikan“ robotnicy zastrajkowali, ponieważ od 4 tygodni nie otrzymali zarobków.

W przemyśle łódzkim w kilku mniejszych fabrykach rozegrały się zatargi na tle zaległości w wypłacie zarobków i należności urlopowych. Robotnicy chwytają się często metody strajku okupacyjnego celem uzyskania swych pretensyj.

Zbyt częste rewizje
w autobusach międzymiastowych

Pasażerowie międzymiastowych linij autobusowych skarżą się na sposoby przeprowadzania rewizyj w autobusach przez policjantów. Autobusy zatrzymywane są na szosach niekiedy nawet na 20 minut, co powoduje wielkie opóźnienia w rozkładzie jazdy i naraża na przykre konsekwencje podróżnych, zdążających do pracy lub mających do załatwienia terminowe sprawy.

Policjanci dokonują często osobistej rewizji obsługi autobusów, rewidują osobisty bagaż pasażerów, kwestionują ilość przewożonego bagażu, przyczem sposób traktowania zarówno obsługi autobusów, jak i podróżnych pozostawia wiele do życzenia.

Obniżka danin
komunalnych
wyniesie 24,5 milj. zł.

Dekret o obniżce danin komunalnych jest przedmiotem szczególnego zainteresowania w kołach samorządowych. Obliczono, iż przewidziane w dekrecie zmniejszenie obciążenia daninami komunalnemi wyniesie w sumie globalnej około 24.5 milj. zł.

Suma ta wpłynie przedewszystkiem na zmniejszenie obciążenia wsi.

Wysyłka drzeworytów na prowincję
Wzory ramek zaprojektowane przez artystów

Wczoraj większość drzeworytów, zamówionych przez subskrybentów, prowincjonalnych, została już wysłana i począwszy od poniedziałku subskrybenci prowincjonalni będą już otrzymywać zamówione prace grafików.

Drzeworyty zostały starannie opakowane, najpierw w kopertę miękką, a następnie w twardą, tekturową kopertę, najzupełniej zabezpieczającą drzeworyty od jakiegokolwiek uszkodzenia w czasie przesyłki.

Redakcja „ABC“ otrzymała kilka listów od subskrybentów prowincjonalnych z prośba o zajęcie się oprawą drzeworytów. W czasie subskrypcji podkreślaliśmy kilkakrotnie, że redakcja nie może podjąć się załatwienia oprawy drzeworytów, obecnie więc raz jeszcze wyjaśniamy, że drzeworyty przesyłane są w passe-partout i że ze względów związanych z techniką wysyłki redakcja „ABC“ nie podejmuje się oddawania drzeworytów do oprawy.

WZORY OPRAW

Subskrybenci prowincjonalni mogą jednak oprawić drzeworyty dokładnie według wzorów, zaprojektowanych przez artystów, ponieważ począwszy od dzisiejszego numeru „ABC“ będziemy podawać opisy wzorcowych opraw.

Prof. Edmund Bartłomiejczyk radzi swój drzeworyt „W lesie“ oprawić w wąską ramkę srebrną o profilu trójkątnym.

Stan. Ostoja-Chrostowski zaprojektował dla swego drzeworytu „Zraniony jeleń“ wąską ramkę trójgraniastą, po stronie wewnętrznej złotawo-pomarańczową, po stronie zewnętrznej ciemno-bronzową.

Tadeusz Cieślewski nadesłał swój drzeworyt „Kamienne schodki“ na wystawę ramek w redakcji „ABC“, oprawiony w szerszą nieco ramkę srebrną z paskiem czerwonym. Profil ramki jest owalny — jest to t. zw. przez ramiarzy „wałeczek“.

Wiktorja Goryńska oprawiła swój drzeworyt „Pstrokata angora“ w ramkę czeczotkową z czarnym paskiem na brzegach. Ramka ma profil prostokątny.

Bogna Krasnodębska-Gardowska radzi swój drzeworyt „Stary port“ oprawić w ramkę złotą z czerwonym paskiem.

Wiktor Podoski swój drzeworyt „Nad morzem“ oprawił w ramkę o wąskich srebrnych brzegach i szerszym pasku granatowym w środku.

Marja Dunin nadesłała na wystawę ramek swój drzeworyt „Madonna“, oprawiony w dość szeroką ramkę koloru mahoniowego z wąskim czarnym paskiem na brzegu.

Konstanty Sopoćko dla swego drzeworytu „Chrystus błogosławiący morze“ wybrał wąską ramkę srebrną.

Tadeusz Kulisiewicz radzi swój drzeworyt „Muzykanci“ oprawić w wąską ramkę drewnianą dębową, niebarwioną, naturalnego koloru drzewa.

Konrad Śrzednicki drzeworyt „Przed dworkiem“ oprawił w ramki srebrne.

Salomea Hładki drzeworyt „Wiosna“ oprawiła w szeroką (3 cm.) ramkę jesionową, naturalnego koloru drzewa.

Ludwik Gardowski dla swego drzeworytu „Satyr i bachantka“ wybrał wąską ramkę srebrną.

Marja Rużycka na wystawę ramek nadesłała swój drzeworyt oprawiony w wąską, ciemną, politurowaną ramkę drewnianą.

Ogólne wskazówki oprawy znajdą wszyscy subskrybenci w art. W. Podoskiego: „Drzeworyt na ścianie“, zamieszczonym na str. 5-ej dzisiejszego numeru.

Warszawska giełda pieniężna
w dniu 7 grudnia

Dewizy: Belgja 89.25; Holandja 359.80; Londyn 26.12; Nowy Jork (kabel) 5.29¾; Paryż 35.01; Praga 21.97; Szwajcarja 172.02; Stokholm 134.65; Berlin 213.45.

Obroty dewizami małe, przy tendencji przeważnie słabszej. Banknoty dolarowe w obrotach prywatnych 5.30—5.29½; rubel złoty 4.78; dolar złoty 9.01.

W obrotach prywatnych marki niem. (banknoty) 139.00; funty ang. (banknoty) 26.10.

Papiery procentowe: 3 proc. poż. budowlana 40.00; 7 proc. poż. stabilizacyjna 63.50—63.00—64.00; 4 proc. państw. poż. premjowa dolarowa 52.75; 5 proc. konwersyjna 63.50; 6 proc. poż. dolarowa 79.75; 8 proc. L. Z. Banku gosp. kraj. 94.00; 8 pr. oblig. Banku gosp. kraj. 94.00; 7 pr. L. Z. Banku gosp. kraj. 83.25; 7 pr. oblig. Banku gosp. kraj. 83.25; 8 pr. L. Z. Banku rolnego 94.00; 7 proc. L. Z. Banku rolnego 83.25; 4,5 proc. L. Z. ziemskie 44.50—44.13—44.25; 5 proc. L. Z. Warszawy 58.50; 5 pr. L. Z. Warszawy (1933 r.) 53.00—53.50—53.00.

Akcje: Bank Polski 96.00; Warsz. Tow. Fabr. Cukru 33.75; Lilpop 7.25; Ostrowiec 19.50; Starachowice 31.75.

Dla pożyczek państwowych i listów zastawnych tendencja przeważnie mocniejsza, dla akcyj niejednolita. 8 proc. poż. z r. 1925 (Dillonowska) 93.50 (w proc.); 7 proc. poż. śląska 71.75—71 i siedem ósmych (w proc.); 7 proc. poż. m. Warsz. (Magistrat) 70.00

Listy ze Śląska Opolskiego

Niedobry przykład z Polski

O organizacjach polskich na Śląsku Opolskim

Opole, w listopadzie.

Organizacja życia polskiego na Śląsku Opolskim jest niesłychanie skromna i uboga, uboższa niż przed wielką wojną i daleko mniej ruchliwa.

W zakresie gospodarczym działa Związek spółdzielni polskich, skupiający 6 „Rolników“ i 7 Banków Ludowych: w Bytomiu, Opolu, Raciborzu, Koźlu, Strzelcach, Dobrodzieniu i Głogówku, które istniały jeszcze przed wojną, założone w erze działalności wielkiego organizatora polskiej udzielności gospodarczej w zaborze pruskim, ks. Wawrzyniaka.

Organizacją oświaty polskiej zajmuje się Towarzystwo Szkolne, które organizuje i utrzymuje polskie szkoły prywatne, prowadzi około 30 kursów języka polskiego i kilkadziesiąt bibljotek.

Związek śpiewaczy czuwa nad rozwojem 52 chórów polskich, mających silną konkurencję w chórach niemieckich. Pozatem istnieją w wielu parafjach polskie chóry kościelne. W roku bież. odbył się w Bytomiu wspaniały zjazd i festival polskich chórów, który wywołał wiele entuzjazmu, podobnie jak „żniwniok“ (dożynki) ze wspaniałym pochodem polskich grup regjonalnych, w którym wzięło udział do pięciu tysięcy włościan.

Słabo rozwija się harcerstwo polskiej, silniejszy od ruchu harcerskiego jest Związek młodzieży polsko - katolickiej.

Polskie związki zawodowe wśród robotników okręgu przemysłowego uzupełniają strukturę organizacyjną naszych rodaków na Śląsku.

Studenci polscy z Wrocławia skupiali się w korporacji „Silesia Superior“.

ZWIĄZEK POLAKÓW W NIEMCZECH

Istniejący z centralą w Berlinie Związek Polaków w Niemczech dzieli się na kilka dzielnic, z których pierwszą i najsilniejszą jest dzielnica Śląska z siedzibą i biurem w Opolu. Związek ten — w myśl statutu — ma na celu „zdobycie dla ludności polskiej w Niemczech pełnych praw życia narodowego i obronę jej interesów ogólnych we wszystkich dziedzinach życia społecznego“.

Dzielnice Związku organizują się samodzielnie i przy każdej istnieje rada dzielnicowa, w skład której wchodzą prezesi Związków powiatowych i prezesi wszystkich organizacyj polskich każdej dzielnicy. Walne zebranie całego Związku jak i poszczególnych dzielnic zwołuje prezes Związku względnie prezesi dzielnic.

Analizując metody działania Związku, stwierdzić należy, że zarówno centrala w Berlinie, jak i centrala dzielnicy śląskiej uformowały się jako urzędy i czuwając nad rozwojem życia polskiego, opierają swą działalność tylko na płatnych urzędnikach.

METODY BIUROKRATYCZNE

Jest w tem pewne naśladownictwo niemieckiego życia społecznego, gdzie każdy działacz jest płatnym funkcjonarjuszem pewnej idei, nawet w okresie hitleryzmu, nie brak jednak analogji i naśladownictwa tego, co się dzieje w Polsce od lat dziewięciu.

Jeżeli społeczeństwo polskie od czasu przewrotu majowego zostało odsunięte od samodzielnego ruchu społecznego, jeżeli każda myśl społeczna ma walor tylko w liberji urzędowej, to dlaczego biurokracja Związku Polaków w Niemczech, zapatrzona w system pomajowy w Polsce, nie miałaby zastosawać tych samych metod na swoim tereine?

Dla biurokracji i tych czynników, które za jej pośrednictwem chcą kierować życiem Polaków w Niemczech w myśl swoich założeń programowych, jest ten biurokratyczny system biurowy i z innych względów nader wygodny. Póki życie wśród mniejszości polskiej zacieśnione jest do poziomu wegetacji, a ze strony społeczności polskiej nie było ambicyj społecznych, dotąd biurowa metoda roboty społecznej Związku Polaków w Niemczech mogła być skuteczną.

SERWITUTY KRAJOWE

Przyznam się, że przekroczywszy granicę Rzeczypospolitej, zostawiałem swe poglądy na to, co jest w Polsce, za sobą. Z drugiej strony wśród rodaków śląskich nie zauważyłem kłopotów partyjnych, naleciałych z oPlsik i każdy z nich, jeśli jest uświadomiony narodowo, chciałby widzieć Polskę potężną, a obojętnem mu jest, kto w Polsce rządzi.

Gdym swego czasu był z wizytą w konsulacie polskim w Morawskiej Ostrawie, urzędujący jeszcze wówczas p. konsul Klotz wyraził się na ten temat nader pięknie:

— Kiedym jechał objąć stanowisko konsula, moje przekonania polityczne, które były mi dyrektywą działania w Polsce, zostawiłem w walizce na polskiej komorze celnej!

Ta zasada nie zawsze jest jednak miarodajną dla biurokracji dzielnicy I-ej Związku Polaków i dość nasłuchałem się o tem, jak po aresztowaniu Korfantego, który wielki kapitał polski zostawił na Śląsku Opolskim, w biurze dzielnicowem studenci zniszczyli 20 tysięcy ulotek, ogłaszających triumfalnie, że został on jakoby „nie za przestępstwo polityczne lecz kryminalne“ aresztowany, jak Sokołowi w Berlinie i w Westfalji odmawia się poparcia, a niemile widzianym działaczom podstawia się nogę, by im w konsulach polskich nie udzielano wizy do Polski i t. d.

NA AUDJENCJI W BERLINIE

Opowiadał mi znany powszechnie na Śląsku działacz ludowy, b. członke sejmiku przy regencji opolskiej, p. Arka Bożek:

— Kiedy mnie wezwano do Berlina do Centrali Związku Polaków, zaszedłem do biura. To jakby ministerjum! Uczono mnie długo, jak mam przemawiać i jak tytułować panów z Centrali. Gdziebym tam zaś zapamiętał to wszystko! Naczekałem się na audjencje, nakręciłem się po apartamentach i nie wytrzymałem. Jak wpadnę, jak im powiem: co wy se myślicie? Do kanclerza pręDzejbym się dostał. To się wtedy pomiarkowali i mogłem wreszcie wyłożyć, o co chodzi.

Te metody w okresie narastania młodej inteligencji śląskiej są nie do wytrzymania. O pierwszym przeciw nim odruchu — w następnym liście.

T. Opioła.

Donosicielstwo i karjerowiczostwo

jako objawy ducha Wschodu

Po wieloletnim okresie, w ciągu którego każde słowo ostrej krytyki stosunków w Polsce uchodziło za antypaństwowe, przeżywamy obecnie znamienny zwrot. Z najwyższych stanowisk rządowych padają słowa stwierdzające twardą i posępną rzeczywistość polską, a w prorządowym „I. K. C.“ ukazał się artykuł wstępny, który w nader dosadnych barwach maluje wpływ „ducha Wschodu“ na nasze życie.

I tak więc czytamy, że

„rozrosło się w ostatnich latach delatorstwo, które jak potworna epidemja zakaziło u nas życie... Zachętę do szerzenia się tego wynaturzenia dano przed jakimś czasem „zgóry“, oświadczając publicznie, iż anonimy mogą być cennem źródłem informacyjnem (!!) i należy je traktować, jak podpisane skargi...

Na tem tle zdarzały się też naprawdę zawstydzające widowiska. Bo wtedy, gdy konkretne sprawy nadużyć, wykazane „ad oculos“ dokumentami, w postępowaniu biurokratycznem „szły jak z kamienia“ i przeważnie postępowanie przeciw winnym kończyło się dość... „po ojcowsku“, — to zwyczajne anonimy, albo „donosy“ ze sfingowanemi podpisami i adresami donosicieli, nie podające żadnych konkretnych i istotnych faktów, traktowano z najwyższą powagą i zajmowały się niemi nawet wysokie osobistości urzędowe.

Był nawet taki wypadek: Na jednego z urzędników nadszedł „donos“ anonimowy, że tenże urzędnik na jakiejś tam uroczystości, miał „ślady ironicznego uśmiechu na ustach“. Dla zbadania tej „doniosłej“ sprawy, którą zainteresował się aż sam minister, wysłano zagranicę specjalnego urzędnika wysokiej rangi(!)“.

Dalej zaś na predylekcję pewnych ludzi w dzisiejszej Polsce do naśladowania wzorów moskiewskich wskazuje, jak podnosi „I. K. C.“, nietylko „jakiś zacietrzewiony nihilizm historyczny, przecinający wszelkie nici z przeszłością narodu“, ale także

„tęsknota za zewnętrznemi formami despotyzmu i chęć panowania nad innymi... Różni ludzie manjacko szukają „uwiecznienia supremacji uprzywilejowanych nad ogółem, uznanym za „quantité négligeable“... Ma być kasta — i tę kastę tworzy się sztucznie... „Wylęgarnię“ nowej „kasty wyższej“ mają stworzyć różne — tak szerokie sfery naszego społeczeństwa w ostatnich czasach niepokojące eksperymenty „młodzieżowe“, zarówno na gruncie szkół średnich, jak i na terenie akademickim...“

Czyż „I. K. C.“ przechodzi do opozycji?

Właściciele sklepów i sprzedawcy

Zgodnie przeciwstawiają się

przedłużeniu godzin handlu do godziny 9 wieczór

W najbliższym czasie ma się podobno ukazać rozporządzenie, na mocy którego wszystkie sklepy na terenie całego kraju mają być otwarte do godziny 9 wieczorem. Projekt przedłużenia godzin handlu, który ma wpłynąć na zwiększenie obrotów handlowych i dać możność konsumentom czynienia późniejszych zakupów, nie spotyka się bynajmniej z ogólną aprobatą.

Rozmowy jakie przeprowadziliśmy na ten temat wśród kupiectwa warszawskiego świadczą wyraźnie, że powyższa reforma, o ile wejdzie w życie, stworzy więcej kłopotów i udręk niż rzeczywistej korzyści.

W OBLICZU NOWYCH KOSZTÓW

Właściciel składu artykułów technicznych wypowiada się ostro przeciwko projektowi.

— Zatrudniam u siebie trzy osoby personelu. Ponieważ projekt przedłużenia godzin handlu przewiduje jednocześnie zachowanie 8 godzinnego dnia pracy, byłbym poprostu zmuszony do zaangażowania nowych sił. Trzy osoby, które u mnie pracują są bowiem niezbędne przez cały dzień: sam wychodzę często na miasto za interesami, po zakup towaru do hurtowników, do izby skarbowej, rozmaitych urzędów itp., każdy wie, ile czasu zajmuje wystawanie po różnych ogonkach muszę więc mieć odpowiedzialnego, solidnego i orjentującego się w gałęzi technicznej sprzedawcę, który mnie w czasie nieobecności zastąpi.

Kasjerka, która równocześnie prowadzi kartotekę i buchalterję jest również niezbędna — no i chłopiec na posyłki, który rozwozi towar do klientów. Jakże mogę tę trójkę rozdzielić, by pracowali na zmianę po 8 godzin każde? To jest niemożliwe. Z drugiej strony nie mogę sobie pozwolić na luksus zatrudnienia nowego personelu, płacenia nowych pensyj, świadczeń itd.

Sądzę, że wobec przedłużenia godzin handlu przy równoczesnem utrzymaniu 8 godzinnego dnia pracy dla personelu, właściciele większych firm, zatrudniających kilka lub kilkanaście osób, znajdą się w bardzo trudnem położeniu.

Kupiectwo uginające się pod ciężarem podatków i różnych świadczeń będzie miało przed sobą dwie ewentualności: albo zmniejszyć wydatnie pensje dotychczasowemu personelowi i jego kosztem zatrudnić nowy, (zważmy, że pensje personelu pomocniczego w sklepach są naogół niskie i wahają się od 25 do 150 złotych — przyp. red.) albo poprostu pogodzić się z koniecznością nowego wydatku kosztem własnych wyrzeczeń: ograniczyć jeszcze więcej i tak skromny budżet domowy!...

A czy nie sądzi pan, że przedłużenie godzin handlu wpłynie na wzmożenie obrotów?

— Gdzie tam. Jeśli wszyscy wiedzą, że sklepy są otwarte do 7-ej to zawsze zdążą kupić co potrzebują. Urzędy banki, różne instytucje, szkoły kończą przecież zajęcia o 3 — 3.30 popołudniu, więc nasi odbiorcy mogą chyba zdążyć kupić wszystko czego im potrzeba w ciągu 4 godzin.

JAK W KIERACIE...

Wchodzimy skolei do eleganckiego sklepu z cukierkami i czekoladkami.

— Czy panie już słyszały o projekcie przedłużenia godzin handlu?

— O, naturalnie. To straszne. Pracujemy przecież od 8 rano do 7 wiecz. z przerwą na obiad. Człowiek marzy o tej chwili, kiedy nareszcie wyrwie się ze sklepu, pójdzie do kina czy teatru, poczyta książkę, gazetę, coś sobie zreperuje, odpocznie. W soboty i dnie przedświąteczne i tak pracujemy dłużej — do 8 wiecz. — zanim wrócimy do domu jest już dziewiąta.

— Takie to życie jest szare i smutne — wtrąca właścicielka a tu jeszcze robi się wszystko, by to życie człowiekowi obrzydzić. Nie można przecież pracować po 15 godzin na dobę. Po zamknięciu sklepu i tak zostaje się dłużej — trzeba sprzątnąć, ułożyć towar, obliczyć kasę, wypisać zamówienia. Jeżeli ten nieszczęsny projekt zostanie urzeczywistniony będziemy wychodzić ze sklepu o 10-tej, w domu będziemy o 11-ej. Co to za życie? W zgryzocie i pracy człowiek pogrążony po uszy, przemęczony — cierpi na tem wszystko: dom, rodzina, psychiczna równowaga:.

Narzeka się w Polsce na atmosferę beznadziejności, na upadek kultury ,szlachetniejszych zainteresowań — a kiedyż jest czas na wskrzeszenie lepszego humoru, na zaspakajanie potrzeb kulturalnych, jeżeli cały czas ma się zajęty pracą?..

NIEMAL 24 GODZINY NA USŁUGACH KLIENTA

Wdajemy się jeszcze w rozmowę z właścicielem sklepiku spożywczego na Czerniakowie.

Właściciel — wątły i blady młody człowiek jest zredukowanym urzędnikiem, b. studentem prawa, który za pożyczone pieniądze założył sobie ten skromny sklepiczek. Rozmawia niechętnie, wyczuwa się w nim apatję, jakąś bierną rezygnację.

— Przedłużenie godzin handlu? A co to dla mnie za różnica? I tak ludzie przychodzą od tyłu, bo mieszkam przy sklepie — więc bywa, że o 10-ej czy 11-ej wieczorem muszę wracać do sklepu, odważać cukier czy szynkę. Ludzie nie szanują cudzego czasu i prawa do odpoczynku. Jak będzie otwarte do 9-ej toteż ludziska powiedzą, że nie mogą zdążyć, zawsze im się później przypomni, że czegoś nie kupili. Jakby 13 godzin (sklepy spożywcze otwierane są o 6 rano i wcześniej) nie było jeszcze dosyć...

— No ale targi się powiększą?

Odpowiada mi tylko milczące, zrezygnowane machnięcie ręką.

* * *

Ponieważ sprawa przedłużenia godzin handlu jest nader żywotna, prosimy wszystkich zainteresowanych kupców, pracowników handlowych i t. d. o przysyłanie swych uwag i opinji w tej sprawie pod adresem redakcji „ABC-Nowiny Codzienne, Nowy Świat 22.

Po mowie min. Kwiatkowskiego

Echa prasowe

Omawiając mowę min. Kwiatkowskiego, pisma opozycyjne główną uwagę zwracają na ścisły związek między naprawą gospodarczą a reformą stosunków politycznych. W tym duchu wypowiedział się zarówno „Warszawski Dziennik Narodowy“ jak i „Robotnik“, który główny brak w mowie min. Kwiatkowskiego upatruje w niemal zupełnem przemilczeniu zagadnień polityki wewnętrznej i oświadcza:

„Dyktatura miała twardą kuracją uleczyć Polskę od wszystkich nieszczęść — i oto wymownie przedstawiony „rezultat“! Czy teraz wystarczy skierować ster nieco „nalewo“ czy „naprawo“ w kwestji gospodarczej — i już będzie dobrze? Tylko „nowy“ gatunek „oświeconego absolutyzmu“? Przecież to polityczna naiwność! Nawet konserwatywny „Czas“, mający pewne tradycje instynktu i doświadczenia politycznego, z wielkim niepokojem pisze o „bierności“ społeczeństwa — przy takiej „bierności“, obawia się, poprawy nie będzie“...

Bardzo dyskretną aluzję w tymże kierunku zdaje się czynić i „Kurjer Poranny“, gdy omawiając poruszoną przez min. Kwiatkowskiego konieczność głębokiej reformy naszego ustroju gospodarczego, zauważa:

„W jakim iść ma kierunku ta nieunikniona reforma, o tem nie mamy powodu wątpić. Wątpliwość przesądził sam rząd, w trudnej chwili deficytu budżetowego zwracając się po wzmożone ofiary do świata pracy. Odwieczna prawda dziejowa mówi, że kogo powołuje się do szerszego udziału w kosztach utrzymania i obrony Państwa, temu prędzej albo później przypaść musi w udziale także i szersza rola w rządach państwowych“.

„Nasz Przegląd“ zaś stwierdza innego rodzaju brak w exposé. Bo jeśli kamieniem węgielnym nowego programu rządowego ma być ożywienie rynku wewnętrznego, to pierwszym do tego warunkiem jest podniesienie siły nabywczej konsumenta:

„Tego jednak nie osiągniemy przez zapowiadaną taniość, która w najlepszym wypadku będzie bardzo niewielka i nie będzie dotyczyła płodów rolnych, które w rozchodzie człowieka ubogiego, czyli przytłaczającej większości obywateli stanowi 75 proc. budżetu. Natomiast wyjście leży w środku umieszczonym przez p. ministra na szarym końcu i w formie, niestety, bardzo mglistej i nieobowiązującej — w planie szerokich inwestycyj państwowych czyli wielkich robót publicznych“.

25 stypendjów

dla uczniów szkół średnich

Ministerstwo W. R. i O. P. ogłosiło konkurs na 25 stypendjów im. Jana Stano na rok szkolny 1935/36 dla uczniów wyższych klas gimnazjów państwowych i szkół zawodowych stopnia licealnego w Warszawie.

Każde stypendjum wynosi 400 złotych. O stypendja te ubiegać się mogą uczniowie pochodzenia polskiego, wyznania rz.-kat., z zachowaniem pierwszeństwa dla należących do rodziny Stano. Podania przyjmuje Ministerstwo do 5 stycznia 1936 r.

Zwyżka cen nafty i benzyny

na rynkach światowych

Wskutek wojny włosko - abisyńskiej zaznaczyła się zwyżka cen nafty i benzyny na rynkach światowych. Zwyżkowy ruch cen objął również parafinę.

Polski przemysł naftowy odczuł już w pokaźnej mierze poprawę cen eksportowych. Natomiast ilość wywożonych produktów naftowych nie wykazuje tendencji zwyżkowej.

Na prowadzenie wojny

Abisynji nie zabraknie pieniędzy

Haile Selassie nie zdążył uzbroić armji

Już od początku wojny największym kłopotem Abisynji był brak broni i amunicji. Gdy latem 1930 roku rząd abisyński zawarł układ z Anglją, Francją i Włochami, znajdował się w umowie warunek, że dowóz materjału wojennego do Abisynji nie może przekraczać sumy 10 miljonów franków francuskich.

Była to suma drobna jak na stosunki europejskie, ale cesarz nie tylko jej nie przekraczał, lecz nawet nie wyczerpywał. Gdy przedstawiciele wielkich fabryk broni udawali się do Addis Abeby, proponując swe usługi, Haile Selassie odpowiadał im, że wprawdzie Abisynja zbroiłaby się chętnie, lecz nie posiada na to środków. To też przybysze machnęli na Abisynję ręką.

JAK ZBROIŁ SIĘ MENELIK?

O ile obecny władca Abisynji jakby wcale o broń nie dbał, bo nawet instruktorom belgijskim i szwedzkim swej armji odpowiadał, gdy go nagabywali o zakupy, że nie obawia się wojny i dlatego pieniędzy na broń nie będzie wydawać, o tyle jego wielki poprzednik Menelik, wielką wagę przywiązywał do ulepszania stanu uzbrojenia, stwierdziwszy, że wszystkie swe zdobycze i zwycięstwa zawdzięczał tylko przewadze nad przeciwnikami pod względem uzbrojenia, które nabywał bezpośrednio w Europie.

Złoto, drogie kamienie, kawa, strusie pióra, cybety, skóry, bawełna i tytoń wędrowały do wybrzeża, a wzamian za to Menelik dostawał broń i amunicję. Brał je w takiej ilości, jaką uważał za konieczną w danej chwili, nie krępując się wcale wydatkami. Dlaczegoby właściwie dzisiaj Abisynja nie mogła sobie pozwolić na zakupy potrzebnych jej narzędzi walki?

NABYTKI Z JAPONJI.

Dopiero z chwilą, gdy oddziały włoskie wtargnęły wgłąb Abisynji, okazało się, że posiada ona nietylko japońskie karabiny i karabiny maszynowe, lecz nawet działa przeciwlotnicze. Ten dowóz japońskiego materjału wojennego zaczął się jednak dopiero przed kilku laty, po wizycie w r. 1932 przedstawicieli wielkiego przemysłu japońskiego i instruktorów wojskowych w Addis Abebie. Jak wiadomo, układ handlowy japońsko - abisyński sprawił, że inżynierowie japońscy zbadali dokładnie okolicę jeziora Tana, gdzie właśnie Japonja wydzierżawiła miljon hektarów gruntu pod plantację bawełny.

DOWÓZ PRZEZ INNE PUNKTY

Ale i skądinąd dowożono do Abisynji ostatniemi laty broń i amunicję. Dowóz wzrósł szczególnie w roku bieżącym, kiedy jasne się stało, że Abisynja wojny nie zdoła uniknąć. Wprawdzie punktem dowozu legalnego był głównie port francuski Dżibuti, jednakowoż i ze strony Somali angielskiego, angielskiej kolonji Kenia, a zwłaszcza Sudanu, przenikały do Abisynji poważne stosunkowo transporty broni. Cyfrowo dałoby się ująć jedynie dowóz drogą przez Dżibuti, natomiast wszystkie inne drogi dowozu statystycznie ująć się nie dają, jedno jest tylko pewne, że dowóz tamtemi walśnie drogami znacznie przewyższa oficjalny dowóz amunicji przez Dżibutti.

Czy jednak Abisynji, której nie wszędzie udzielają kredytów, wystarczy środków na zaopatrzenie się w broń i amunicję na dłuższy okres czasu?

Okazuje się, że z chwilą kiedy Anglja zniosła zakaz wywozu broni do Abisynji, firmy angielskie przemysłu wojennnego udzieliły Abisynji poważnych kredytów, których gwarancją jakoby jest skarb koronny abisyński, przeniesiony z chwilą wybuchu wojny do Londynu. Trudno jest wartość tego skarbu ustalić dokładnie. Wiadomo tylko, że składa się on z platyny i złota, gromadzonych od tysiącleci w różnych stronach kraju. Niektóre części obecnego skarbca abisyńskiego wchodziły już w skład bogactw faraonów, władców Persji, a nawet cesarzów rzymskich. Są tam również znaczne zasoby surowej i już obrobionej kości słoniowej, drogie kamienie i inne kosztowności afrykańskie. Są wreszcie różne cenne podarki, składane władcom abisyńskim zarówno przez panujących europejskich, jak azjatyckich. A przecie od czasów Menelika Europa bardzo usilnie zabiegała o względy Abisynji i zainteresowane państwa prześcigały się poprostu w zaopatrywaniu jej monarchów w najróżniejsze cenne przedmioty.

CESARZ ODDAŁ SWÓJ MAJĄTEK PRYWATNY

Prócz skarbu koronnego cesarz abisyński posiada znaczny majątek prywatny, oceniany na przeszło 25 miljonów funtów szterlingów (około 650 miljonów zł.). Cały ten majątek cesarz oddał na rzecz uzbrojenia kraju. Za jego przykładem poszli również wszyscy książęta i władcy poszczególnych plemion, skutkiem czego powstał bardzo poważny fundusz narodowy, przekraczający znacznie sumę 10 miljonów funtów szterlingów. Jeden tylko ras Ayennu ofiarował na ten fundusz miljon funtów szterlingów. Kupcy mahometańscy w końcu listopada ofiarowali cesarzowi na fundusz narodowy pierwszą ratę w wysokości miljona talarów.

Jest rzeczą niewątpliwą, że w chwili obecnej Abisynja rozporządza sumą conajmniej 50 miljonów funtów szterlingów, które całkowicie przeznaczyć może na prowadzenie wojny. Z tej sumy nie wydano jeszcze nawet połowy. Nie jest to jedyne źródło, z którego Abisynja pokrywać będzie swe wydatki wojenne, gdyż oddawna już opat z Debra Libanos prowadzi wielką propagandę, wykraczającą daleko poza granice Abisynji i mającą na celu wezwać do niesienia pomocy finansowej całą „czarną" Afrykę, murzynów amerykańskich oraz kolorową Azję. Propaganda ta sięgnęła już od Arabji po Chiny.

POMOC KOLOROWYCH

Jej owoce dojrzewać będą nie odrazu, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że będą bardzo znaczne. Z jednego tylko Harlemu (dzielnica murzyńska w New Jorku) przysłano już do Addis Abeby wiele miljonów dolarów. Ofiarnie z pomocą śpieszy przedewszystkiem sąsiedzki Egipt, a świat mahometański i żółty Azji uważa, że sprawa Abisynji jest jego własną, nietylko moralnie, ale i materjalnie.

W tych warunkach nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sprawa dalszego finansowania wojny nie przedstawia dla Abisynji żadnych kłopotów, że nie trzeba będzie dla pokrywania bieżących wydatków uciekać się do nowych podatków wojennych. Cała ludność Abisynji postanowiła złożyć na cele wojny bardzo znaczną sumę, której wysokość przekracza 100 miljonów talarów. Rozłożenie tego daru na koszty wojny wygląda w ten sposób, że przeciętny obywatel składa po talarze, urzędnik 5 talarów, a każdy cudzoziemiec conajmniej 8 funtów szterlingów.

Haile Selassie może więc spać spokojnie.

J. W.

Sprawy dochodów

Polskiej Macierzy Szkolnej

W sali posiedzeń Polskiej Macierzy Szkolnej odbyło się zebranie, poświęcone sprawom dochodów finansowych polskiej Macierzy Szkolnej. Wydatki Macierzy Szkolnej stale wzrastają wobec konieczności otwierania coraz to nowych szkół powszechnych w województwach wschodnich dla ratowania ludności polskiej nietylko przed analfabetyzmem, lecz także przed wynarodowieniem. Liczba szkół i instytucyj Macierzy zwiększa się, a dochody niestety, zmniejszają się. Wydawnictwa Macierzy, wobec zmniejszonego popytu na dobrą książkę nie przynoszą zysków; imprezy dochodowe zawodzą, składki członków i ofiary na cele oświatowe Macierzy kurczą się. Jedynem źródłem poważniejszego wpływu pieniężnego jest zbiórka na Dar Narodowy 3 Maja.

Na zebraniu wysłuchano referatu p. generała Stanisława Skotnickiego, poświęconego formom i metodom przeprowadzania zbiórki 3-majowej. Ustalono szczególnie zasady organizacyjne i sposoby wyzyskania wszystkich godziwych możliwości, zmierzających do jak najpowszechniejszej ofiarności w 3-majowe Święto.

Macierz Szkolna nie może dopuścić do likwidacji żadnej szkoły, przeciwnie otworzyć jeszcze musi kilkadziesiąt nowych szkół na wschodniem i północnem pograniczu, mianowicie w tych punktach, gdzie przygotowane są już izby szkolne i sprzęty, a po kilkadziesiąt dzieci w wieku szkolnym oczekuje nauczycieli.

W zebraniu wzięli udział przedstawiciele władz państwowych, Zarządu Miasta i stowarzyszeń społecznych. Zebraniem tem Zarząd Główny P. M. S. rozpoczął swoją akcję przygotowawczą do zbiórki 3-majowej w 1936 r.

Akcja zimowa

Harcerstwa polskiego

Tegoroczna akcja zimowa Harcerstwa jest projektowana na bardzo szeroką skalę. W czasie nadchodzących feryj Bożego Narodzenia odbędzie się 354 obozy i wycieczki, w których będzie uczestniczyć od 12 — 15 tysięcy harcerek i harcerzy. Najszerszą akcję rozwinie Warszawa, która projektuje następujące imprezy: stworzenie ośrdoka harcerskiego na Bukowinie i na Głodówce dla 450 osób, ośrodka obozów zimowych w Urlach na 1500 osób i w Rybienku na 1500 osób; przeprowadzenie kursu harcerskiego Klubu Narciarskiego na Kostrzycy dla 120 osób oraz kursu hufca „Powiśle" w Krynicy, dla 250 osób.

Pozatem przewidziane są następujące „zimowiska": kurs ślizgowy w Charzykowie i na Naroczy, kurs harcerskich gier polowych w zimie w Tczewie i Ławocznie, kurs harcerzy nauczycieli Chorągwi Wileńskiej Harcerzy w Zakopanem. Kurs gospodarczy harcerek w Zakopanem, kurs dla kapelanów harcerskich w Lublinie, kurs narciastwa nizinnego w Białowieży oraz harcerski raid narciarski na trasie: Sarny, Łuniniec, Baranowicze, Mołodeczno — w 3 turnusach.

Czy dawna orkiestra radjowa

ma słuszne pretensje o odszkodowanie

Jak już donosiliśmy, członkowie dawnej orkiestry Polskiego Radja (i zarazem członkowie Ork. Fil. Warsz.) wystąpili do sądu P. R. o odszkodowanie za rzekomo niewypłacone pobory. W związku z tem dowiadujemy się, że Polskie Radjo przystępując do reorganizacji swego działu muzyki symfonicznej, wymówiło w końcu maja pracę swej orkiestrze na dzień 31 sierpnia r. b. Wytworzyła się sytuacja, że członkowie orkiestry otrzymaliby wszyscy równocześnie urlop we wrześniu, co ze względu na ich interesy osobiste i zawodowe było niewygodne. Z inicjatywy więc i na prośbę członków orkiestry, Polskie Radjo w porozumieniu z delegatem orkiestry ustaliło terminy urlopowe na miesiące wcześniejsze.

Układając listę urlopów członków orkiestry, Polskie Radjo wykonało tylko życzenia członków orkiestry, tembardziej, że przesunięcie urlopów na miesiące wcześniejsze, nawet wkraczające w okres 3-miesięcznego wypowiedzenia, jeśli to nastąpiło za zgodą obu stron, jest dopuszczalne i prawnie ważne.

Na dzień 18 września Polskie Radjo wyznaczyło listownie termin omówienia z członkami orkiestry warunków ewentualnej dalszej współpracy. Członkowie orkiestry nietylko nie zgłosili się w tym dniu do Polskiego Radja, ale nawet zwołali zebranie poza lokalem Radja, po którem wydano dla prasy komunikat odrzucający propozycje Polskiego Radja.

Fakty te stwierdzają, że obydwie strony uważały dzień 30 września b. r. za końcową datę swych wzajemnych stosunków — zgłoszenia się więc członków zwolnionej orkiestry w dniu 1 października rzekomo do dalszej pracy, nie miało żadnych podstaw.

Obniżenie cen mąki

i wędlin

Niezależnie od zniżki dokonanej w ub. tygodniu, młyny warszawskie, w porozumieniu z Wydziałem Aprowizacyjnym Kom. Rządu, obniżą od poniedziałku, 9 b. m., cenę mąki pytlowej z 22 i pół gr. do 22 gr. Odpowiednia zniżka zastosowana będzie również do pozostałych gatunków mąki.

Cech wędliniarzy warszawskich obniżył od 7 b. m. ceny ważniejszych artykułów, objętych cennikiem wyrobów wędliniarskich, a więc kiełbas, szynki, słoniny, szmalcu itp. Obniżka waha się od 8 do 10 proc.

Nowe władze

Naczelnej Organizacji Inżynierów R. P.

W dniu 1 grudnia b. r. odbył się w Warszawie I Zjazd Delegatów Naczelnej Organizacji Inżynierów R. P. (N. O. I.). Na zjazd przybyło ok 100 delegatów z całego kraju.

Z zaproszonych gości na zjeździe byli obecni: rektor Polit. Warsz. inż. E. Warchałowski, oraz przedstawiciele władz, delegowani przez poszczególne Ministerstwa.

Zjazd przyjął do zatwierdzającej wiadomości sprawozdanie Rady Głównej z dotychczasowej działalności, uchwalił przedstawiony preliminarz budżetowy N. O. I. na rok 1935-36, poczem omawiano i uchwalono program działalności N. O. I. W programie tym przewidziana jest szeroka współpraca z władzami państwowemi i instytucjami społecznemi w dziedzinie obrony państwa, spraw gospodarczych, oświatowo wychowawczych i socjalnych. Pozatem projektowane jest rozpoczęcie realizacji najgłówniejszych postulatów stanu inżynierskiego, do których należą m. in. utworzenie Izb Inżynierskich.

Na prezesa N. O. I. Zjazd jednogłośnie wybrał inż. Aleksandra Bobkowskiego, wiceministra Komunikacji. Pozatem wchodzą inżynierowie: J. Straszewicz — 1-szy wiceprezes, Z. Sochacki — 2-gi wiceprezes, A. Dijakowski — 3-ci wiceprezes, J. Marjański — sekretarz, J. Nechay — skarbnik, T. Mejer — zastępca sekretarza, W. Skoczek — zastępca skarbnika.

Z radja

Humor na cenzurowanem

Zdarzyło się przed dwoma tygodniami Wesołej lwowskiej fali, że w satyrycznym djalogu Aprikosenkranza z Untenbaumem puściła kilka „witzów" natury politycznej, na temat naszego niedawnego „ancien regime'u". Kto zna naszą niewdzięczną dla humorystyki atmosferę współczesną i wie, jak względne bywa w Polsce poczucie humoru, pomyślał sobie „Ta joj! Fajno było, ali bedzi nidobrzy..."

I zreczywiście, niedobrze było. Były podobno wewnętrzne kwasy i przykrości — skończyły się na znalezieniu „kozła ofiarnego" i wyciągnięciu konsekwencji w stosunku do jednego z bardzo zasłużonych pracowników naszej radjofonji. A potem — nastał kilkudniowy kryzys humuru.

Więc zamiast Wesołej Syreny, w której w sobotę 30 listopada miał zadebiutować nowy autor, a tekst miał parodjować „ogolne rozbrojenie", wolano zrezygnować z niebezpiecznej formy humoru i zaimprowizowano „Trochę śmiechu, trochę łez" — taką sobie homeopatyczną składkową rewjetkę. Zważywszy warunki, w jakich na świat przyszła, możnaby do niej żadnych nie formułować pretensyj, gdyby nie to, że w programie tym znalazła się między innemi piosenka „Tylko ty" — a akuratnie tej właśnie piosence poświęcił był Hemar niedawno jedną z audycyj Wesołej Syreny, która w dodatku była potem powtarzana. Więc gdy słuchacz, na Wesołą Syrenę przecież przygotowany, po raz trzeci zrzędu usłyszał tosamo, to miał ochotę strzelać przez głośnik w ten mikrofon warszawski, tak niepojętny, że nawet własnych przykazań respektować nie potrafi.

Bo Hemar przecież w sposób bardzo dowcipny i pełen ironji nie co innego wykpił jak tylko to właśnie, że w programach tak się nadużywa jednej i tejsamej modnej melodji, aż wszystkim obrzydnie. Na zakończenie zaś demonstrował, jak to się robi nową piosenkę, aby się uwolnić od tamtej, która wszystkim dojadła — i to właśnie było „Tylko ty"... Czyż to nie ironja, że jak raz nic innego nie przyszło na myśl studju warszawskiemu, gdy trzeba było program łatać, tylko to „You, wonderfull you"? No, ale wśród konsternacji różnie bywa.

Nazajutrz miał Lwów w wesołej fali nadać „Kosz ma głos" — ale wolał powtórzyć jedną z audycyj dawniejszych, poświęconą folklorowi lwowskiemu. A że Warszawa, na którą trzeciego dnia, w poniedziałek, przyszła kolej dawania wesołego skeczu, już dawniej uplanowała sobie wznowić Wiechowe „Od pomnika do pomnika" — więc w rezultacie powstała zaznaczona wyżej sytuacja kryzysu w humorze, albo ściślej: w nowych pomysłach humorystycznych.

W takiej oto atmosferze odbyło się w środę w Polskiem Radjo, odłożone z tygodnia poprzedniego spowodu zgnu ś. p. Piotra Choynowskiego, literackie zebranie dyskusyjne na temat — humoru w radjo...

•

Nic dziwnego, że w tych warunkach nastąpiła i tutaj odruchowa zmiana programu: humor miał być „na cenzurowanem", tymczasem znalazła się na cenzurowanem... cenzura humoru. Oczywista, w dyskretnych tylko aluzjach, ale niemniej jako „leitmotiv" dość wyraźny, przypominający Lohengrinowskie „Nie śmiej mię pytać nigdy!"

To zaś skomplikowało sytuację, i tak dość trudną, jeśli chodzi i temat: współpracy radja z literaturą. Współpraca ta jest rzeczą konieczną i nię stoi, jak się zdaje, pod kiepskiemi auspicjami, skoro w dziedzine Teatru Wyobraźni już w kilka miesięcy po pierwszym kontakcie (zebranie dyskusyjne zeszłej zimy, które w swoim czasie omawiałem) wydała konkretne rezultaty w postaci paru słuchowisk spod pierwszorzędnych piór. Czyżby z humorem miało iść specjalnie jak po grudzie? A jeśli tak, to dlaczego?

Oto dlatego, że — jakkolwiek w dyskusji tę rzecz właśnie dość powszechnie kwestjonowano — istnieje zupełnie specyficzny humor radjowy. Gdyby się nie przyplątała kwestja cenzury humoru, to i tak już zarysowały się zupełnie wyraźnie dwie platformy, nie mogące znaleźć wspólnej krawędzi zetknięcia: humor w pojęciu piszącego tekst humorysty i w odczuciu radjosłuchacza. Widoczna była ich odrębność już w obu referatach (pp. Karola Irzykowskiego i Budzyńskiego, reżysera Wesołej Fali), a jeszcze widoczniejsza w bardzo żywej dyskusji, w której dość głosów zajmowało się tą właśnie drugą stroną sprawy, podczas gdy literaci zarzucali, że to są tylko „porady techniczne", wypowiadane pod adresem radja.

A tymczasem te rzeczy nie dadzą się od siebie oddzielić—w humorze właśnie bardziej, niż gdzie indziej. Jeśli można jak z rękawa sypać przykładami audycyj wesołych, które sprawiają wrażenie nijakie albo nawet smutne, to tylko w części wina leży po stronie tekstu, a najczęściej winno jest złe podanie tego tekstu albo też niedostateczne jego sharmonizowanie z wymogami radja. Jeśli literatura humorystyczna chce się wypowiadać przez radjo, to musi uświadawiać sobie specyficzne odrębności tego terenu i musi nie poprzestawać na samym tekście, ale czynnie wspódziałać w jego realizacji — tak jak autor dramatyczny, dbający o należyty wyraz sceniczny swego dzieła, musi się interesować jego wykonaniem.

•

Temat humoru radjowego jest kwestją tak obszerną i wymagającą dopiero należytego udeptania boiska, na którem miałaby się toczyć dysputa, że niesposób na tem miejscu wchodzić w szczegóły. Ale zaznaczyć warto rzecz jedną: że o ile tematem wdzięcznym może być karykatura, o tyle niebezpiecznym i nader trudnym jest satyra. Bo karykatura bywa „łatwiej strawna" niż cięta ironja i n. p. Lwów ma już w swym dorobku cały szereg udatnych karykatur radjowych. Satyra zaś może być rozumiana jako złośliwość, a zatem jako przykrość osobista — już nie mówiąc o względach cenzuralnych.

Ba — nawet w karykaturach zdarzają się u niektórych słuchaczy wypadki zupełnej atrofji humoru, jak to np. przytrafiło się Wesołej Syrenie ze świetną parodją hejnału. Na to już niema innej rady, jak: zamknąć uszy na niejedną krytykę i robić swoje. Rzecz inna natomiast z kwestją cenzury humoru. Nie mówiąc już o względach politycznych, wchodzi tu jednak w grę także i cenzura „redaktorska", kierująca się względami na odbiorców. W dzienniku czy czasopiśmie, gdzie krąg tych stałych odbiorców ma naogół dość wyraźnie zarysowane i stałe oblicze, sprawy takie bywają o wiele łatwiejsze (chociaż i tam niejedno kreśli ołówek redaktorski), niż w radjo, które jest uniwersalne.

Dużo jeszcze będzie na polu humoru radjowego prób, dyskusyj, nieporozumień i pomyłek. Są one nieuchronne i dlatego wszyscy, którzy tu współdziałają, muszą się postarać o jedną rzecz: sporą dozę wyrozumiałości.

*

Wśród audycyj mówionych ostatniego tygodnia zwróciły uwagę: przedwczorajszy doskonały monolog p. Ciecierskiego (tekst p. Bohdziewicza) o „Człowieku będącym żywą płytą", przedstawiający refleksje aktora po 368 przedstawieniach „Teorji Einsteina" oraz sympatycznie ujęte wspomnienia p. Marynowskiego z podróży po Słowaczyźnie (w ubiegłą niedzielę).

Z audycyj zaś muzycznych: wtorkowy polski koncert europejski, transmitowany na 15 państw, który się odznaczał doskonałym doborem programu (czy jednak nie byłby właściwszy pierwszy, a nie drugi koncert skrzypcowy Szymanowskiego?) i bardzo dobrem wykonaniem — dalej zaś środowy koncert Chopinowski (Wiłkomirscy) i piątkowy koncert symfoniczny z udziałem Thibaud. Niespodziewanie, wskutek zmiany programu, usłyszeliśmy na koncercie wieczornym w poprzednią sobotę jako skrzypka p. Tomasza Jaworskiego, dotąd występującego w radjo tylko w charakterze dyrygenta, a który okazał się solistą wysokiej klasy.

Marjan Grzegorczyk.

Pogawędka niedzielna

Książka i... wóda

Zbliżają się święta... Człowiek myśli, jakby się tu tanio wywinąć uroczystościom, a niezbyt ubliżyć tradycji. Słowem rozwiązuje problem, jak postąpić, żeby i kieszeń była syta i szczupak z chrzanem cały. Pochłonięty temi dumaniami przerzuca gazety niedbale, lecz tak wielkich ogłoszeń, jakiemi dają znać o sobie firmy wydawnicze, nie może nie zauważyć. Tutaj krzyczy „Rój" o obniżce cen książek, tam wabi rewelacyjnemi cenami „Dom książki polskiej", ówdzie pohukują inne firmy...

Ratuje się kto może i jak może. A mimo to czytamy w tychże gazetach, że ruch księgarski zamiera, że zarówno w Warszawie jak na prowicji coraz więcej księgarń się zwija.

Ile razy zastanawiam się nad czytelnictwem, zawsze przychodzi mi na myśl pewne zdarzenie sprzed roku. Był skisły wieczór późnej jesieni. Domy stały jakby struchiałe, wiatr świstał, latarnie w aureoli mżących kropelek ślepiły niby banie i zlewały białe reflektory światła na mokre, śliskie ulice... Gdzie niegdzie pomykał przechodzeń, wtuliwszy ręce w kieszenie palta, a głowę w podniesiony kołnierz.

Brr!... Zimno, przejmująco! W taki dzień coś pcha poprostu człowieka, żeby oziębłe ciało i wystygłą duszę rozgrzać „jednym głębszym". Skręciłem do jakiegoś narożnego baru, wsiąkając odrazu w ciepło, podniecony rozgwar i zapach skwierczących się potraw na bufecie. Było rojno i gwarno. Co chwila otwierały się drzwi i z buchającej pary wyłaniał się jakiś omokły facet... Siedziałem nad kieliszkiem sam, czego bardzo nie lubię. Zacząłem się więc rozglądać wokół, szukając znajomych, ale napróżno. Naraz u wejścia spostrzegłem chudą, filigranową postać jednego ze znanych naszych poetów. Blady, łysawy człowiek sterował ku bufetowi, zręcznie lawirując pomiędzy barczystymi wyznawcami Bachusa.

— Panie J., dobry wieczór! — wołam.

— Dobry wieczór.

Ucieszyliśmy się spotkaniem i zaczęli gawędzić, Między piszącymi rozmowa ostatecznie zawsze schodzi na książki: „Nad czem pan teraz pracuje?", „Jak poszła ostatnia pańska powieść?", „Z czego tu żyć przy tak niskich honorarjach i t. d. i t. d.".

W pewnej chwili poeta rzekł swym cichym głosem, ciągnąc lekko ze lwowska:

— Ach, proszę pana! Gdybyśmy Polacy mieli choć setną część tego zamiłowania do książki, jakie mamy do wódki, nie byłoby przysłowiowo chudych literatów.

Rozejrzałem się po sali. Czerwone twarze—szerokie i czerstwe—bez wszelkiej wątpliwości stwierdzały sarmacko - mazurskie pochodzenie swych właścicieli. W tej chwili stanęła mi w oczach inna sala — biblioteczna, z której właśnie przed chwilą wyszedłem. Przeważały w niej garbate nosy semickie. Skojarzyłem te obrazy ze sobą i przyznałem poecie słuszność.

— Rzeczywiście nie mamy zamiłowania do lektury, a już stanowczo nie lubimy wytrząchnąć kilku złotych na książki.

Czy nie byliśmy z poetą zbyt czarnymi pesymistami, bardzo łatwo sprawdzić! Przypuśćmy, że ktoś z was, Czytelnicy, ma wolne dziesięć złotych...

No, dziesięć to na dzisiejsze czasy przesada, ale tak z pięć!

Gdzież się potoczy ta okrąglutka moneta? Do księgarni, do kasy teatralnej? Nie! W siedemdziesięciu pięciu procentach rozmieni się na wódeczkę czystą lub z kropelkami, którą się łyknie z ciepłą zagrychą lub nawet bez niej... Tak już jest, sapristi, i ja też należę do tych 75 procentowej większości polskiej.

Kto tu zawinił? Klimat taki mokry? Nuda i dżdżyste dnie, czy jeszcze co innego, u djaska?

Nie wiem.

W każdym razie fakt pozostaje faktem. Narzekają na tę cechę narodową i brzuchaci wydawcy, i chudzi literaci, i niedołężni księgarze, sarka nawet publiczność. Ta ostatnia całą winę obecnego stanu rzeczy zwala na drożyznę książki. Jeżeli się jednak zważy, że niezłą powieść można dzisiaj nabyć za trzy złote, czyli za sześć większych wódek (trzymamy się już tego monopolistycznego rachunku), a te wódeczki tak gładko się przełyka z przyjacielem — to dojdzie się do wniosku, że książka nie jest znów aż tak luksusowym towarem.

Coś więc innego stoi na zawadzie nabywaniu książek, co innego ściska i zamyka nam portmonetki...

Ale co? Wyrażając się z przynależną „głębią" filozoficzną powiem: p r z e s t r z e ń i c z a s. Przetłumaczywszy zaś te dwa pojęcia na język potoczny, poprostu... ciasnota i przepracowanie.

Książki czytają przedewszystkiem pracownicy umysłowi, a ci— przynajmniej w Warszawie — gnieżdżą się w nieprawdopodobnie szczupłych pomieszczeniach. Pokoik sublokatorski, pokój i kuchnia, dwie pokoiczyny z kuchnią i t. p. podlegające obniżce lokale mieszczą po kilka osób. Na książki poprostu niema miejsca.

Przekonałem się o tem najdowodniej i najboleśniej przed dwoma laty na własnej skórze. Pisywałem wówczas sprawozdania z książek w jednym z tygodników. Po kilku recenzjach sprytni wydawcy zaczęli wysyłać mi wszystkie nowości. Książki waliły do dwóch moich klitek na piątem piętrze „drzwiami i oknami". Pękała od nich bibljoteka, trzeszczały etażerki, uginało się biurko. Zwalałem je na podłogę, taszczyłem na szafy, ubijałem w tapczanie i pod kozetką, windowałem na pawlacz. Nic nie pomagało! Nowości wciąż płynęły wezbranym nurtem. Wreszcie począłem je odsyłać do pewnej bibljoteki publicznej na prowincję i w ten sposób wybrnąłem z tarapatów.

Księgozbiór własny to rzecz niezmiernie miła i cenna, lecz wymagająca miejsca!

Tyle o przestrzeni. Sprawa z czasem przedstawia się nieco lepiej, ale też nie całkiem w porządku.

Pracownik umysłowy jest zaorany. Chłoną mu czas godziny biurowe i pozabiurówki, jakaś poboczna praca zarobkowa, a gdy jest urzędnikiem państwowym lub komunalnym — zebrania, gdzie się wyżywa społecznie t. j. przelewa z pustego w próżne i bezustannie „prosi o głos". Potem inne prace: jakieś imieniny, brydż, kolacyjka... i dopiero rozrywki.

I jakże tu kupować książki? Przecież gdy się już wyłuska te parę złotych, to człowiek chciałby wejść z kupionem dziełem w zażyłą przyjaźń, a czas (a zwłaszcza ten brydż!) nie pozwala. Kto więc chce czytać, zapisuje się do bibljoteki i wypożycza książki, ustosunkowując się do nich jak do czegoś obcego, co się dorywczo przerzuci i odda spowrotem. Przeważna większość ludzi czytających urządza się w ten właśnie sposób.

Kupowanie książek a lektura są to zjawiska odrębne. Jeśli rozchodzeniu się książki przeszkadza czas i przestrzeń, to zamiłowanie do lektury trzebi belfer i jakiś dziwny, niezdrowy a wyniesiony z czasów niewoli stosunek do literatury.

Belfer wyczynia rzeczy doprawdy podziwienia godne. Jeśli kto „przerobił" w szkole jakie dzieło — obrzydnie mu ono na całe życie... Belfer zamordował „Trylogję" Sienkiewicza, „Lalkę" Prusa, zarżnął „Pana Tadeusza", zakatrupił dziesiątki arcydzieł. Systematycznie, powolutku, lecz dokumentnie. Suchy, kościsty, pedantyczny nie rozwoli rozpłomienić się wyobraźni młodzieńczej, ale ujmuje ją w cugle, kieruje wzrok młodych na szczegóły i szczególiki, komentując i tłumacząc rzeczy najprostsze do kompletnego omdlenia z nudów.

Czego nie zniszczył majsterek belfer — to zatruwa ogólna atmosfera, jaka się wytworzyła wokół naszego piśmiennictwa.

Najbujniejszy rozkwit literatury przypadł w Polsce na czasy, gdy jedyną manifestacją życia narodowego była twórczość poetycka. Uwielbiało się ją tedy jako coś jedynego i najwyższego. Potem przyszły całe pokolenia uczonych — a co gorsza również belfrów — i celebrowały przed dziełami genjuszów istne nabożeństwa, uważając je za święte, nietykalne, absolutne. O ile taki stosunek miał głębokie uzasadnienie w czasach przed - niepodległościowych w odniesieniu do wieszczów, o tyle teraz w odniesieniu do całej literatury trąci anachronizmem. Mimo to utrzymuje się, niestety, w społeczeństwie.

Dziwaczne, lecz prawdziwe! Od święta traktujemy literaturę jako rzecz podniosłą, mówimy o niej ze sztucznem namaszczeniem, ale prywatnie nie mamy do niej szacunku i właściwie uważamy ją za rzecz zbędną.

Jakżeż inaczej jest w rozmiłowanym w humanistyce narodzie francuskiem! Tam nikt przed literaturą nie klęka, nie celebruje nabożeństw, lecz rzecz traktuje poprostu, po ludzku. Francuzi, rozkochani w słowie, w klarowności i jasności — smakują zdanie, lubują się dowcipem, zręcznym chwytem, upajają myślą. Literatura jest subtelną rozkoszą intelektu, jest rozrywką lub rewolucyjną bombą, rozsadzającą strupieszałe formy społeczne.

U nas byle przysadkowate, krzywonogie indywiduum literackie pcha się na „wieszcze" wyżyny, skąd zawile, podniośle, niezrozumiale prawi nudne i rozwlekłe kazania. Co zabawniejsze, nikt tego nie słucha, ale indywiduum prawi, prawi i prawi... Ależ, panowie, nie raczcie nas podniosłą paplaniną! Zważcie — proszę — że taki np. Prus był najgłębszym myślicielem swoich czasów, a potrafił potęgę swych idej i dociekań zamknąć w cudownie jasnych, dowcipnych i prostych utworach!

Prostoty, głębi, humoru!!

Bo jeżeli nas zechcecie nadal śmiertelnie nudzić, lub „wstrząsać" odwiecznie ogranemi tematami, powiemy wam prosto i dobitnie:

— A piszcie sobie, co wlezie! My idziemy na wódę!

Jan Waśniewski.

Zimowa kolonja Nauczycielska w Krynicy

W r. b. Zarząd Koła Warsz. T. N. S. W. w okresie świąt Bożego Nar. (23.12 b. r. — 8.1.1936) organizuje w Krynicy we własnym domu wypoczynkowym — Tenesówce — kolonję nauczycielską dla nauczycieli i ich rodzin.

Opłata wynosić będzie 5 zł. dziennie (mieszkanie, opał, światło, utrzymanie). Zapisy przyjmuje się w Kole Warszawskiem T. N. S. W. (Warszawa, Bracka 18 m. 4) w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Wszelką korespondencję w związku z zapisem, wraz ze znaczkiem pocztowym na odpowiedź, kierować należy do Koła Warszawskiego T. N. S. W.

Przedstawienia dla dzieci w Instytucie Reduty

Dnia 29 grudnia Instytut Reduty (Kopernika 36/40) rozpoczyna cykl przedstawień dla dzieci. Daje sztukę B. Popławskiego p. t. „Cud na Powiślu". Jest to pogodny obrazek sceniczny związany treścią z okresem świąt Bożego Narodzenia. Tekst wierszowy przeplatają liczne piosenki i kolendy.

Z muzyki

Ninon Vallin i Jacques Thibaud

Konserwatorjum gościło w swych murach dwie znakomite gwiazdy: słynną primadonnę paryskiej Opéra Comique, Ninon Vallin i wielkiego muzyka J. Thibaud. Wspólny recital tych świetnych odtwórców był prawdziwą ucztą artystyczną.

Bogaty i obfity program rozpoczął J. Thibaud Sonatą na skrzypce i fortepian C. Francka. Pewne początkowe skrępowanie nie pozwalało znakomitemu artyście zabłysnąć odrazu całą potęgą swego zdumiewającego talentu. Dwa pierwsze Allegra i Recitativ-Fanfaria nie miały jeszcze tego wysokiego polotu co następne Allegretto poco mosso. Zato już Choconnę Vitali'ego - Charbier'a wykonał J. Thibaud znakomicie.

Bardzo piękny ton, szlachetny temperament i poważna kultura muzyczna stanowią wybitne walory tego świetnego skrzypka, mającego za sobą już długoletnią karjerę artystyczną.

Na zakończenie ciekawego programu Thibaud zagrał wspaniale szereg drobiazgów: Fontaine d'Arethuse Szymanowskiego, Minstrels Débussy'ego, Malaguenę Albeniza i La vida brese De Falla, wywołując swą żywiołową grą spontaniczne owacje publiczności.

Ninon Vallin olśniła nas niebywałą kulturą wokalną, znakomitą szkołą i nadzwyczajnie postawionym głosem. Jej interpretacja stoi na najwyższym poziomie artystycznym.

Wykonała ona wzorowo piękny i subtelny program: „L'amour de moi", czarującą pieśń francuską z XV-go w. Arję z opery „Wesele Figara" Mozarta, „O del mio dolce ardor" Glucka, Arję z opery „Judasz Makabeusz" Haendla — monumentalne dzieła, których wartość N. Vallin uwidoczniła w całej pełni. Pozatem szereg wartościowych pieśni kompozytorów francuskich Duparc'a (Chanson triste), Faure'go (La rose i Après un rêve) Debussy'ego (c'est l'extase langoureuse i Mandoline) i Charbier'a (Les cigales), odśpiewała p. Vallin ze szczerą prostotą i wykwintnym smakiem.

Towarzyszył jej na fortepianie Pierre Darck współwykonawcą J. Thibaud był doskonały pianista Tasso Janopoulo.

Michał Kondracki.

H. Temianka i J. Horenstein w Filharmonji

Henry Temianka, zdobywca III nagrody na zeszłorocznym konkursie skrzypcowym im. Wieniawskiego dowiódł swym występem na koncercie piątkowym, że sukces jego nie był przypadkowy. Wykonał on koncert skrzypcowy Beethovena, „kamień probierczy" prawdziwego artyzmu i wyszedł z tej próby zwycięsko. Wykazał umiejętność głębokiego wczucia się w styl Beethovena i, zachowując klasyczny umiar, nie pozbawił tego dzieła tego przedziwnego uroku poetyckiego, którem ono jest owiane. Pod względem technicznym wykonanie było bez zarzutu.

Doskonale akompanjował Temiance popularny już w Warszawie dyrygent Jascha Horenstein. Zarzucić mu można w tym akompanjamencie tylko przesadne pianissima, wskutek których w niektórych momentach wogóle nie słychać było orkiestry. Różnorodność swego talentu wykazał Horenstein w pozostałych numerach programu: 3-ciej Symfonji Brahmsa, Uwerturze z „Tannhäusera" i dwóch „Nokturnach" Debussy'ego (prowadzonych z dużym polotem i wyczuciem stylu impresjonistycznego). Pozatem zawierał koncert piątkowy I-sze wykonanie nowego utworu symfonicznego Michała Kondrackiego: „Mecz".

Jest to dzieło, należące do typu t. zw. muzyki „rzeczowej". Hasłem tej „nowej rzeczowości" jest opisywanie przez muzykę tematów dotąd dla niej obcych, a wyrażających zawrotne tempo współczesnego życia; tematami takiemi są maszyny, praca na fabrykach, sport. Utwór Kondrackiego nie jest jednak zwyczajną imitacją muzyczną zawodów sportowych. Sport jest dla niego tylko symbolem tempa i walki, asumptem do stworzenia dzieła o walorach czysto muzycznych. Dlatego też nie daje Kondracki swemu utworowi żadnego objaśnienia programowego, nie zaznacza nawet o jaki „mecz" chodzi. W gruncie rzeczy jest to mecz pomiędzy poszczególnemi instrumentami lub poszczególnemi tematami. Wyróżnić się dają dwa główne tematy: pierwszy o charakterze rytmicznym, drugi o charakterystycznym i jędrnym rysunku melodyjnym, powierzonym głównie instrumentom mosiężnym. Przeróżne odmiany, jakim ulega ten drugi temat oraz jego kombinacje z tematem pierwszym dają bardzo interesujący obraz „współzawodnictwa" tematycznego. Cały ten materjał ujęty jest w ramki zawrotnego rytmu, trzymającego słuchacza w napięciu przez cały czas. Horenstein prowadził utwór ten bardzo dobrze, dając właściwe, bardzo szybkie tempo i wydobywające pomimo to wszystkie charakterystyczne szczegóły i efekty polirytmiczne.

Zastępca.

Z plastyki

Drzeworyt na ścianie

Podczas wydawania drzeworytów naszym subskrybentom, w redakcji „ABC", na ścianach zawiesiliśmy egzemplarze tych prac, oprawne w ramki, wedle wyboru artysty. Niejednokrotnie miałem sposobność stwierdzić, z jaką uwagą nasi miłośnicy grafiki, te ramki oglądali, jak wypowiadali swoje uwagi i spostrzeżenia na ten temat i jak bynajmniej kwestji oprawy nie lekceważąc, rozważali z zainteresowaniem przeróżne jej możliwości. Fakt ten sprawia nam, artystom, prawdziwą radość; przykładanie takiej wagi do pozornego drobiazgu, pozwala żywić nadzieję, iż ludzie, którzy to robią, zadbają również o inne wartości estetyczne własnego mieszkania. Jeśli tak dalej pójdzie, nadejdzie wkońcu czas, gdy wiersz Tuwima „W strasznych mieszkaniach, straszni ludzie...", okaże się niezrozumiały i będzie strzałem, który chybia celu.

Tymczasem dla osób, które wzorów opraw u nas nie oglądały i, mieszkając poza Warszawą, nie będą miały po temu sposobności, postaram się opisać kilka zasadniczych typów ramek, odpowiednich do oprawy w nie drzeworytów, czarnych i barwnych. Zacznijmy od drzeworytu czarnego. Ramka do grafiki jest znacznie węższa od ramki do obrazów olejnych i t. p. i nie przekracza zwykle w swej szerokości 3 ctm. Ten rozmiar należy uznać za najszerszy, a najbardziej rozpowszechniony, posiada przeważnie 1 i pół centymetra szer. Największe możliwości zastosowania ma i najczęściej też bywa używana rameczka prawie płaska (lekko wypukła) z drzewa surowego, dębu, jesionu, czasem olchy, bardzo lekko przepoliturowana. Taki typ ramki odpowiada niemal wszystkim drzeworytom czarnym i jeśli nie mamy apetytu na coś bardziej wyrafinowanego, możemy śmiało na nim poprzestać. Niektórzy graficy, w ostatnich czasach, poczęli stosować rameczki srebrne, których kształt w przekroju ma formę trójkąta. Czerń drzeworytu, w połączeniu z efektem srebra, sprawia wrażenie dość poważne, natomiast rameczka z jesionu, lub dębu jednoczy się z ryciną w gamę bardziej pogodną w kolorze. Oczywiście, oprócz tych typów zasadniczych, istnieje wiele odmian indywidualnych, które może doradzić sam autor drzeworytu, albo nasze specjalne upodobanie. W tym ostatnim wypadku trzeba jednak mieć już pewne doświadczenie i wyrobiony smak.

Najbardziej uniwersalnym typem ramki do drzeworytów barwnych jest taka sama rameczka jesionowa, lub dębowa, z dodaniem od wewnątrz wąziutkiej czarnej listewki. Podobna dwubarwność ramki dobrze odpowiada barwności ryciny, a wstrzemięźliwość takiego zestawienia przeznacza je dla wielu odmian kolorystycznych barwnego drzeworytu. Z tej rameczki można po pewnym czasie wyjąć drzeworyt i włożyć w nią, dla odmiany, inny, o ile ma te same wymiary. Na wystawie w „ABC" graficy pokazali, tym razem, ramki inne, ściśle dostosowane do oprawionych w nie drzeworytów i jedynie dla nich przeznaczone. Przegląd tylu odmian pozwoli wyłowić pewną zasadę: oto wszystkie te ramki, o skomplikowanym już i bogatszym profilu, srebrne i złote, posiadały pozatem wąski pasek, znaczony matową barwą. Barwa ta zawsze odpowiadała jednej z barw drzeworytu. A więc np. p. Krasnodębska - Gardowska oprawiła swój drzeworyt, czarno - bronzowy, w złotą rameczkę, z ciemnym, czerwonym paskiem. Odpowiednikiem czerwono - pomarańczowej barwy, w drzeworycie Cieślewskiego Syna, są, tegoż koloru, paski, na wypukłej, srebrnej ramce. Mój drzeworyt ma barwy: brunatną i niebiesko - zielonkawą więc i ramkę dobrałem srebrnozłotą, z paskiem ciemniejszym, niebieskim.

Tych kilka uwag zapewne wystarczy tym, co pragną oprawić swe drzeworyty, trzeba jeszcze dodać, że drzeworyt, oprawiony i powieszony na ścianie, staje się jej najbliższym sąsiadem, wobec czego nieobojętną będzie sprawa harmonji (barwnej), między tymi sąsiadami. Na wsi dziś jeszcze często spotykamy ściany bielone. Białe tło jest neutralne i z niem kłopotu nie będzie, wybierać wypadnie wtenczas, gdy za tło drzeworytom damy kolorową tapetę. Niestety fabryki nie przestały nas jeszcze częstować wzromi, o wielkim pstrym deseniu. Nie radzę nikomu takiej tapety używać. Cztery ściany wnętrza, ograniczające przestrzeń, stwarzają nam schron i zacisze, te najcenniejsze wartości mieszkania; gdy pragniemy przestrzeni, wychodzimy poprostu z domu i nie trzeba, by tapeta nam sugerowała swym plastycznym, kwietnio - liściastym ornamentem, że ściany nie istnieją i dość przestąpić tą imitowaną roślinność, by znaleźć się w krzakach. Najlepiej ściany malować klejowo, jedną barwą, albo dobrać tapetę bez wzoru, lub o wzorku b. drobnym, z odległości zlewającym się w całość jednej barwy. To ostatnie, jeśli chodzi o tapetę, jest najpraktyczniejsze, gdyż zupełnie gładka tapeta prędzej się brudzi. Ramki drzeworytu nie powinny być zupełnie w tym samym kolorze i walorze, co ściana, bo wtenczas ściana je wchłonie. Jeśli mają podobny kolor, niech będą ciemniejsze w walorze, jeśli walor je upodabnia, niech kolor stanowi różnicę. Pożądane są kontrasty, trzeba tylko pamiętać o harmonji. Na szaro - niebieskiej ścianie żółty jesion ramki będzie ładnie wyglądał, a na tle łagodnej zieleni dobrze się wyda ramka ciemno - brunatna. Kombinacyj może być mnóstwo, ale oczywiście trudno pamiętać tylko o sharmonizowaniu kolorystycznem ścian z obrazkami; w pokoju znajdują się meble — barwa drzewa, w zestawieniu z kolorem ściany, oto nowe zagadnienie, które będziemy musieli omówić oddzielnie. Jednak już z przytoczonych uwag wynika chyba jasno, że kwestja pieniędzy nie jest wcale, przy estetycznem urządzeniu mieszkania, najważniejsza.

Wiktor Podoski.

P.S. W „ABC", z poprzedniej niedzieli napisałem feljeton o tapczanie, na co mi zareplikował p. Sułkowski. Najzupełniej zgadzam się z 2 argumentami z pierwszej połowy jego odpowiedzi, przyczem muszę zastrzec, iż tylko pierwszy z nich dotyczy bezpośrednio tapczana, ten omawiający jego właściwości jako sprzętu. Racja — chowanie pościeli w tapczanie nie jest higjeniczne, toteż współcześni meblarze wcale nie są z takiego rozwiązania sprawy zadowoleni i pracują nad usunięciem tego niedostatku. Natomiast nic na to nie poradzę, że niektórzy lubią się rozkładać na tapczanie w obecności obcych. W tym wypadku nie tapczan zawinił, dając ku temu możliwości, tylko ludzie, jeśli z nich skorzystali. Pan Sułkowski i ja posiadamy uczciwe, polskie nosy. Posiadamy też i palce. A jednak palcem w nosie żaden z nas nie dłubie.

A przecież możliwości są...

W. P.

GRUDZIEŃ

8

NIEDZIELA

SŁOŃCE	
wschód	zachód
7—30	15—24
KSIĘŻYC	
wschód	zachód
13—45	5—43
Dł. dnia	Ubyło
7—54	8—52

Dziś N. P. N. M. P.
Jutro św. Walerji.

Teatry

TEATR WIELKI: Dziś i w środę „Baron cygański". W poniedziałek teatr nieczynny. We wtorek i w piątek „Aida" z gościnnym występem Caterine Jarboro z opery chicagowskiej. Dziś o 12-ej „Św. Mikołaj", o 3.30 „Rose Marie".

TEATR NARODOWY: Dziś o g. 3.30 pop. „Pan Damazy". Dziś i we wtorek „Przepióreczka" Żeromskiego. W poniedziałek i środę „Cyd".

TEATR POLSKI: Dziś o godz. 3 pop. „Kordjan". Dziś i jutro „Kres wędrówki".

W przyszłym tygodniu premjera „Zburzenie Jerozolimy" Konczyńskiego.

TEATR NOWY: Dziś o godz. 3.30 pop. „Łańcuch". Wieczorem „Powrót mamy".

W przyszłym tygodniu premjera „Był sobie więzień".

TEATR LETNI: Dziś o godz. 4 pop. „Dom otwarty". Wieczorem „Przedziwny stop" Kirszowa.

TEATR MAŁY: Dziś o godz. 4 pop. po raz 61-szy i o godz. 8 wiecz. po raz 62-gi komedja Shaw'a „Żołnierz i bohater".

STOŁECZNY TEATR POWSZ.: Dziś „Okrężne" o godz. 16-ej i 19-ej przy ul. Młynarskiej Nr. 2. W poniedziałek teatr nieczynny. We wtorek „Okrężne" o godz. 16-ej i 19-ej przy ul. Elbląskiej 51.

TEATR ATENEUM: Dziś po raz ostatni „Turoń" z Jaraczem w roli Szeli. W przyszłym tygodniu premjera wesołej groteski Hemara (według Nestroy'a) „Trójki hultajskiej" z udziałem S. Jaracza.

TEATR KAMERALNY: Jeszcze kilka dni Ibsena „Budowniczy Solness" z Adwentowiczem. Wkrótce premjera komedji Jaroszyńskiego p. t. „Sąsiadka". Dziś o 4-ej po cenach zniżonych „Ponad śnieg" St. Żeromskiego.

INSTYTUT REDUTY: Nieczynny. W przygotowaniu 2-aktowa komedja C. Norwida p. t.: „Pierścień wielkiej damy".

TEATR MALICKIEJ (Karowa 18): Codziennie o 8 w. „Epoka tempa" z Malicką. Dziś o 4-ej popoł. „Noe".

CYRULIK WARSZAWSKI: Aktualna satyra „Z przedziałkiem". Codziennie dwa przedstawienia o godz. 7.15 i 9.45 wiecz.

WIELKA REWJA (Karowa 18): Dziś i codziennie komedja muzyczna Bernauera i Oesterreichera „Minister i dessous" z H. Ordonówną i A. Fertnerem.

TEATR HOLLYWOOD: Codziennie rewja „Warszawa—Nowy Jork". Pocz. 7.15 i 9.30. W niedziele i święta 6.15 i 8.15.

OPERETKA NA CHŁODNEJ: Dziś i codziennie operetka Kalmana „Hrabina Marica".

CYRK STANIEWSKICH: Dziś i codziennie o godz. 8.15 wiecz. nowy program. We wtorki, środy i niedziele o 4.30 i 8.15.

TEATR ORTYMA DLA DZIECI (Kredytowa 14): Dziś o 12-ej i 4-ej „Św. Mikołaj".

TEATR DZIECIĘCY (w teatrze Kameralnym): Dziś komedjo-opera A. Życkiego „Robinson Kruzoe".

Reorganizacja budżetów domowych
wymaga przygotowania gospodarczego pani domu

Konieczność reorganizacji budżetów domowych wobec obniżki płac, absorbuje dziś wszystkich. Trud przystosowania budżetu do zmniejszonych możliwości finansowych spoczywa oczywiście na barkach kobiety — gospodyni domu.

Niestety, kobiety nie umieją układać budżetów. Uświadomienie gospodarcze kobiet jest u nas bardzo słabe; jeśli zważymy, że na kursach gospodarstwa domowego przebywa rocznie 6.000 kobiet, to okaże się, że zaledwie jedna kobieta na tysiąc posiada przeszkolenie gospodarcze.

Nad uświadomieniem gospodarczem kobiet w celu podniesienia poziomu życia rodziny i zorganizowania wzorowego domu, pracuje od 10-ciu lat Związek Pań Domu, który szerzy wiadomości z zakresu domoznawstwa, ulepszania metod pracy w gospodarstwie domowem, narzędzi, sprzętu i t. p.

Oddział warszawski organizuje obecnie na przedmieściach bezpłatne pokazy gotowania tanich, racjonalnie przyrządzanych potraw i pokazy czynności gospodarskich dla kobiet z najuboższych warstw. Działalność ta objęła Rybaki, Koło, Bielany, Wolę, budząc wszędzie olbrzymie zainteresowanie, gromadząc na pokazach po kilkaset kobiet. Najbliższe pokazy odbędą się na terenie fabryki karabinów oraz w sąsiadującej z nią przędzalni przy ul. Dworskiej. Pokazy uczą, jak prawidłowo spełniać prace domowe, a przez to oszczędzać siły, pieniądze i czas, jak obchodzić się z produktami spożywczemi, przechowywać je i przygotowywać, jak urozmaicać i ulepszać odżywianie. Pokazy uzupełniają pogadanki na temat urządzenia małego mieszkania, tanich sprzętów domowych, prania i t. p.

Oprócz wydziału na przedmieściach, Związek Pań Domu posiada 13 innych oddziałów, jak np. bibljoteki i czytelnie, kursów, mieszkań i urządzeń, praktycznej poradni gospodarczej, pracownic domowych, robót ręcznych, wieczorów literackich, zbiorowych zakupów z rabatami, odczytów i t. d.

Pracownicy miejscy domagają się
zasadniczego oddłużenia

Odbyło się nadzwyczajne zgromadzenie delegatów kół wydziałowych związku zawodowego pracowników samorządowych m. stoł. Warszawy (urzędników), poświęcone głównie sprawie nowych ustaw pracowniczych, które mają być niebawem przedmiotem konferencji w M. S. Wewn.

Zgromadzenie delegatów zaakceptowało jednomyślnie konieczność jaknaściślejszej współpracy z organizacjami robotniczemi. Jedna z uchwał mówi, że dotychczasowe doświadczenia wystarczająco wskazują na to, jak wielką szkodę przynosi rozbicie organizacyjne pracowników samorządowych i wzywa zarząd, by poczynił kroki w kierunku stałego organizacyjnego związania wszystkich pracowników miejskich: umysłowych i fizycznych stolicy i całego państwa.

Inna uchwała mówi o tem, by uczynić wszystko możliwe, aby zapewnić wspólny z pracownikami umysłowemi udział przedstawicieli central związków zawodowych robotników w konferencji w M. S. Wewn. w sprawie ustaw pracowniczych (o stosunkach służbowych i odpowiedzialności dyscyplinarnej).

Następnie ustalono szereg postulatów, których przedstawiciele pracowników samorządowych mają bronić na konferencji w Ministerstwie.

Pozatem uznano, iż dotychczasowe ulgi, zastosowane przez Zarząd miejski w związku z nowemi obciążeniami, w najmniejszym stopniu nie równoważą strat poniesionych w związku z nowem obciążeniem podatkowem. Polecono zarządowi, by w dalszym ciągu czynił starania o zasadnicze oddłużenie pracowników miejskich, o wydatne obniżenie komornego w domach miejskich e. t. c.

Rzemieślnicy-chrześcijanie
radzą w Warszawie

Wobec zjazdu Związku Stow. Rzemieślników Chrześcijan, który odbędzie się w niedzielę, 8 b. m., oraz zjazdu Rady Naczelnej Zw. Izb Rzemieślniczych, który odbędzie się w poniedziałek, 9 b. m., już w sobotę przybył do Warszawy szereg delegatów organizacyj rzemieślniczych z całego kraju.

W sobotę w Związku Izb Rzemieślniczych odbyła się walna narada branżowa, podczas której omawiano zasady eksportu wyrobów wędliniarskich oraz sposobu przeciwdziałania nielojalnej konkurencji kartelu bekonowego.

Rewizja
Taksy aptekarskiej

W związku z dokonanem już lub mającem nastąpić obniżeniem cen szeregu artykułów skartelizowanych, jak np. szkła, cukru, węgla, niektórych chemikaljów etc. należy oczekiwać zaktualizowania cen niektórych artykułów, taksy aptekarskiej, co spowoduje pewną obniżkę cen lekarstw.

Złodziej orderów
w mieszkaniu adwokata

Do mieszkania adw. St. Małachowskiego (Filtrowa 30) w czasie nieobecności gospodarzy zgłosił się osobnik, podający się za rotmistrza Komorowskiego z Mińska-Mazowieckiego. Korzystając z nieuwagi służącej, która go na chwilę zostawiła samego, wyjął z gabloty stare monety i opróżnił część pudełek z orderami, zabierając srebrną plakę orderu portugalskiego „Pro Christo", złotą komandorję hiszpańską „Merito Civil" i włoski krzyż oficerski „Corona d'Italia", poczem mieszkanie opuścił. Szybkość i zręczność, z jaką otworzył, a następnie pozamykał pudełka i szafę znamionują wytrawnego złodzieja.

Przestrzega się lombardy i sklepy z wyrobami jubilerskiemi przed kradzionemi orderami.

Wypadki i kradzieże

Napad na dozorcę. Na dozorcę nocnego, Jana Zabłockiego (Chełmska 26), napadł jakiś nieznany mężczyzna, który zranił go ciężko w głowę. Napastnik zbiegł. Ciężko rannego przewieziono do szpitala Dz. Jezus.

Samobójstwo pracownika pocztowego. Woźny urzędu pocztowego, Bolesław Bielawski (Fabryczna 5), otruł się sublimatem. Desperata przewieziono do szpitala Dz. Jezus. Policja prowadzi dochodzenie, by ustalić przyczyny tragicznego kroku.

Samobójstwo emeryta. Zamieszkały przy ul. Koszykowej 1, Lucjan Stępkowski, emeryt, postrzelił się w celu samobójczym w serce. Desperata w stanie groźnym przewieziono do szpitala Dz. Jezus. Przyczyną zamachu samobójczego było obniżenie emerytury, która była jego jedynym środkiem utrzymania.

Samochód na chodniku. Wczoraj samochód ciężarowy, prowadzony przez Edwarda Grysza, chcąc wyminąć przechodzącą przez jezdnię jakąś kobietę, skręcił tak gwałtownie, że wpadł na chodnik i przygniótł dwie osoby. Przy pomocy policjanta, spod kół samochodu wydobyto Aleksandrę Tryptę, którą przewieziono do szpitala Przem. Pańskiego, i Adelę Wdowiarek, która po opatrunku udała się do domu. Szofera aresztowano.

Bójka w restauracji. W restauracji na Krak. Przedmieściu podchmielił sobie Aleksander Tempo (Powszechna 12), który wszczął awanturę z właścicielką baru, Heleną Kwiecińską. W czasie bójki Kwiecińska została ranna szklanką w głowę. Ranną opatrzył wezwany lekarz.

Samobójstwo więźnia. W poczekalni Sądu Apelacyjnego usiłował pozbawić się życia więzień Roman Chrzanowski, przyprowadzony na rozprawę sądową z więzienia przy ul. Dzielnej 24. Desperat poranił się scyzorykiem, zadając sobie kilkanaście ran ciętych szyi i rąk. Po udzieleniu pierwszej pomocy, więźnia umieszczono w szpitalu więziennym.

Z miasta

DOROŻKI SAMOCHODOWE

Na dzień 1 grudnia r. b. czynnych dorożek samochodowych w Warszawie było 1710. W listopadzie przybyło 21 dorożek samochodowych, z rejestru nie wykreśliła się ani jedna.

RABATY W GAZOWNI

Udzielane w b. r. przez Gazownię Warszawską rabaty od zwiększonej konsumcji ustalone zostały na 8 gr. od m.³. Jeśli to zwiększone zużycie w ciągu np. roku wyraziło się 80 m., to rabat wyniesie 6.40 zł.

Rabat będzie wypłacany w styczniu i lutym 1936 r. wszystkim tym, którzy wykażą się zwiększoną konsmucją gazu w gospodarstwie domowem.

Radjo

WARSZAWA
Niedziela, 8 grudnia.

9.00 Sygnał czasu i pieśń „Pod Twą obronę". 9.03 „Gazetka roln."— w opr. St. Jagiełły. 9.15 Muzyka (pł.). 9.40 Dzien. por. 9.50 Progr. na dz. bież. 10.00 Muzyka salonowa w wyk. Oktetu Squir'a (pł.) 10.30 NABOŻEŃSTWO Z KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA W WARSZAWIE. KAZANIE NA UROCZYSTOŚĆ NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NAJŚWIĘTSZEJ MARJI PANNY NA TEMAT „W BLASKACH POWSTAJĄCEJ ZORZY"—WYGŁ. KS. PRAŁAT DR. T. JACHIMOWSKI. W CZASIE NABOŻEŃSTWA ŚPIEWAĆ BĘDZIE CHÓR ŚWIĘTOKRZYSKI POD KIER. KS. PROF. J. URSZULIKA. 11.57 Sygnał czasu. 12.03 Przegl. teatr. 12.15 Poranek muzyczny (z Katowic). Wyk.: Ork. Symf. pod dyr. F. Kulczyckiego, chóry i I. Strokowska - Faryaszewska (śpiew). Karol Rund: Symfonja polska — wyk. ork. Marjan Cyrus - Sobolewski: Preambule, Bolesław Szabelski: Symfonja Nr. 2 — wyk. chór, ork. i soliści. M. Cyrus - Sobolewski: Mazur z suity Nr. 1 — wyk. ork. W przerwie około godz. 13.00 Teatr Wyobraźni: Fragment słuchowiskowy z dramatu Henryka IBSENA „HEDDA GABLER" w opr. Konrada Górskiego, prof. U. S. B. (z Wilna). 14.00 „Matka" — Opowiadanie Wł. St. Reymonta. 14.20 Muzyka salonowa w wyk. Zespołu A. Sandlera i Oktetu Squire'a (pł.). 15.00 „Godzina rolnicza": „Przyjemnie i pożytecznie" — pogad. M. Strześniewskiego, gospodarza małorolnego z pow. Sierpeckiego. Muzyka (pł.). „Przegląd rynków produktów rolnych" — St. Prus - Wiśniewski. Muzyka (płyty). Przemówienie przedstawiciela Min. Rolnictwa i R. R. 16.00 „O Stasiu — narciarzu" (Przygoda w Górach Skalistych) — opow. dla dzieci starszych J. Giżyckiego. 16.15 „Marsze różnych narodów": Konc. w wyk. ork. 58 p. p. 16.45 „Cała Polska śpiewa" — Konc. chóru męsk. Tow. Śpiewaczego „Echo-Macierz" pod dyr. J. Kołaczkowskiego (ze Lwowa). W programie pieśni ludowe Jana Galla. 17.00 Muzyka tan. w wyk. ork. W. Roszkowskiego i St. Sznewara. 17.40 „Migawki regjonalne" — aud. muzyczno-słowna. 18.00 Recital fort. J. Familier-Hepnerowej. W progr. R. Wagner—F. Liszt: Śmierć Izoldy, F. Mendelssohn: 3 pieśni bez słów, Fr. Schubert—F. Liszt: Wieczory wiedeńskie. Z. Stojowski: Chant d'amour, St. Malinowski: Mazurek cis-moll, Temno di vaise, Ig. Friedman: Niecierpliwość, Figle pierrota, Etiuda G-dur Nr. 2. 18.30 Wielki Teatr Wyobraźni: Słuchowisko oryginalne Jerzego SZANIAWSKIEGO „ZEGAREK" (wznowienie). Obsada: Zegarmistrz Arten — St. Jaracz. Pani — M. Ćwiklińska, Jan — M. Znicz, Mecenas — A. oBgusiński. 19.05 Program na dz. nast. 19.15 Konc. rekl. 19.40 Wiad. sport. 19.45 „Co czytać?" — książki o teatrze i aktorach omówi dr. J. Ronard-Bujański. 20.00 Konc. w wyk. Kapeli Łowieckiej Zw. Młodzieży Ludowej (Tr. do Berlina). 20.30 Max Reger: Serenada op. 77, a. na flet, skrzypce i altówkę (z Krakowa). 20.45 „Wyj. z pism Piłsudskiego". 20.50 Dzien. wiecz. 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali". 21.30 „Podróżujmy". W „Pieninach" — felj. — wygł. Jan Kleczyński. 21.45 Wiad. sport. 22.00 Muzyka tan. w wyk. Małej Ork. P. R. i Adam Aston (refreny). 23.00 Wiad. meteor. dla kom. lotn. 23.05 Muzyka tan. (płyty).

Poniedziałek, 9 grudnia.

6.30 „Kiedy ranne". 6.33 Pobudka do gimn. 6.34 Gimnastyka. 6.50 Muzyka (pł.). W przerwie o godz. 7.20 Dzien. por. 7.50 Progr. na dz. bież. 7.55 „Parę inform.". 8.00 Aud. dla szkół.

11.57 Sygnał czasu. 12.03 Dzien. południ. 12.15 Konc. w wyk. Małej Ork. P. R. 13.25 Chwilka gosp. domowego.

15.15 Wiad. o eksporcie. 15.20 Przegl. gield. 15.30 Konc. Ork. 5 p. p. leg. (z Wilna). 16.00 Lekcja jęz. niem. — lektor dr. Jan Piprek. 16.15 Muzyka salonowa w wyk. Ork. Pawła Godwina (pł.). 16.45 „WIELKIE ŁOWY" — SKECZ PIOTRA CAMI, W PRZEKŁADZIE I ADAPT. MARKA PTAKOWSKIEGO. 17.00 „Kobiety w służbie idei obrony kraju" — pogad. wygł. senatorka Wł. Macieszyna (z Krakowa). 17.15 „Minuta poezji": Wiersze liryczne Cyprjana Norwida. 17.20 Recital śpiewaczy H. Łosakiewicz - Molickiej. Akomp. M. Bilińska (z Krakowa). F. Veracini: Pastorale z op. „Rosalinda", G. Puccini: Walc Musety z op. „Cyganerja", Billi: Śpiew świerszcza, P. Tirindelli: Wiosna, L. Delibes: Pieśń hiszpańska, St. Niewiadomski: a) Śmieją się złote łany, b) Wesele, F. Rybicki: Za pocałunek twój, Pankiewicz: Kwiatek. 17.50 „Mechanizm psychiki zwierzęcej" — pog.—wygł. prof. Jan Dembowski (z Wilna). 18.00 Roman Statkowski: Kwartet Smyczkowy Nr. 4 op. 38. Wyk. Kwartet Polski. 18.30 „Listy od dzieci" — omówi W. Tatarkiewicz-Małkowska. 18.40 „Życie kult. i art. stolicy". 18.45 Progr. na dz. nast. 18.55 „Skrzynka roln." — inż. W. Tarkowski. 19.05 Konc. rekl. 19.35 Wiad. sport. 19.50 Pogad. aktualna. 20.00 Koncert pośw. twórczości KOMPOZYTORA ŁUŻYCKIEGO BJERNATA KRAWCA. Transm. z Sali św. Marcina (z Poznania). Słowo wstępne „Muzyka Łużycka"—wygł. dr. Zygmunt Sitowski, Bj. Krawca: a) Wulki stysk, b) Wisuje — wyk. chór mieszany „Harmonja" pod dyr. M. Weigta, a) Burska reja, b) Pri kolebcy — wyk. Klara Kaulfussówna (skrzypce), Bj. Krawec: a) Zemja swiat, serbska zemja, b) Wosud — wyk. Aniela Tomkiewiczówna, „Ze serbska hole (Z łużyckiej gleby) — suita na kwartet smyczkowy — wykon.: M. Paszkiet (I-e skrzypce), A. Duszyński (II-e skrzypce). J. Rakowski (altówka), A. Rözler (wiolonczela). 20.45 Dzien. wiecz. 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej". 21.00 „Poeci klasyczni we Lwowie" — wieczór literacki (ze Lwowa). 21.30 „Carmen" — opera w 4-ch aktach G. Bizet'a — w wyk. Zespołu teatru „La Scala" w Medjolanie (płyty „Columbia"). W przerwie o godz. 22.30—22.35 Wiad. meteor. dla kom. lotn.

Kina

ACRON: „Człowiek dwóch światów" i „10-ciu z Pawiaka".
ADRIA: „Szkarłatny kwiat".
ANTINEA: „Burza o Brzasku" i „Awantarki jego córki".
AS: „ABC miłość", „Co mój mąż w nocy".
AMOR: „Bez nazwiska" i „Człowiek o stu maskach".
APOLLO: „Ostatni Posterunek".
BAŁTYK: „Anna Karenina".
CAPITOL: „Jaśnie Pan Szofer".
CASINO: „Dziewczę z Budapesztu".
COLOSSEUM DUŻE: „Wacuś".
COLOSSEUM (MAŁA SALA): „Świat się śmieje".
CORSO: „Babona" i rewja.
ELITE: „Mężowie do wyboru" i „Bolero".
ERA: „Epizod" i dodatki.
EUROPA: „Piekło".
FAMA: „Najpiękniejszy dzień mego życia".
FILHARMONJA: „Gabinet Figur Woskowych".
FLORIDA: „Teraz i zawsze" oraz „Nana".
FORUM: „Niebezpieczna Piękność" i „Szpieg 13".
HELJOS: „Dzień wielkiej przygody" i do.
KOMETA: „Tajemnicza dama" i rewja.
KINOTEATR MIEJSKI: „Mała mateczka".
LOS: „Żywy zastaw" i dod.
MASKA: „Jestem zbiegiem" i „Prowokator Azef".
MAJESTIC: „Dyktator".
MARS: „Julika" i „Żółty detektyw".
MEWA: „Legjon Nieustraszonych" i „Flip i Flap — byli sobie dwaj hultaje".
MUCHA: „Muszę być młody" i „Tajemnica Domu Habsburgów".
NOWA TOMBOLA: „Skandale miljonerów" i „Zamiana Serc".
OKO PRASKIE: „Wyprawy krzyżowe".
PAN: „Chińskie Morze".
PAR. ŚW. ANDRZEJA: „Pogromcy Indjan" i dod.
PETIT TRIANON: „Urwis z Wiednia" i „Szczęście na ulicy".
POPULARNY: „Ulica" i „Kobieta szuka miłości".
PRAGA: „Mała Mateczka" i rewja.
RAJ: „Wyspa Skarbów".
RENA: „Antek Policmajster" i dodatki.
RIALTO: „Zaczęło się od pocałunku".
STYLOWY: „Sen Nocy Letniej".
SFINKS: „Kapryśna Marjeta" i rewja.
SOKÓŁ: „[illegible] Sing" i „Noc karnawałowa".
ŚWIAT: „Niechcę wiedzieć, kim jesteś" i dodatki.
TON: „Mały pułkownik".
UCIECHA: „Bengali".
UNJA: „Casanova".

II-gi OSTATNI RECITAL FRANCE ELLEGAARD

W niedzielę 8 b. m. o godz. 20.15 odbędzie się w sali Konserwatorjum drugi nieodwołalnie ostatni recital fortepianowy wspaniałej pianistki duńskiej France Ellegaard, której ostatnie 2 koncerty przeszły pod znakiem największego sukcesu artystycznego. Doskonała artystka wykona urozmaicony program, złożony z utworów Mozarta, Schumanna (Etiudy symfoniczne), Liszta, Chopina, Schuberta, Dohnanyi'ego, Débussy'ego.

Bilety sprzedaje Kasa Teatralna „Orbis", Al. Jerozolimska 33.

Najazd bojowców O.U.N. na Kiwerce

Epilog procesu terorystów ukraińskich w Łucku

ŁUCK, 7.12. — Przed sądem okręgowym w Łucku zasiadło 8-u mołojców ukraińskich w wieku od lat 17-tu do 23, przeważnie mieszkańcy wsi Kiwerce pod Łuckiem.

Kiwerce uchodzi za gniazdo rodzinne O. U. N. na Wołyniu. Na czele tutejszego prowidu terorystów stał pierwotnie wywrotowiec Iwan Skopiuk, skazany wyrokiem sądu w Stanisławowie na długoletnią karę więzienia.

Po uwięzieniu Skopiuka prowidnykiem bojówkarzy został główny oskarżony w obecnym procesie w Łucku — Konrad Szwec, lat 22. Poza innymi należeli do bojówki kiwerckiej osławieni bandyci Mefodiej Nikitiuk i Stefan Siluk, którzy przed paru dniami zostali zabici w walce z policją na ulicach miasta Kowla. Morderstwo, popełnione przez Nikitiuka i Siluka, między innymi na osobie ks. Piałaczenki w Podębcach, dokonane były z „wyroku" terorystów kiwereckich.

Szczególnie intensywną akcję rozwijali bojówkarze na terenie szkolnym. Rozagitowani do obłędu bojówkarze powybijali w okolicznych szkołach wszystkie szyby, przyczem szkołę powszechną w Kiwercach spotkał los ten dwukrotnie. Jad nienawiści do wszystkiego, co polskie, starali się wpajać już w duszę dziecka, któremu zabraniali posługiwania się w szkole językiem polskim.

Poza masowym kolportażem antypaństwowej literatury urządzali teroryści zbiórki na uzbrojenie bojówek. Pieniądze na cele partyjne starali się wydobyć nawet terorem. Ks. Piałaczenko, który groźby terorystów się nie uląkł, padł zamordowany z ich rozkazu. Ten sam los spotkał niejakiego Ignaca Prytulę, którego bojówkarze podejrzewali o kontakt z policją.

Obecnie rozegrał się epilog opisanych wypadków przed sądem. Po przeprowadzeniu przewodu sądowego skazani zostali: Konrad Szwec ze wsi Żydyczyn — na 10 lat więzienia, Stefan Mazwiec, lat 20, ze wsi Kiwerce — na 8 lat więzienia, Nazar Drożdziuk, lat 23, Nikita Drożdziuk, lat 20, Teodor Miśkowiec, lat 21, Amfjon Krupski, lat 22, wszyscy ze wsi Kiwerce oraz Arseni Ślusaruk, lat 22, ze wsi Żydyczyn — po 6 lat więzienia każdy i utratę praw obywatelskich na lat 10, poza tem 17-letni Paweł Sidoruk ze wsi Teremno skazany został na 2 lata więzienia z pozbawieniem praw na 6 lat; z uwagi na młodociany wiek tego oskarżonego sąd zawiesił wykonanie wyroku na 5 lat.

Prawda o spadku australijskim

SOSNOWIEC, 7.12. (Tel. wł.). Niedawno pojawiły się sensacyjne wiadomości o spadku w wysokości 600 miljonów złotych, pozostawionym przez emigranta Schöna, posiadającego krewnych w Polsce. W związku ze spadkiem miała rzekomo wystąpić również z pretensjami rodzina znanych przemysłowców, Schönów z Sosnowca.

Jak się dowiadujemy, wiadomość ta jest nieprawdziwa. Pp. Schönowie z Sosnowca nie występowali z pretensjami do spadku, choćby z tego względu, że idzie tu o dwie różne rodziny, między któremi niema pokrewieństwa.

Bibljoteki uniwersyteckie w opresji

nie mogą otrzymać książek zagranicznych nie mając jaj ni bekonów na wymianę

LWÓW, 7.12. (Tel. wł.). Mniej więcej od dwóch tygodni bibljoteki wyższych zakładów naukowych nie mogą otrzymać książek, ani czasopism naukowych, zamówionych w Niemczech, bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem księgarń. Wszystkie przesyłki książek i czasopism z Niemiec, adresowane do naukowych instytucyj oraz do poszczególnych osób, zatrzymywane są przez urząd celny na poczcie, który domaga się od adresatów przedłożenia dowodu importowego do Niemiec towarów na równoważną kwotę!?

Ponieważ bibljoteki naukowe, ani osoby, pracujące naukowo, nie prowadzą z Niemcami handlu, w szczególności nie wysyłają tam... bekonów, jaj, ani masła, a tem samem nie mogą być w posiadaniu zaświadczeń eksportowych, tworzy się dla nich sytuacja wysoce kłopotliwa, a Izba Przem.-Handl., do której się zwrócono o ratunek, oświadczyła, że nic poradzić nie może i że należy się zwrócić do Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Jako curiosum należy zaznaczyć że urząd celny odmówił bibljotece uniwersyteckiej wydania przesłanego egzemplarza dzieła naukowego, wypożyczonego bezpłatnie lwowskiemu Uniwersytetowi przez jedną z bibljotek niemieckich, na zasadzie istniejącego porozumienia międzybibljotecznego.

W księgarniach sprowadzających książki naukowe z Niemiec, od wielu dni zamarł ruch. Bibljoteka Politechniki przestała sprowadzać nowości z dziedziny techniki, zato w salach urzędu celnego góra niepodjętych przesyłek rośnie z każdym dniem.

Wystawa bezrobotnych w Poznaniu

POZNAŃ, 7.12. (Tel. wł.). — Wczoraj odbyło się na Urbanowie otwarcie wystawy prac bezrobotnych Pań Wincentego a Paulo parafji św. Jana Vianney na Sołaczu. Wobec przybyłych gości przewodnicząca Pań św. Wincentego a Paulo, prof. Nikiewska przemówiła bardzo serdecznie i podkreśliła wysiłki wszystkich członkiń w kierunku odsuwania od najbiedniejszych, stale i systematycznie, „czarnych myśli". Dzięki dyr. Wietrzychowskiej zatrudniono bezrobotnych z Urbanowa przy praktycznych robotach ręcznych. Prace te znajdują się na wystawie w restauracji parku sołackiego.

W ciągu pierwszego dnia zdołano sprzedać wiele zabawek i robótek ręcznych, wykonanych niejednokrotnie przez biedne wdowy z 6 dzieci.

Pierwsza wycieczka turystów z Polski na Litwę

W końcu b. m. dojść ma do skutku pierwsza wycieczka turystyczna z Polski na Litwę. Władze litewskie zgodziły się na udzielenie wiz wjazdowych grupie turystów polskich, która zwiedzić ma Łotwę, Litwę i Prusy Wschodnie.

Przekroczenie granicy litewskiej odbyć się ma na pograniczu Łotwy i Litwy. Wycieczka wyruszy przed świętami Bożego Narodzenia, weźmie w niej udział około 200 osób, przeważnie mieszkańców Wileńszczyzny, którzy chcą się zobaczyć ze swymi krewnymi na Litwie.

Lód grubości 7 cm. na Dźwinie

Służba Hydrograficzna Dyrekcji Dróg Wodnych obserwuje ukazywanie się powłoki lodowej na rzekach kresowych spowodu niskich temperatur, panujących na Kresach Wschodnich. Pod lodem stoi już Niemen, oraz Dźwina.

Pod Dzisną lód osiągnął już grubość 7 cm.

W dniu patronki górników...

Straszna śmierć górnika w bieda-szybie

SOSNOWIEC, 7.12. (Tel. wł.). Niezwykle tragiczny wypadek wydarzył się w jednym z bieda-szybów w Zagórzu. W szybiku, głębokości kilku metrów, znajdował się zajęty wydobywaniem węgla 27-letni Leon Górniak, zamieszkały na kolonji Bory w Kazimierzu.

W pewnej chwili spadł leżący na powierzchni, u wylotu szybu drewniany wałek od kołowrotu, zakończony żelaznym prętem. Ostry koniec wałka wbił się w głowę, znajdującego się na dnie szybu Górniaka.

Po spostrzeżeniu wypadku wydobyto nieszczęśliwego górnika i przewieziono go natychmiast do szpitala powiatowego w Będzinie, gdzie po upływie kilku godzin zmarł w strasznych męczarniach.

Wiadomość o wypadku rozeszła się szybko w całej okolicy, gdzie mieszka wielu bezrobotnych górników, wywołując duże wrażenie i szereg komentarzy ze względu na to, że wydarzył się w dniu patronki górników.

Wśród okolicznej ludności panuje przekonanie, że onegdajszy wypadek jest karą Bożą za pogwałcenie święta górników.

Chór krakowski przed mikrofonem berlińskim

BERLIN, 6. 12. (PAT). Dziś przybyła do Berlina wycieczka, złożona z 70-ciu członków związku młodzieży polskiej, chłopców i dziewcząt. Równocześnie przybyło 33 członków krakowskiego chóru młodzieży. Chór ten wystąpi w niedzielę w radjostacji niemieckiej.

Wizyta ta stanowi odpowiedź na wycieczkę młodzieży narodowo - socjalistycznej, która wiosną b. r. wystąpiła przed mikrofonem radjostacji warszawskiej.

Przed meczem bokserskim Warszawa—Hamburg

Reprezentację Warszawy czeka w niedzielę międzymiastowy mecz bokserski z reprezentacją Hamburga. Mecz ten odbędzie się w cyrku o godz. 12. Hamburg należy do najsilniejszych okręgów pięściarskich Niemiec. Niedawno Hamburg pokonał Berlin 11:5. Przypomnimy, że Berlin pokonał przedtem Warszawę 12:4. Opierając się na tych dwóch wynikach, zdawałoby się, że rezultat meczu Warszawa — Hamburg nie może być dla nas pomyślny. Uwzględniając jednak okoliczności takie, jak niesprawiedliwe oceny sędziów w stosunku do pięściarzy warszawskich na meczu w Berlinie, oraz takie same w stosunku do pięściarzy berlińskich na meczu w Hamburgu, spodziewać się należy, że wynik dla Warszawy nie wypadnie źle.

Pięściarze nasi mają poważny handicap w postaci własnego terenu i własnej publiczności. Powinno to być dla niej dopingiem i dlatego też oczekujemy od nich walki ambitnej. W składzie reprezentacji Warszawy zaszły pewne zmiany. Ostatecznie drużyna stołeczna wystąpi w następującym składzie. Rotholc, Czortek, Kozłowski, Polus, Seweryniak, Karpiński, Ożarek i Mizerski.

Dziś w Warszawie

W stolicy odbędą się dziś, t. j. w sobotę, dwie imprezy sportowe. W Domu Akademickim, o godz. 16-ej — eliminacyjne zawody szermiercze w szabli i w szpadzie przy udziale czołowych szermierzy polskich oraz zawodników węgierskich. Na Dynasach, o godz. 19.40 — eliminacje w „Pierwszym kroku bokserskim"

Wyjazd piłkarzy do Grecji

Reprezentacja Krakowa w piłce nożnej otrzymała zaproszenie na trzy mecze do Grecji. Okręg zaproszenie przyjął i rozpoczął już odpowiednie przygotowania w związku z wyjazdem. Mecz odbędą się w czasie od 20 do 28 b. m.

Projekty zagraniczne hokeistów

Na dni 14 — 16 b. m. projektowane są dwie zagraniczne ekspedycje naszych hokeistów. Czarni pojadą na dwa mecze do Bukaresztu, a Cracovia na dwa mecze do Berlina.

Na wokandzie

Miljony dla rodziny czy dla Rady Adwokackiej

W dniu wczorajszym Sąd Apelacyjny rozpoznawał głośną sprawę o spadek pozostawiony przez ś. p. Kotermanowiczową, do którego roszczą sobie pretensje Rada Adwokacka w Warszawie oraz rodzina zmarłej.

Po wysłuchaniu głosów stron, sąd odroczył ogłoszenie wyroku względnie decyzji na dwa tygodnie. Należy przypomnieć, że sprawa powyższa została osądzona przez Sąd Okręgowy na korzyść Rady Adwokackiej, natomiast Sąd Apelacyjny przyznał słuszność rodzinie zmarłej, zasądzając na jej rzecz miljonowy spadek. Wyrok ten jednak został uchylony przez Sąd Najwyższy i dlatego sprawa ponownie znalazła się w Sądzie Apelacyjnym.

Krzywda adw. Berkama

W dniu wczorajszym miało nastąpić ogłoszenie wyroku w sensacyjnej sprawie adw. Berkama, wytoczonej przeciwko redakcji jednego z pism stołecznych o odszkodowanie w wysokości 3.000 zł. za umieszczenie niezgodnej z prawdą wzmianki. Sprawa powstała w związku z kilkoma artykułami, które pojawiły się w tym dzienniku o bezprawnem i podstępnem jakoby umieszczeniu przez adw. Berkama jego siostry w zakładzie dla umysłowo chorych.

Adw. Berkam, twierdząc, że wzmianki te wyrządziły mu dużą krzywdę, domaga się odszkodowania od pisma za szkody i straty moralne, w wysokości 3.000 zł.

Sąd odroczył ogłoszenie wyroku do dnia 10 grudnia r. b.

Nauczyciel pobił i skopał dziecko

BARANOWICZE, 7.12. (Tel. wł.). Do władz w Nowej Myszy zwrócił się ojciec ucznia szkoły powszechnej 5-go oddziału, Jana Kruka, z zaświadczeniem od lekarza powiatowego, stwierdzającem pobicie jego syna.

W dniu 3 b. m. podczas lekcji gimnastyki uczni 5 oddziału szkoły powszechnej, prowadzonej przez nauczyciela tej szkoły Łuszczyckiego, dzieci ulepiły ze śniegu „bałwana". Jeden z uczniów pchnął Jana Kruka, który wraz z „bałwanem" upadł na ziemię, co wywołało burzę śmiechu wśród bawiących się dzieci. Nauczyciel Łuszczycki, widząc, że „bałwana" przewrócił Jan Kruk, podbiegł do niego, uderzył pięścią w głowę, a gdy uczeń ten upadł, nauczyciel zaczął kopać go nogami. Pokrwawiony Jan Kruk udał się do kierowniczki szkoły, która zabandażowała mu pokaleczoną głowę i rękę.

Zajście to wywołało ogromne oburzenie wśród miejscowego społeczeństwa.

Walka polskich dorożkarzy z inwazją żydowską w Krakowie

KRAKÓW, 7.12. (Tel. wł.). W Krakowie istnieją dwie korporacje przemysłowe dorożkarzy: chrześcijańska i żydowska. Członkowie korporacji chrześcijańskiej, na mocy rozporządzeń władz przemysłowych i politycznych zajmują stanowiska we wszystkich dzielnicach Krakowa, z wyłączeniem dzielnic żydowskich, które znowu są niepodzielną domeną dorożkarzy żydów.

W ostatnim czasie jednak dorożkarze żydowscy czynią podkopy pod stan posiadania dorożkarzy chrześcijańskich, których usiłują wyprzeć z niektórych stanowisk w mieście. Wysiłki żydów, dyskretnie popieranych przez pewne wpływowe czynniki, uwieńczone już zostały pomyślnemi dla nich rezultatami, zdobyli bowiem w ostatnich latach dwa nowe miejsca postoju, najnowszym zaś celem zabiegów żydowskich dorożkarzy jest uzyskanie prawa postoju na głównym dworcu osobowym i wyrugowanie stamtąd przynajmniej pewnej liczby dorożkarzy chrześcijańskich. Usadowienie się żydów dorożkarzy na głównym dworcu osobowym ma swoje szczególne znaczenie dla charakteru miasta w oczach przyjezdnych.

Wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa utraty conajmniej kilku placówek zarobkowania, dorożkarze chrześcijańscy odbyli ogólne zgromadzenie, na którem, w obecności radców miejskich d-ra B. Rozmarynowicza i dra W. Bogdanowskiego omówiono stosunki i ciężkie warunki egzystencji w tym zawodzie panujące, które przedstawił prezes korporacji p. Lenczowski, oraz niebezpieczeństwo, jakie ze strony żydowskiej zagraża, uchwalono jednomyślnie zaprotestować przeciw powiększaniu liczby miejsc postoju dorożkarzy żydowskich w mieście. Równocześnie wybrano delegację w celu przedstawienia tej sprawy w zarządzie miasta.

W przededniu opuszczenia więzienia

Popełnił w celi samobójstwo

POZNAŃ, 7.12 (Tel. wł.) W więzieniu sądowem w Lesznie popełnił samobójstwo 19-letni Stefan Kucharski zamieszkujący stale w Kaliszu ul. Dubrzecka 38. Wypadek jest bardzo dziwny, bo denat miał być w tym dniu wypuszczony na wolność. W Lesznie schwytano go na dworcu kolejowym, ponieważ przyjechał z Kalisza na gapę. Umieszczono go w areszcie, wkrótce odbyła się rozprawa sądowa i chłopak skazany został na 2 tygodnie aresztu z zawieszeniem. Po rozprawie Kucharskiego odprowadzono spowrotem do celi; miano mu przygotować papiery i wypuścić na wolność. Gdy strażnik więzienny zjawił się w celi Kucharskiego denat już nie żył, powiesił się. Co było właściwie przyczyną tego rozpaczliwego kroku, narazie nie wiadomo.

Wrażenie wyroku haskiego w Gdańsku

Wizyta Wysokiego Komisarza w Warszawie

Wyrok trybunału haskiego stwierdzający naruszenie konstytucji wolnego miasta przez senat hitlerowski, wywarł w Gdańsku ogromne wrażenie. Organ socjalistyczny „Danziger Volksstimme", poświęcił wyrokowi artykuł wstępny, w którym dowodzi, że orzeczenie trybunału haskiego nie może pozostać bez konsekwencji dla obecnych stosunków politycznych w wolnem mieście. Artykuł tym razem nie uległ konfiskacie.

Inne pisma gdańskie ograniczyły się do podania treści orzeczenia haskiego, nie dając żadnych komentarzy. Zwrócono natomiast w dziennikach gdańskich uwagę, że wyrok haski spotkał się z bardzo ostrą krytyką w prasie berlińskiej.

W gdańskich kołach politycznych wyrażają przypuszczenie, że w czasie wizyty Wysokiego Komisarza Ligi Narodów Leastera w Warszawie przedmiotem rozmów między nim a miarodajnymi czynnikami polskimi będą nietylko sprawy finansowo - gospodarcze, ale także i polityczne konsekwencje wyroku haskiego. Wyrok ten stanie się bowiem przedmiotem obrad styczniowej sesji Rady Ligi Narodów.

Wysoki Komisarz Leaster udał się na sobotę, 7 b. m., do Warszawy, aby z rządowemi czynnikami polskiemi omówić aktualne zagadnienia polsko - gdańskie. Przedmiotem narad w Warszawie muszą być m. i. pewne nowe rozbieżności przy stosowaniu ostatniej umowy w sprawie waluty a także osłabienie działalności portu gdańskiego. Osłabienie to wystąpiło wskutek zamierania wywozu węgla polskiego do Włoch.

Zdemolowali areszt i bujają na wolności

PUŁAWY, 7.12 (tel. wł.). W areszcie posterunku policyjnego w Opolu (pow. puławski) osadzono pięciu opryszków, mających na sumieniu szereg napadów i kradzieży. Popołudniu rzucili się oni na dozorcę, pobili go dotkliwie, zabierając rewolwer z nabojami, a następnie zdemolowali całe urządzenie aresztu i uciekli. Za opryszkami wszczęto pościg.

Garnkiem i kamieniem

bandyci pobili nauczycielkę

WILNO, 7.12. (Tel. wł.). W piątek mieszkańcy ul. Zygmuntowskiej zostali zaalarmowani napadem rabunkowym na 61-l. emeryt. nauczycielkę Stefanję Dabulewicz. Biegnąc na ratunek, zatrzymali na schodach młodzieńca, który oświadczył, że był u Dabulewiczowej i że jest bratem jej posługaczki.

Osobnika zatrzymano i kiedy otworzono drzwi do p. D., znaleziono ją w kałuży krwi z 20-tu ranami, zadanemi garnkiem i kamieniem.

Dabulewiczową w ciężkim stanie odwieziono do szpitala. Gdy odzyskała przytomność i skonfrontowano ją z zatrzymanym osobnikiem, rozpoznała w nim napastnika. Jest to niej Stan. Kasprzewicz, który zeznał w dalszym ciągu, że wszedł do mieszkania, gdyż słyszał krzyki Dabulewiczowej. Osadzono go w areszcie.

Przywileje dla pracowników Zakładu Ubezpieczeń Społecznych

Pracownicy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych otrzymali remuneracje, sięgające jednomiesięcznej pensji. Zrozumiałe, że pracownicy Ubezpieczeń Społecznych w w trakcie szału reorganizacyjnego pracowali nadmiernie i że wynagrodzenie im się za ten czas należy i przypuszczalnie nawet większe. Lecz dziwnem się wydaje, że pracownicy Ubezpieczalni Społecznych, które podlegają Zakładowi — nie otrzymują za swą pracę żadnych remuneracyj i nie mają nadziei otrzymania, bo Zakład już swego czasu odmówił zatwierdzenia wypłaty, motywując niedoborami w Ubezpieczalniach.

Jak z tego wynika, władze nadzorcze, które swe istnienie zawdzięczają Ubezpieczalni, dobrze dbają o swoje interesy — nie zważając na to, że uposażenia ich są większe. Koszty administracyjne rosną — ubezpieczeni niecierpliwią się — a o samorządzie i współpracy ze społeczeństwem tylko się mówi...

Zwierzęta - sieroty

Jak się niemi opiekują ludzie?

Bezbronne małe stworzenie, pozbawione opieki macierzyńskiej, rzucone na pastwę losu, wzbudza litość każdego człowieka, który posiada chociaż odrobinę serca. Widok opuszczonych sierot po zdechłej suczce lub kotce, powoduje zawsze zajęcie się niemi i niejednokrotnie ludzie uważają sobie poniekąd za punkt honoru dać opiekę tym bezbronnym stworzeniom i utrzymać je przy życiu.

Zdarza się coprawda i tak, że indywidua, pozbawione najmniejszego nawet uczucia litości, pastwią się nad biednemi stworzeniami i pozwalają często, aby ślepe psy lub kociaki stawały się ofiarą okrutnych zabaw niesfornych dzieci. Ludzie, którzy przechodzą mimo tego spokojnie i bez reagowania, dają świadectwo swojej niskiej kultury, bowiem człowiek o wysokiej kulturze znajdzie zawsze iskierkę litości. Przykład tego dał przed laty Poverillo, święty biedaczyna z Asyżu, który był opiekunem i przyjacielem zwierząt.

Dziś, w krajach o wysokim stopniu kultury, istnieje cały szereg towarzystw miłośników zwierząt, a także i dzikim ochrony przed okrucieństwem ludzkiem. Towarzystwa i Ligi Przyjaciół Zwierząt roztaczają swoją opiekę i tworzą organizację międzynarodową. Istnieje też pozatem specjalna prasa i literatura poświęcona zwierzętom. Wśród artykułów na ten temat najciekawsze są może te, które pisali ludzie, poświęcający się z zamiłowaniem hodowaniu zwierząt dzikich w warunkach możliwie jaknajlepszych. Szczególnie interesujące są relacje o wychowaniu osierociałych maleństw.

Między in. więc pewien Szkot napisał bardzo ciekawy artykuł o swoim kosie, którego znalazł w lesie i wychował. Ptaszek był jeszcze ślepy i pozbawiony upierzenia. Umieścił go w ciepłem gniazdku i karmił mlekiem i wodą wpuszczanemi do dziobka za pomocą kroplomierza. Ptaszek zgłodniały przyjmował podawane w ten sposób pożywienie, a później, jak się okazało, zaczął nawet zdradzać różne gusta i kaprysy i stanowczo przekładał np. mleko słodzone nad mleko zwykłe. Pozatem specjalną uwagę trzeba było zwracać w okresie porastania ptaszka w piórka. Maleństwo powinno było być utrzymywane w cieple, ale niemożliwością było aplikowanie mu kąpieli słonecznych, które są szkodliwe i źle działają na cienką skórkę pisklęcia. Wobec tego, Szkot trzymał ptaszka w cieniu, ale zato w pokoju silnie ogrzanym.

Niemniej ciekawe są relacje o wychowaniu małego lwiątka. Ta sierota po lwicy, która zakończyła swój żywot przy wydawaniu na świat potomstwa, była naprawdę trudna. Maleństwo nie chciało przyjmować żadnego posiłku z ludzkiej ręki, która posiadała wyczuwane instynktownie wrogi zapach. Wobec tego trzeba było, aby opiekunowie, dając mleko w butelce ze smoczkiem stawiali ją na jakiś czas przedtem w klatce lwiej, tak aby przeszła zapachem lwów. Potem jednak małe lwiątko tak się przyzwyczaiło do ludzkiej opieki, że kiedy miało już dwa miesiące, samo przynosiło w pyszczku swoją miskę, prosząc o mleko, niczem tresowany psiak.

Podobnie dodatnie wyniki dały próby wychowania osierociałych małpek, które przywiązywały się do swoich opiekunów wprost nieprawdopodobnie. Doświadczenia z ocelotami wykazały to samo.

Ale najzabawniejsze było może wychowanie małej foki, którą znalazła w pobliżu Santa Barbara (Kalifornja) niejaka Elsie Moore. Trzeba trafu, że zabłąkała się w tamtej stronie gromada fok, wśród których były i focze dzieci. Najsłabsze widać z nich nie mogło nadążyć za płynącą szybko gromadą i mimo rozpaczliwych wysiłków pozostało wtyle. Foki przerażone widokiem ludzi zniknęły szybko, a biedactwo zostało bezradne wśród fal oceanu. Wtedy to urocza Amerykanka ubłagawszy rybaków, aby pomogli jej wyratować foczę, postanowiła wychować je. Było to jeszcze małe stworzenie, niewiele większe od foksterjera, pokryte zbyt luźno fałdującą się skórą. Foczątko okazało się dziwnie mądre i pojętne i odrazu zaczęło zdradzać poważny apetyt.

Wobec tego, panna Moore zajęła się intensywnem odżywianiem znajdki, karmiąc ją oślem mlekiem, podawanem w butelce ze smoczkiem. Foka tak pokochała swoją opiekunkę, że potem ilekroć razy była głodna, pakowała jej się bez ceremonji na kolana i przymykając oczy, otwierała pyszczek. oczekując na smoczek. Oczywiście, że te karesy musiały się skończyć, gdyż foczątko wyrosło na wielką fokę, bardzo mądrą i przywiązaną do swej pani, a ośle mleko, którem karmiono zwierzę, trzeba było potem zastąpić rybami.



Akademja chirurgji

Istniejące w Paryżu Towarzystwo Chirurgów zostało na mocy ustawy przemianowane na Akademję Chirurgji. Nowa Akademja otrzymuje te same prawa i przywileje, co istniejąca już Akademja Medycyny i tem samem staje się częścią składową Institut de France, do którego należy m. in. Akademja Francuska.

Handlarz żywym towarem

zdemaskowany przez jego przygodną znajomą

LWÓW, 7.12. (Tel. wł.). Wczoraj wypłynęła sprawa, która spowodu towarzyszących jej charakterystycznych okoliczności zdaje się wskazywać na to, iż ośrodkiem jej jest handel żywym towarem.

Nawiązaną została ta sprawa w pociągu pomiędzy Krakowem a Lwowem, pomiędzy niejaką Teresą Stapler, Rumunką, a pozostającym bez określonego zajęcia i stałego miejsca zamieszkania Fryderykiem Wegnerem.

Teresa Stapler, zamieszkała stale w Rumunji, przebywała ostatnio w Berlinie i powzięła zamiar wyjazdu do Brazylji, gdy jednak matka na wyjazd jej nie zgodziła się i zawezwała ją do powrotu do Rumunji, Irena Stapler, odbywała właśnie drogę powrotną do swego kraju.

Na przestrzeni między Krakowem a Lwowem nawiązał z nią przygodną znajomość Fryderyk Wegner, który namówił Steplerównę, aby przerwała podróż i wstąpiła do Lwowa. Pobudkami, jakie nim w tej mierze kierowały zajmują się obecnie władze policyjne.

I rzeczywiście Teresa Stapler przerwała w dniu wczorajszym swą podróż do Rumunji i zajechała do hotelu „Polonia", gdzie pokój zajął i Wegner. Wymieniona zjawiła się rano w komisarjacie P. P. z doniesieniem, skierowanem przeciw Wegnerowi w którem pomiędzy innemi zeznała, iż wśród niewyjaśnionych bliżej okoliczności znikła z jej torebki kwota 15 zł.

Policja przytrzymała przedewszystkiem Wegnera, u którego przeprowadzona rewizja osobista wykryła bardzo dużą ilość zdjęć fotograficznych młodych kobiet, czego Wegner nie zdołał, względnie nie chciał wyjaśnić.

Władze policyjne są zdania, iż sprawa zahacza się o handel żywym towarem, przyczem Wegner ma być jednym z agentów jakiejś międzynarodowej organizacji, prowadzącej ten haniebny proceder. Bliższe dochodzenia niewątpliwie sprawę wyjaśnią.

Papryka środkiem zemsty

zdradzonej małżonki

Paprykę, jako środek na zbyt wybujałe skłonności i zapędy „miłosne" wynalazła jedna z kobiet wiejskich w Jugosławji, we wsi Udwar. Jej małżonek, w pełni sił, zapałał miłością ku młodej wdówce, mieszkającej w tej samej wsi, zapominając o wszystkiem.

Zdradzana małżonka postanowiła się zemścić.

Gdy pewnego dnia czuły małżonek wręczył jej większą sumę pieniędzy i wysłał na kurację do jednej z miejscowości kąpielowych, aby tam leczyła reumatyzm, powstało z miejsca w niej podejrzenie, iż afekty do wdówki stały się powodem tej niezwykłej czułości. Pozornie udała się w podróż, na pierwszej stacji wysiadła jednak i powróciła do swojej wsi. Jej podejrzenia okazały się słuszne. Przybywszy do domu, nie mogła się dostać do mieszkania, drzwi bowiem były zamknięte. Mąż na wszystkie zapytania odpowiadał, że nie jest w stanie drzwi otworzyć, ponieważ klucz złamał się w zamku, wobec czego prosił, aby małżonka poszła po ślusarza. Lecz przezorna „pani domu" zorjentowała się w tym podstępie. Postanowiła srogo ukarać wiarołomcę i piękną wdówkę. Rozpaliła ogień w piecu, którego drzwiczki wychodziły do sieni. Na ogień rzuciła paprykę, zatykając przedtem wylot komina. Gryzący dym zapełnił izbę, która stała się „izbą udręki i srogiej kary". Okna szczelnie zakratowane nie pozwoliły zamkniętym wydostać się. Po jakimś czasie wyważono drzwi i zastano oboje leżących na ziemi, zupełnie nieprzytomnych.

Z trudem przywrócono ich do przytomności, a wieść o tak srogiej karze rozeszła się po całej okolicy. Wszystkie zazdrosne żony zaopatrzyły się w paprykę!

Jak wypadł Tydzień czystości w Warszawie

Miejska Służba Zdrowia zorganizowała ostatnio na terenie Warszawy tydzień czystości posesyj. Akcja ta miała na celu podniesienie stanu sanitarnego posesyj drogą pouczania dozorców domowy o sposobie i znaczeniu utrzymania posesyj w należytej czystości.

W wyniku tygodnia, w czasie którego obejrzano 3758 posesyj, zauważyć się dało duże zainteresowanie sprawami porządku zarówno ze strony mieszkańców, jak i administracji domów, a co najważniejsze — dozorców domowych. Na ręce lekarzy sanitarnych ośrodka zdrowia, dokonujących lustracyj, wpłynęło kilkaset skarg i zażaleń oraz uwag, dotyczących stanu porządku na posesjach. Większość tych życzeń rozpatrzonych było na poszczególnych posesjach przy udziale stron zainteresowanych, a mianowicie: osób skarżących oraz administracji i dozorców domowych.

Zaznaczyć należy, iż skargi dotyczyły przeważnie późnego zamiatania schodów, braku spluwaczek, niechlujnego stanu klatek schodowych, w szczególności górnych pięter, oraz sposobu wywożenia śmieci. Obecnie miejska służba zdrowia na podstawie zebranych doświadczeń i materjałów przystępuje do zorganizowania odczytów, wyjaśniających istotę i cele wymagań sanitarnych.

Odczyty te zorganizowane będą przedewszystkiem dla dozorców domowych.

FRANCIS DE CROISSET — 100

DAMA z MALAKKI

POWIEŚĆ

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD M. WAŃKOWICZOWEJ.

— Jaki on jest rasowy — szepnęła Mabel do męża.

Strój Audrey był cudny. Kołnierz opalizującego „badju" zapinał się na trzy lśniące szafiry. Szerokie, przetykane srebrem, szarawary tworzyły rodzaj spódnicy. Woal, cienki jak pajęczyna, otulał ją całą przezroczystym obłokiem. Wyglądała naprawdę, według wyrażenia pani Turpin, „po królewsku". Brylant, lśniący na czole, mniej miał w sobie blasku, niż jej cudne oczy. Kochankowie wiedzieli, że staną tak naprzeciw siebie w obramowaniu ciężkich drzwi, rozpromienili się jednak na swój widok i na twarzach ich odbił się jednakowy wyraz zachwytu i szczęścia. Mały książę Ibrahim, szedł za ojcem w otoczeniu oficerów przybocznej gwardji. Za Audrey na czele dam dworu szła pani Turpin w liljowej sukni, połykając łzy. Pomału zbliżyli się małżonkowie do kadi'ego, który przystąpił do spełnienia tradycyjnego rytuału. Poczem Selim, skłoniwszy się przed gubernatorem, wszedł na stopnie wzniesienia i usiadł na tronie. Audrey nieruchoma, czekała. Weszli dwaj oficerowie, a za nimi herold, niosąc na poduszce z wyszytemi pięknie herbami, koronę. Podszedł do tronu i ukląkł. Skolei zbliżyła się Audrey i złożyła głęboki ukłon. Selim zeszedł jeden stopień i, ująwszy w obie ręce koronę, włożył ją na głowę małżonki. Ruchem dłoni zaprosił sułtankę do zajęcia miejsca; po krótkiej chwili wstała z tronu.

— Teraz twoja kolej — szepnął jej po francusku. — Odwagi!

Tegoż ranka powtarzała Audrey przed panią Turpin trzy zdania, które miała teraz wypowiedzieć.

— Boże drogi, byleby się nie pomyliła — myślała z bijącem sercem Krystyna.

Ku wielkiemu zdumieniu tubylców, Audrey bombardowana zewsząd magnezjowemi pociskami, wymówiła pewnym głosem i bez cudzoziemskiego akcentu, odpowiednie formułki.

Zaczęła się defilada. Audrey patrzała na zbliżającego się gubernatora. Wiedziała, że Selim i ona mają wstać tylko dla niego, zejść dwa stopnie i tam oczekiwać jego czołobitności.

— Jestem nad wyraz zaszczycony, że mogę złożyć Waszym Książęcym Wysokościom — mówił głośno gubernator — życzenia szczęścia, które raczyli przesłać na moje ręce dla Waszych Wysokości Król i Królowa Wielkiej Brytanji, cesarz i cesarzowa Indyj. Nie potrafię już nic dodać do tak dostojnych powinszowań.

Zatrzymał się sekundę. Selim zamrszczył brwi.

— Chyba jedynie to — zwrócił się z miłym uśmiechem do Audrey — że lady Brandmore i ja, czekamy z niecierpliwością na wieczór 25 maja, na którym będziemy mieli wielki zaszczyt przedstawić sfery towarzyskie Rahajangu Księżnie, której pochodzenie angielskie zacieśni jeszcze więzy, łączące imperjum brytyjskie z sułtanatem Udaigoru.

Selim, podziękowawszy Jego Ekscelencji, skinął na Audrey. Wyjęła kwiat z czary. Księstwo wręczali każdemu z gości kwiaty. Tego wymagała tradycja.

— Bardzo mi przykro, że lady Brandmore jest cierpiącą. Wasza Ekscelencja zechce łaskawie powtórzyć małżonce, że i ja również oczekuję z niecierpliwością chwili poznania jej.

— Niema co mówić, ta mała, to pani całą gębą — myślał lord Brandmore, wychodząc wolnym krokiem z sali.

Kapitan Trowere - Smith, bardzo blady, skłonił się przed księstwem. Selim, stojący po prawicy Audrey, pierwszy wręczył mu kwiat, Audrey zrobiła to samo, odwracając oczy. W chwili, gdy Mabel defilowała przed nią, szepnęła cichutko:

— Za chwilę uściskam Cię, teraz nie mam prawa.

Obecnie wprowadzono tłum mniej ważnych gości, którym pozwolono złożyć hołd nowożeńcom.

Durbar trwał dwie godziny. Zasadniczo rytualne zabawy i nieuniknione uczty, powinny były trwać trzy dni, zredukowano je do wielkiego śniadania i obiadu w ściślejszem kółku. Gdy wreszcie skończyły się ceremonje i oboje młodzi znaleźli się w „ustroniu". Selim, któremu dusza wyrywała się ze szczęścia, uniósł Audrey w ramionach.

— Miłości moja, zachowałaś się wspaniale, tak jakbyś całe życie panowała. Czy cię to bawi?

— Wszystko mnie zaciekawia, jak jestem z tobą razem. Ty jesteś moim horyzontem.

— Strasznie mi się podobała twoja odpowiedź gubernatorowi. Czy obmyśliłaś ją sobie na wszelki wypadek?

— Nie. Przyszła mi całkiem spontanicznie do głowy. Źle zrobiłam?

— Cały czas myślałam, jakby ci podpowiedzieć to zdanie — odparł Selim, tuląc ją do siebie.

W Rahajangu sezon światowych rozrywek kończył się zwykle koło 15-go maja, wielkim obiadem i balem u gubernatora. Było to najgłówniejsze zdarzenie w miejscowem życiu towarzyskiem, ważniejsze nawet, niż wenta przed Bożem Narodzeniem. Tym razem opóźniony trochę wieczór, zapowiadał się specjalnie sensacyjnie. Na zaproszeniach wydrukowano: „Na cześć J. K. M. sułtanki Udaigoru", a pod spodem: „Mundury. Ordery".

(C. d. n.).

HUMOR

TEŻ SPOSÓB.

— Nasz znajomy ma bliźniaków w szkole, a płaci czesne tylko za jednego.

— Jak on to robi?

— Rano posyła do szkoły Jasia, poobiedzie Stasia, obaj są tak podobni do siebie, że nie można ich odróżnić.

PODRÓŻ POŚLUBNA

— Hallo, a skądeś się wziął?

— Jestem w podróży poślubnej.

— Oho, a gdzie żona?

— Rozumie się w domu. Nie możemy wyjechać razem, bo ktoś musi zostać w sklepie.

(Le Rire).

OSZCZĘDNOŚĆ

— Zarobiłem dzisiaj dziesięć franków.

— A to jak?

— Przechodziłem obok parku, a tam wisiała tabliczka z napisem: „Wejście wzbronione pod karą dziesięciu franków". Zastosowałem się do ostrzeżenia!

(Journal).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 6.66.68 (redaktor naczelny), 6.66.68 (sekretarjat), 666.99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12 — 13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550
PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136
PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-ej stronie—1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologja po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych" liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Bezpłatny dodatek dla Czytelników ABC

ZYGMUNT JURKOWSKI (JUR)

KSIĘŻYCOWE INTERESY

powieść

Rozdział 1.

GAWĘDA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Na szczycie góry, której trudnoby szukać w geografji, oświetlona blaskiem jakiejś nieistniejącej planety, stoi sobie dawno już zmarła ciotka Kamila. Paweł wypatrzył ją zdaleka i pędzi do niej naprzełaj, przez skały, rzeki i wąwozy. Dawno nie widział ciotki Kamili. Tymczasem wyrosła jej czarna broda, którą poczciwa ciotunia ufryzowała sobie z asyryjska w łopatę. Pawła nie dziwi to bynajmniej, przeciwnie, właśnie poznał ją po brodzie i już ma ochotę krzyknąć — Dzień dobry cioci! — gdy nagle spostrzega na jej głowie strażacki hełm. Tknięty złem przeczuciem staje wpół kroku. Nie pamięta, czy ciotka służyła kiedykolwiek w straży ogniowej i w obawie, że zaszła tu jakaś pomyłka, nie waży się podejść bliżej.

Ta chwila niepewności okazuje się zbawienną, bo oto nagle rozlega się potężny huk i góra, na której tkwili oboje, zamienia się w wulkan. Pod stopami ciotki otwiera się czeluść, w którą ta wpada niby Mefisto pod scenę. Z krateru bucha lawa. Paweł słyszy już chrzęst sunącej, rozżarzonej masy. Ogarnięty piekielnym strachem, czyni nadludzkie wysiłki, aby ruszyć się z miejsca. Nie udaje mu się to jednak, lawa ścina go z nóg i pogrąża w czerwoną, gorejącą otchłań.

I oto rzecz dziwna, Paweł nie czuje żadnego bólu. Okazuje się, że ogień wcale nie parzy, przeciwnie, wtopiony w rozpaloną masę, czuje się zupełnie bezpiecznie. Leży sobie spokojnie, niby w miękkiej pościeli o niczem nie myśląc i niczego nie pragnąc.

Chwila błogiego ukojenia trwa niestety krótko, bo oto nagle wwierca się, niby świder, do mózgu pierwsze doznanie.

— Obudziłem się, no całe szczęście!...

Wślad za niem śpieszą następne sygnały, niby gwałtownie pilne telefony.

— Hallo! tu mówi pańskie „Poczucie rzeczywistości". Z tą ciotką to były żarty. Spał pan poprostu, ciężkim, pijackim snem po wczorajszej bibie. W obawie, że będzie się pan nudził, producenci snów nadesłali panu z zaświatów, ten właśnie scenarjusz z ciotką Kamilą w roli głównej, — niezłe, co? Sensu tam było niewiele, ale za to co za ekspresja? Spocił się pan zapewne z wrażenia, teraz przynajmniej cieszy się pan, że żyje. To było tylko tak „na niby", ale sen się już skończył, za chwilę rozpoczniemy nadawanie rzeczywistości.

W ciągu paru sekund Paweł zostaje poinformowany o rzeczach następujących: że nazywa się Popielec, że mieszka na ulicy N. i leży u siebie w łóżku, obudzony z przykrego snu.

Po owych wstępnych danych, niezbędnych do rozpoczęcia życia na jawie, odzywa się w słuchawce jak zwykle, głos „buchaltera samopoczucia".

— Hallo! tu ja, buchalter, uszanowanie. No cóż, to samo co wczoraj.

Przepił pan wszystkie pieniądze, długi rosną, komorne niezapłacone, jutro pewnie wyłączą telefon... Same minusy, rubryka „ma", jest śmiesznie niską przy rubryce „winien". Wygląda jak mała ruderka przy drapaczu Chryslera. Słowem lekceważy pan wielce swoją dość sympatyczną osobę.

O jednem mogę pana zapewnić: że bez względu na to jak będzie się panu wiodło, ja buchalter pańskiego samopoczucia, będę się zgłaszał do pana co rano, iżby pana poinformować jak się pan właściwie ma czuć. W tym względzie może pan na mnie liczyć, będę tak ścisły, jak pańskie sumienie. W ciągu dnia dzisiejszego powinien się pan czuć podle.

— A więc do jutra — uszanowanie!

Paweł otworzył oczy, lecz pod naporem światła zmrużył je natychmiast.

Migawka spojrzenia była tak szybka, że oko nie zdołało utrwalić żadnego szczegółu, ujęło zaledwie ogólny widok ścian, okien i mebli. Wystarczyło to jednak, by zauważyć, że w polu widzenia znajduje się jakiś obcy przedmiot, coś, czego przedtem nie było i do czego wzrok nie zdążył się przyzwyczaić. Mieszczący się w mózgu „Wydział bezpieczeństwa" zaalarmował natychmiast „Główny wydział woli".

— Uwaga! W pańskiem mieszkaniu znajduje się coś obcego, radzimy spojrzeć!

Paweł otworzył szeroko oczy i ujrzał tuż za krawędzią łóżka kosmyk wystających włosów; gdy uniósł zlekka głowę, dostrzegł zarys policzka.

— Ktoś leży na podłodze! — ostrzegał „Wydział bezpieczeństwa". Wiadomość była tak niespodziewaną, że wszystkie, nawet najbardziej senne centra mózgowe, zostały w jednej chwili uruchomione. Frunęły zapytania, pokrzyżowały się odpowiedzi. Paweł z głową wzniesioną nieco nad poduszki, wsłuchiwał się w gorączkową pracę swego mózgu. Czekał na odpowiedź — nadeszła wkrotce z działu informacji.

Nie możemy ustalić skąd wzięła się w pańskim pokoju nieznana dotychczas osoba. Wydział pamięci, do którego dzwoniliśmy z zapytaniem, nie odpowiada. Olbrzymie masy wypitego przez pana alkoholu, pozalewały kable, przerywając tem samem łączność z innemi centrami. Radzimy zwrócić się osobiście do „Działu przypuszczeń wniosków i hipotez".

Stamtąd nadeszła wkrótce niepozbawiona podstaw koncepcja:

„Przypuszczamy, że ubiegłej nocy, szanowny pan znajduje się w stanie zupełnej niepoczytalności, przyprowadził kogoś (względnie on pana), do swego domu. Wygląd, ani też płeć owej osoby, nie jest nam wiadoma. Wnioskując z pańskich zainteresowań, przypuszczamy, że jest to kobieta".

Paweł z bijącem sercem począł wsłuchiwać się w oddech leżącej na podłodze istoty — był ledwie dosłyszalny, co wskazywałoby na to, że nie śpi. Nie wyjaśniało to jednak sprawy i Paweł leżąc bez ruchu, nie wiedział co dalej począć.

Niepewność tej sytuacji została przerwana w sposób nieoczekiwany. Ni stąd, nie zowąd zebrało mu się na kichnięcie. Przez chwilę hamował ten niemiły odruch, krzywiąc się i poruszając nozdrzami; mimo to, kichnął potężnie raz, drugi i trzeci. Leżąca postać poruszyła się niespokojnie i odwróciła do niego twarzą. Paweł spojrzał na nią i zdębiał. Spoza krawędzi łóżka wyzierał jakiś zupełnie mu obcy i rozczochrany łeb, podstarzałego jegomościa. Patrząc na Pawła otępiałym wzrokiem, trwał dłuższą chwilę w bezmyślnej niewiedzy. Wreszcie w jego baraniem spojrzeniu zamigotały błyski świadomości. Odchrząknął pijacką chrypką i rozejrzał się dookoła.

— Hm, dobre sobie... — mruknął. Paweł spoglądał na niego z zakłopotaniem, czując, że jego wygląd jest równie głupi i śmieszny. Dla uzyskania pewności siebie, odgarnął buńczucznym ruchem spadające na czoło włosy. Z trudem wykrztusił pytanie:

— Co pan tu robi?

— Ja?... — bąknął niepewnie jagomość, wytrzeszczając gały.

— No tak, pan.

— Wybaczy pan... — ale ja doprawdy nie wiem, gdzie jestem.

— U mnie...

— A kto pan jest?

— Może pan pierwszy zechce się przedstawić i wytłumaczyć mi, skąd pan się wziął pod mojem łóżkiem?

Intruz rozejrzał się raz jeszcze dookoła, uśmiechnął się niepewnie i rzekł:

— Myśmy się pewnie poznali w jakiej knajpie...

— Nie wiem, ja widzę pana po raz pierwszy.

— I ja pana także pierwszy raz widzę.

— No tak, ale wyspał się pan w moim pokoju a zatem przyzwoitość nakazywałaby powiedzieć mi, kim pan jest.

Jegomość bez słowa odpowiedzi, podniósł się z podłogi.

Teraz dopiero, Paweł dostrzegł na jego lędźwiach swoje własne, pyjamowe spodnie. Resztę stroju dopełniał wyciągnięty psu z gardła frak i nielitościwie zmięta koszula z nadszarpniętym gorsem.

— Pozwoli pan, że się przedtem ubiorę — odburknął gniewnie intruz i począł się rozglądać za garderobą. Paweł zdecydował się również na ubieranie.

— Niewiadomo co się jeszcze wydarzy — myślał — a człowiek nagi staje się bezsilny, jak niegdyś Samson, pozbawiony włosów.

Sprężyście wyskoczył z łóżka i przyjrzawszy się swoim dolnym połaciom, ze zdziwieniem spostrzegł, że ma na nogach spodnie obcego pana. Dopełniając się wzajemnie częściami swoich ubiorów stanowili kolorystycznie pozytyw i negatyw, ponadto Paweł wyczuł na swojej lewej stopie djabelnie piekący i bynajmniej nie jego własny lakierek. Zbadawszy te błędy niepoczytalności, począł się uwalniać od obcych składników garderoby, czemu tamten przyglądał się chmurnie i spodełba.

Nie mówiąc do siebie ani słowa, ubierali się prędko, na wyścigi, szukając pogubionych szczegółów męskiej konfekcji. Zaglądali naprzemian pod szafę, wypatrując błyszczących spinek od mankietów, wspólnemi siłami odsuwali komodę w nadziei znalezienia pod nią skarpetki, dźwigali sapiąc bieliźniarkę, pod którą sprytnie ukrył się kołnierzyk.

Wreszcie po długiem szamotaniu się, otrzepywaniu, myciu i czesaniu, obaj panowie przejrzawszy się w lustrze, uznali, że ich wygląd został doprowadzony do ładu. W chwili, gdy nieznajomy pan, poślinionym palcem usiłował przygładzić odstającego na głowie kogutka, Paweł ponowił swoje żądanie:

— Przypominam panu, że powinien się pan przedstawić.

Tamten nie odezwawszy się słowem, stał spokojnie przed lustrem, muskając szczoteczką szpakowaty wąsik. Przyjrzawszy się sobie z prawa i z lewa, stary elegant odstąpił od lustra i schylił się po leżące na podłodze futro. Przywdziawszy je, wstrząsnął bobrowym kołnierzem dla wyrównania zmierzwionego włosia i dopełniwszy stroju, włożonym z gracją melonikiem, bez słowa skierował się do drzwi. Trzymając rękę na klamce, przystanął chwilę i zwróciwszy się do bezradnie stojącego Pawła, rzekł:

— Daruj pan, ale nie mam ochoty panu się przedstawiać. Zależy mi bardziej na mojej opinji niż na znajomości z byle kim. Wcale nie chcę znać pana i żegnam.

Wypowiedziawszy to zdanie tonem pełnym pogardy, wytworny pan wyszedł, zamykając za sobą drzwi o wiele głośniej, niżby wypadało.

Rozdział 2.

STARSZE PANIE Z PROWINCJI MAJĄ NIEKIEDY RACJĘ.

Tego dnia jeszcze wyłączono telefon. Nie było to zresztą trudne do przewidzenia, jest to bowiem aparat chciwy na gotówkę i mający tę jeszcze właściwość, że nie zasilany pieniężnie, głuchnie i traci mowę. Paweł nie mógł się nadziwić zimnemu okrucieństwu spółki telefonicznej.

— Miljony płyną do nich ze wszystkich stron — rozmyślał w zdenerwowaniu — a mimo to dla głupich kilku złotych, panowie ci wyrzekli się mnie na zawsze; jak owcę parszywą wyrzucili ze stada. Cóżby im szkodziło zostawić jeden nieopłacony aparat w spokoju? Nawet dwa, nawet trzy, ba, nawet trzy tysiące, przecież i tak pracują za nich automaty. Ale najgorsze jest to — uprzytomnił sobie ze smutkiem — że oprócz posiadania telefonu, istnieją jeszcze inne potrzeby w rodzaju obiadu, kolacji...

Gorzkie te rozmyślania przerwało mocne stukanie do drzwi. — Pewnie jakiś drab z elektrowni — pomyślał z pasją, otwierając zatrzask. W szparze drzwi czerwieniała czapka posłańca. Starowina przyniósł list.

Przebiegając drobne, znajome literki, Paweł spostrzegł, że papier drży w jego rękach. Przerwał nawet na chwilę czytanie i przyglądał się temu drżeniu.

— Czyżby aż takie zrobiło to na mnie wrażenie? — zdziwił się w duchu.

Zgłębiwszy treść listu, w zakłopotaniu przesunął ręką po czole i wyczuł na niem kropelki potu.—Dziwne rzeczy się ze mną dzieją — konstatował w jakimś wewnętrznym popłochu. Niepewnym krokiem powędrował w kierunku okna. Ścisła, aż do przesady informacja mózgowa powiadomiła go o tem, że i kolana trzęsą się pod nim niemiłosiernie. — Ano cóż, miłość... — uświadomił sobie z rezygnacją — pocę się, łapy mi się trzęsą, to dziwne, że piękne to uczucie objawia się w tak niesmaczny sposób.

Przycisnął czoło do wilgotnej szyby i zapatrzył się w rude, marcowe obłoki. Przeciągały nad miastem niesforną gromadą, podobne do jego myśli bezładnych i postrzępionych.

Trudno orzec, co złożyło się na ten wstrząs, którym poraził Pawła list, pisany rączką pani Urszuli. Nie orjentując się w całokształcie sprawy, możnaby sądzić, że był to równie dobrze bolesny cios jak wielka, radosna nowina, silne objawy tych wzruszeń niewiele różnią się od siebie. Aby nie ulec złudzeniu, należy popełnić drobną niedyskrecję i przewertować kartoteki Pawła, oznaczone napisem: „Przeżycia miłosne".

A właściwie wszystkiemu są winne starsze panie z prowincji, które mają w tych sprawach wyrobione zdanie i rozmawiając o miłości, powtarzają w kółko jedno i to samo: — Pan się od miłości nie ustrzeże, przyjdzie czas, że spotka pan w życiu „swój typ" i wtedy pan się zakocha. — Mieląc o tym fatalistycznym „Typie kobiety", którą każdy mężczyzna spotyka jeden, jedyny raz w życiu, panie, używające lorgnon, miały wiele racji. Okazało się, że pozornie puste ich głowy, ukrywały gdzieś na dnie prawdę. Paweł przekonał się o tem osobiście, ujrzawszy po raz pierwszą panią Urszulę.

Było to na dorocznym balu w uczelni Pawła, w gmachu studentów architektury. Ale czy aby napewno ujrzał ją tam po raz pierwszy?

Przeprowadzając analizę tych faktów, należy zachować więcej ostrożności, zwłaszcza w określaniu miejsca i czasu, są to momenty ważkie i o błąd nietrudno. Rozważniej będzie zatem cofnąć się nieco wstecz i przejrzeć kartotekę „Miłosnych przeżyć" Pawła od początku.

A więc objektem jego pierwszej i niewyznanej nikomu miłości była wykuta z marmuru Nereida. Tak, był to typowy objaw fetyszyzmu i tem dziwniejszy, że w dziecięcym wieku. Paweł liczył sobie wówczas lat jedenaście. Spędzając wakacje na wsi, przebisurmaniał chłopięce lata w parku, okalającym stare, rodzinne domostwo. Właśnie tam nad sadzawką, otoczona drzewami i do połowy zarośniętą bluszczem, wdzięczyła się do Pawła owa Nereida. Zwinnie przegięta w pasie, schylała się nad wodą, trzymając wyślizgującą się z jej dłoni rybę. Zgrabny nosek i zakreślone lekko ku górze kąciki ust, ożywiały jej twarz wyrazem jakiejś szelmowskiej przekory. Paweł pokochał Nereidę miłością młodego bohatera. Ujawnił to tem, że natychmiast uzbroił się przeciwko Indjanom. Grasowali podobno w okolicy Piotrkowa i mogli w każdej chwili uprowadzić Nereidę. Byłaby to strata, nie do powetowania.

Przeczuwając to, Paweł wystawał przy niej na czatach z łukiem na plecach i dzidą w ręku. Raz zagabnięty przez ojca, czemu wciąż sterczy pod tą figurą, oblał się ponsem po same uszy. Było to piękne i wzniosłe uczucie. Mogłoby ono długo opromieniać Pawła, kto wie może do późnej starości, gdyby nie przysłowiowa męska niestałość. Nereida nie miała nóg. Już od pasa ciągnęła się rybia łuska, zakończona ogonem. Paweł podpatrzył tę różnicę, rozchyliwszy bluszcze. Prawdopodobnie ten właśnie defekt sprawił, że natężenie uczucia z biegiem czasu, poczęło tracić na sile. Zaczęły się zaniedbywania ze strony Pawła, wstydliwe omijania, umyślne przeoczenia — miłość stygła z dnia na dzień, aż wreszcie przyszła chwila, w której Paweł uświadomił sobie, że już Nereidy nie kocha. Po niejakim czasie począł się nawet wstydzić swojej pierwszej miłości i usiłował sam przed sobą obrócić w żart cały incydent. Niezupełnie mu się to udało. Pozostał po niej pewien ślad, który się wyrył w jego wyobraźni. Był to ów filuterny zarys marmurowego noska i zakreślone lekko ku górze kąciki ust. Szelmowski wyraz tego posążku utrwalił się w jego pamięci na zawsze.

Upłynęły dwa lata i Paweł zakochał się po raz wtóry, tym razem w istocie żywej. Była to jedna z córek ekonoma, pannica z szóstej gimnazjalnej, znacznie od niego starsza. Osoba ta obgryzała paznokcie, pisała swoje pamiętniki i miała wiele innych brzydkich przyzwyczajeń. Górowała jednak nad Nereidą tem, że miała prawdziwe, patrzące oczy. Raz błękitne, to znów wpadające w zielonawy odcień, trochę skośne i mrugające długiemi rzęsami. Któż zdoła zliczyć te piękne godziny, gdy wysiadując na ławce pod krzakiem jaśminu, Paweł wpatrywał się w te oczy długo i nieprzerwanie? Były naprawdę piękne i właściwie to jedno usprawiedliwiało istnienie tej pannicy, bowiem reszta jej postaci, była zdecydowanie brzydka i to bez żadnych szans wyładnienia.

To wpłynęło zapewne na osłabienie miłości Pawła, mimo wyraźnie idealistycznych cech tego uczucia. Urwało się ono nagle z chwilą wyjazdu pannicy na pensję. Pozostała jedyna, trwała pamiątka; wrażenie zielonkawych, nieco skośnych oczu, okolonych długiemi rzęsami. Mrugały do niego czasem z wyobraźni.

Gdy skończył lat czternaście, rozpostarło się przed nim olbrzymie pole do popisu. Zaczynały odzywać się zmysły. Paweł coraz baczniej wsłuchiwał się w ich głosy. Spoczątku były cichutkie, niby popiskiwania kurcząt, usiłujących wykluć się z jaja. Zczasem nabrały mocy i rozlegały się coraz wyraźniej. W lot chwytając ich treść, Paweł z wzrastającem zainteresowaniem przypatrywał się młodej pokojówce, Andzi. Zwłaszcza lubił doglądać, czy aby dobrze myje podłogi. Zataczając ścierką kręgi po podłodze, schylała się raz po raz, przyczem odważnie podkasana spódnica, odsłaniała wysoko jej nogi, dziewczęco smukłe i kształtne w kolanach. Małe i zgrabne jej stopy były wymodelowane antycznie i na wesoło. Andzię nie stać było na modne obuwie, przeto chadzała

boso, toteż w odróżnieniu od elegantek, miała nogi gładkie i wolne od bąbli. Nie używała również wody utlenionej. Wychowując się pośród konopi, przyjęła od nich prawem mimicry, barwę dla swoich włosów. Szaro złocisty odcień upodobniał je do konopi, czyli wyrażając się wytwornie, wpadały one w ton „blond platine". Te naturalne bogactwa Andzi sprawiły, że Paweł z natury bardzo nieśmiały, począł ją nagabywać w jakimś nieokreślonym zamiarze. Po pewnym czasie ustalili oboje, że będzie jej udzielał jakichś tam lekcyj. — (Andzia była analfabetką). Nie zwlekając, zasiedli do pracy i wkrótce okazało się, że raczej Andzia nadaje się na profesora. Wcześniej od niego posiadła tę podstawową wiedzę, bez której życie ludzkie stałoby się jeszcze trudniejszą zagadką.

Paweł nauczył się od niej wiele i był jej za to dozgonnie wdzięczny.

Wiedza, którą posiadł, nie figurowała w żadnym gimnazjalnym programie i uchroniła go od wielu komplikacyj, zagrażających młodzieńcom w wieku dojrzewania.

Praktyczne to nauczanie zostało przerwane boleśnie z końcem wakacyj. Nie zdało się na nic udawanie chorego. Niezręczne symulacje wyszły najaw i Paweł chcąc nie chcąc musiał jechać do szkoły. Nigdy z tak ciężkiem sercem nie żegnał ojcowskiego domu. Pamięć jego zyskała jeszcze jeden prezent — wspaniałe nogi, dziewczęco smukłe o kształtnych kolanach. Założone jedna na drugą, rozsiadły się na stałe w jego wyobraźni.

I tak ziarnko do ziarnka w miarę upływających lat, w podświadomości Pawła zarysowywał się coraz wyraźniej typ owej fatalistycznej kobiety, o której zwykły paplać panie z prowincji. Każde przeżycie miłosne przynosiło jakiś drobny szczegół, a wyobraźnia przyklejała go natychmiast do urojonego kadłuba. Z poszczególnych kawałków tułowia, zapożyczonych od różnych istot, pomysłowa fantazja rzeźbiła nowy kobiecy model, mający jakgdyby służyć Pawłowi za prawzór przyszłego gustu. Mozolna ta praca odbywała się w jego podświadomosci potajemnie, on sam nie brał w tem żadnego udziału. Wprawdzie czuł, że się tam coś w wyobraźni klecí i kształtuje, ale przekonał się o tem znacznie później — w chwili odsłonięcia skończonego dzieła.

Było to właśnie na owym balu architektury. Tam Paweł ujrzał w ucieleśnionej postaci, ów wykończony model własnego gustu.

Dostrzegł go w chwili, gdy model wspierając się na ramieniu starszego eleganta, wchodził z gracją po schodach dużego hallu.

Paweł stał przy galerji, oparty o balustradę. W dziwnem przeczuciu zapatrzył się w tę postać i odprowadzał ją wzrokiem na górę. Gdy weszli na galerję, mógł się jej przyjrzeć zbliska. Rzuciwszy okiem na jej twarz zauważył, że młoda osoba ma zgrabny nosek i zawinięte lekko ku górze kąciki ust, co nadawało jej twarzy wyrazu jakiejś szelmowskiej przekory. Dostrzegł również, że miała piękny kolor włosów — szaro złoty, zbliżony barwą do konopi, czyli mówiąc wytwornie w tonie „blond platine". Paweł ruszył ze swego miejsca i przeciskając się przez rozbawiony tłum, towarzyszył tej parze na uboczu, nie zwracając uwagi na towarzyszącego damie eleganta, przyglądał się ucieleśnieniu swojej wyobraźni. Trzeba przyznać, że model wypracowano znakomicie. Był smukły i niezwykle kształtny, ani za chudy, ani zanadto tłusty, słowem w sam raz.

W pewnej chwili, młoda dama, spojrzała przelotnie na Pawła, co pozwoliło na skonstatowanie, że miała oczy wpadające w zielonkawy odcień, trochę skośne i mrugające długiemi rzęsami. Jeszcze dla kompletnego oszołomienia, Paweł skontrolował jej nogi. Odważnie wycięta balowa suknia, odsłaniała je dość wysoko. Były bez pończoch. Przekonał się, że są dziewczęco smukłe i kształtne w kolanach. Delikatne, balowe sandałki, pozwoliły mu nawet na obejrzenie jej stóp, wymodelowanych antycznie i na wesoło. Reszta szczegółów pięknego modelu, jak smukłe ręce, biodra i osadzone wysoko, ozdobne piersi, były wykonane również bez zarzutu. Niewidzialni artyści, którzy pod okiem Stwórcy projektują modele kobiet, mających przyjść na świat, mogliby temi słowy przemówić do Pawła:

— Dołożyliśmy wszelkich starań, aby robota wypadła jak najlepiej. Trzymaliśmy się ściśle tych wzorów, których pan nam dostarczył ze swoich niekompletnych przeżyć miłosnych.

Owszem, miał pan niezły gust, wzory nadawały się do gruntownego opracowania. Ale to wszystko, co pan nam poznosił, to były zaledwie luźne kawałki, — „jedne od Sasa drugie od lasa". Dopiero musieliśmy przysiąść fałdów i zmontować to wszystko do kupy. A trzeba się było dobrze napracować, bo to panie nie sztuka poprzyklejać poszczególne części do kadłuba. Musi to przecież wszystko jakoś do siebie pasować. Ano, szczęśliwie się udało. Model poprostu żyje! Rusza się — mówi, śmieje się i płacze, słowem wygląda „jak ta lala".

A jeszcze trzeba dodać, że użyliśmy do tego najlepszych materjałów.

Zwłaszcza te oczy, te oczy udały się znakomicie, zupełnie jak u sjamskiego kota. No, a ten nosek czy nie wygląda jak z marmuru? To od tej pańskiej Nereidy, pamięta pan? Co to stała nad sadzawką. No, co tu dużo gadać, można śmiało panu powinszować. Model jest caca i oddajemy go do pańskiej dyspozycji. Tylko... czy aby będzie się pan umiał z nim obchodzić. Bo to rzecz delikatna i droga, musi pan bardzo uważać, żeby czegoś nie popsuć. Niestety, nie mogliśmy dołączyć przepisów obchodzenia się lalką, bo regulamin na to nie pozwala. Będzie pan musiał sam sobie jakoś radzić. A więc życzymy powodzenia, uszanowanie szanownemu panu!".

Tak, była to niewątpliwie owa fatalistyczna kobieta, o której wspominały damy z prowincji: — Pan się od miłości nie ustrzeże, pan trafi kiedyś na „Swój typ" i wtedy pan się naprawdę zakocha.

I miały baby rację. Teraz dopiero Paweł uświadomił sobie, że miały rację. Przebywając tu od dwóch godzin, nie wymyślił nic innego, jak przeciskanie się przez tłum balowiczów i obserwowanie tej młodej osoby.

Zaczęło to nawet zwracać jej uwagę.

Czując się obserwowaną, nie mogła ustrzec się od pewnej sztuczności w ruchach, co ją krępowało. A Paweł wciąż sterczał w pobliżu i oczy mu się jarzyły, gdy patrzał jak jego „Typ" stoi przy bufecie i pije kruszon, jak różowieją mu policzki i połyskują zęby w uśmiechu i jak spod czarnej, wyciętej sukni błyska białością nóg zgrabnie zwijających się w tańcu.

Tańczyła wciąż z tym starszym jegomościem.

Teraz dopiero Paweł zainteresował się bliżej jego osobą. — Wygląda na pięćdziesiątkę z okładem — osądził, przypatrując mu się natarczywie. — I ma w sobie coś szczurzego. Przydługi, ruchliwy nos i mrugające nerwowo powieki, spod których wybiegało niedobre, chytre spojrzenie.

— Muszę dowiedzieć się, co to za jedni — powziął nagłą decyzję i zaniechawszy dalszych obserwacyj, postanowił wypytać kolegów. Było ich niebrak na dorocznym balu. Pierwszy nawinął mu się pod rękę Antoni Lubystek z drugiego kursu. Zdążył już sobie podpić nienajgorzej i uśmiechnięty do całego świata, plątał się w tłumie, lekko zataczając. Paweł podtrzymywał go za rękaw.

— Zaczekajno przyjacielu, mam do ciebie interes.

— A Paweł! — rzucił się tamten z pijacką wylewnością — dobrze że jesteś, chodź napić się wódki.

— Owszem, ale to potem, wpierw chcę cię o coś zapytać.

— Nie, zapytasz jak wypijesz, no chodź Pawełku kochanie, — przymilał się, ciągnąc go w stronę bufetu.

— Ano trudno, niech będzie — przystał Paweł z pokorą.

Wypili po dwie większe, zakrapiane kminkówką.

— No, teraz gadaj o co ci chodzi? — przemówił Lubystek, usiłując z trudem skupić uwagę.

— Chodzi mi o pewną blondynkę, chciałbym się dowiedzieć, co to za jedna?

— Ha, dobre sobie, czyż ja prowadzę ewidencję blondynek? Jeszcze tak nisko nie upadłem — roześmiał się z ustami pełnemi mięsiwa.

— Licho wie, może akurat ją znasz, siedzisz tu dłużej ode mnie, no chodź, poszukamy.

Paweł dla większej pewności, wziął Lubystka pod rękę i poczęli się przedzierać przez ruchliwą ciżbę. Depcząc danserkom po nogach, potrącając kogoś co chwila i przepraszając, tłoczyli się z sali do sali. W pewnej chwili Paweł ścisnął Lubystka za łokieć i oznajmił, zduszonym szeptem:

— Jest!

Poczem jął nim obracać niby teleskopem, usiłując nadać jego spojrzeniu właściwy kierunek.

— O, patrz ta w czarnej sukni — obok starszy pan, ten z nosem, rozmawiają, widzisz?

— Aha, widzę — oznajmił teleskop schwytawszy objekt w pole widzenia — owszem niezła, ale wydaje mi się za chuda — wtrącił swoją uwagę.

— No i co, nie znasz jej przypadkiem?

— Ani trochę, pierwszy raz ją widzę.

— No to szkoda, wybacz, że cię napróżno fatygowałem.

— Rzeczywiście wielka szkoda — zgodził się Lubystek — zamiast łazić tyle czasu, moglibyśmy sobie spokojnie wypić parę kieliszków. Chodź Paweł, wypijemy po jednym. — Przypomniał sobie o wódce i nastawał z pijackim uporem. Ale w tej chwili cała uwaga Pawła skupiła się gdzieindziej.

Rzucając spojrzenie zukosa, śledził ukradkiem nierozłączną parę. Wysunęło się nowe pytanie. — Kto zacz jest ten szczurowaty elegant, sterczący obok kobiety, którą on, Paweł uważa już bezmała za swoją własność?

W tej chwili intruz zalecał się do tej „własności" w sposób wybitnie irytujący. Wnioskując z jego miny i uśmiechów prawił młodej osobie jakieś dwuznaczniki, ona zaś, odrzucając w tył bujne loki, odwracała chwilami twarzyczkę, jakby w zażenowaniu, w gruncie rzeczy jednak, słuchała go chętnie i często nie mogąc się powstrzymać, wybuchała dźwięczną koloraturą śmiechu. W pewnej chwili powstali oboje i Paweł zmiarkował, że kierują się w stronę bufetu.

— Nad czem tak medytujesz? — spytał zniecierpliwiony Lubystek.

— Muszę koniecznie dowiedzieć się, co to za jedna,

— Niema w tem nic trudnego, zatańcz z nią poprostu — jak tylko zagrają, podejdź, najzwyczajniej przeproś tego faceta i weź ją do tańca — przecież niczem nie ryzykujesz, najwyżej ci odmówi...

Na pierwszy rzut oka, sprawa zdawała się prosta. Lubystek stawiał tylko jeden warunek:

— Musisz przedtem wypić dwie duże wódki — bez tego ani rusz, może ci zabraknąć tupetu.

Paweł zastosował się do tej dziwacznej recepty i „wytrąbił" dwa kieliszki, jeden po drugim.

—No, miej ją teraz na oku, gdy tylko zagrają, wal śmiało. Ja tymczasem pójdę do znajomych, może dowiem się jej nazwiska.

To rzekłszy, upatrzył wśród zakąsek zgrabnego korniszonka, złowił go na wykałaczkę, zjadł ze znawstwem, poczem poklepał Pawła po ramieniu i zniknął w balowym tłumie. W chwilę potem, doszły z orkiestry odgłosy strojonych instrumentów. Paweł nerwowym ruchem obciągnął kusy fraczek i gdy usłyszał pierwsze fortepianowe takty, poprzedzające banalnego walca, ruszył naprzeciw swojego fatum.

Gdy przechodził przez pusty jeszcze środek sali, siląc się na krok elastyczny i pewny, czuł, że nogi chodzą mu sztywno i że stanowczo za długie ręce telepią mu się po bokach niezdarnie. Dama z lekkim rumieńcem podniecenia, wsłuchiwała się w szepty starszego pana. Paweł zatrzymał się przed nią. Zajęci sobą, nie zwrócili na niego uwagi. Sterczał tak, dłuższą chwilę niezauważony, powtarzając w krótkich odstępach czasu słowo: — przepraszam...

Wobec wzmagających się tonów wiedeńskiego walca, musiał powtarzać je coraz głośniej. Wreszcie nachylił się nad jegomościem i krzyknął mu w samo ucho — przepraszam!...

Tamten zerwał się jak oparzony i spojrzał na Pawła z przestrachem, dama zaniepokoiła się również i zamrugała długiemi rzęsami. Elegant opanował się natychmiast, ściągając brwi i usta, wykreślił z twarzy wyraz niepokoju. Zwracając się do Pawła, spytał ostrym tonem:

— O co panu chodzi?

— Przepraszam, chciałem przeprosić i... spytać czy mogę przeprosić panią i prosić... — plątał się Paweł zmieszany, aż wreszcie dobrnął do końca tego trudnego zdania i jednocześnie zgiął się w ukłonie.

— Z obcymi nie tańczę — odrzekła dama tonem, wykluczającym dalsze perswazje.

Paweł ukłonił się raz jeszcze, powtórzył — przepraszam... — wykonał niezgrabnie „wtył zwrot" i odszedł, zmierzając do jedynej ostoi, jaką stanowił dla niego bufet. Zwrócony tyłem do baru, odczekał aż spłynie mu z twarzy rumieniec wstydu. Jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że nie spotkało go nic haniebnego, owładnęła nim jakaś złość nagła, zaprawiona kropelką podrażnionej ambicji. Wspomnienie oschłego tonu, z jakim dama odpaliła jego niezdarne zaproszenie do tańca, obudziło w nim to, czego nie ujawniał dotychczas na terenie miasta: było to „dobre o sobie mniemanie".

Wyhodowane przez wiejskie pannice, które kochały się w nim na zabój, ukrywało się ono na dnie jego świadomości. Wobec zbyt częstych onieśmieleń, wynikających z nieobycia, ukrywało się dotąd. Ukłute ostrą odmową, jak szpilką, „dobre mniemanie o sobie", poczęło się upominać o swoje prawa.

— Z obcymi nie tańczy... hm... dobre sobie, krzywdę jej zrobią, biedaczce — syknął ze złością.

Kazał nalać sobie angielkę wódki i wychylił ją duszkiem. Dało to pożądany efekt. Ambicja uciszyła się nieco a „dobre mniemanie o sobie", wkroczyło na tory pojednawcze.

— Przecież nie może tańczyć z pierwszym lepszym — rozważał — zresztą to nawet dobrze o niej świadczy, jest to napewno panna z dobrego domu, skromna, niewinna, która przyszła na bal pod opieką wujka.

Perswadując sobie w ten łagodny sposób, czuł, że poprzednia złość topnieje w nim, skrapla się i wyparowuje, zostawiając po sobie miłe ciepełko.

Pod wpływem wypitych wódek, pogrążał się coraz głębiej w jakiejś kleistej rzewności.

Były to symptomaty niepokojące.

Jeśli i nadal wierzyć starszym damom z prowincji, które wspominają dość często o miłości z pierwszego wejrzenia, możnaby już na podstawie tych symptomatów uważać Pawła za zakochanego. Rozmyślne zacieranie rozpoznawalności zjawisk i zbytnia pohopność do idealizowania wyróżnionego objektu, są to pierwsze symptomy tej przedziwnej choroby, która przejawia się paraliżem zdrowego rozsądku, ostrym katarem logiki i częstemi wysypkami zazdrości.

Oparty o ladę Paweł, stał pochylony nad kieliszkiem wódki. Zapatrzył się w mały, błyszczący na nim punkcik, który po chwili zaczął mu się dwoić w oczach, troić, rozpadać na drobniejsze punkciki i wreszcie rozsypał się szeroko pyłem srebrzystym, tworząc jakgdyby ekran dla wyobraźni.

Wyświetlano na nim obrazy, dotyczące jego najbliższej przyszłości. Były to filmy ckliwe, lecz miłe do oglądania. Dochodząca z sali tanecznej melodja straussowskiego walca, stanowiła dla nich odpowiednią ilustrację muzyczną.

Wszelkie inne odgłosy, jak gwar rozmów, śmiechy pijących przy bufecie, pobrzękiwania kufli i kieliszków, wszystko to razem zlało się w jeden szum stłumiony i płynący jakby z oddali.

Na ekranie widział siebie i ją, mrugającą długiemi rzęsami.

— Tak to ona, kobieta którą raz jeden spotyka się w życiu — objaśniał głos z ekranu wyobraźni — spójrz pan na te jej oczy, na ten nosek figlarny, obstalowany jakby na zamówienie, przecież każdy jej szczegół jest w pańskim guście, lepszej już pan nie znajdzie, szkoda nawet czasu na szukanie...

Nagle w słowa wplątał się jakiś głos inny, jakby znajomy, który rozległ się bliżej, tuż nad samym uchem.

— No, wypij już tę wódkę, cóż tak nad nią dumasz, kelner! dla mnie taką samą z kminkiem.

Głosowi temu towarzyszyło klepnięcie w ramię. Kunsztowny ekran wsiąkł w błyszczący punkcik, a jego miejsce zajęła postać Lubystka, nachylonego nad salaterką z grzybami.

— No i co, tańczyłeś z nią? — spytał.

— Nie, odmówiła — zdaje się, że jakaś porządna dziewczyna, widocznie nie wypada jej tańczyć z obcymi.

— Ale za to z tym obskurnym facetem wypada?

— Daj spokój, to pewnie jej wujek.

— Niech Bóg ustrzeże od takich wujków.

Wypróżnili zawartość kieliszków i Paweł uczuł, że wódka uderza mu do głowy.

Było to bardzo niepożądane, miał bowiem przykry zwyczaj robienia po pijanemu awantur. Kazał podać szklankę wody sodowej i popijał ją drobnemi łykami. Orkiestra zagrała tango.

— Idę do twojej lubej!—oświadczył nagle Lubystek, wsuwając do ust ciepły pierożek.

— Jeżeli chcesz z nią tańczyć, to nie uda ci się, ale zjedz to najpierw.

— Zjem po drodze, uda mi się! — odparł stłumionym głosem, przeżuwając. Przechodząc obok lustra, przyjrzał się sobie zukosa i poruszył zmysłowo nozdrzami.

Nie pokładając nadziei w uwodzicielskie zdolności Lubystka, Paweł podążył za nim zwolna, z pewną ciekawością. Idąc, zatoczył się mocno.

W drzwiach tłoczyło się liczne grono spektatorów i Paweł musiał przepychać się dłuższą chwilę, by osiągnąć rzut oka na salę.

Odszukał miejsce, gdzie siedziała — było puste. Przybiegł oczyma tańczące postacie. Gięły się i dwoiły mu się oczach. Wlepiał w każdą zkolei rozhybotane spojrzenie, szukając jasnych włosów i wyciętej sukni. W pewnej chwili przeraziła go myśl, że już wyszła.

W tem wielkiem mieście mogła zginąć dla niego na zawsze. Na samą myśl o tem, krew uderzyła mu do głowy.

Znalazł ją wreszcie, tańczyła. Paweł odczuł wszelkie możliwe przejawy radości; lecz w następnej chwili doznał bolesnego ukłucia w sam środek „dobrego mniemania o sobie".

Tańczyła „z tym idjotą" Lubystkiem. Radość pękła niby karnawałowy balonik, przypalony znienacka ogniem z papierosa.

Na tem miejscu zakwitały kolejno: bunt, oburzenie, wreszcie szewska pasja.

— Przecież Lubystek jest dla niej taksamo obcy, jak ja — uświadomił sobie w zdziwieniu, pomieszanem ze złością. — Czemuż to ja właśnie mam być tym wzgardzonym i skąd to wyróżnianie Lubystka?

Gdy usiłował napróżno rozwiązać tę towarzyską zagadkę, Lubystek posuwał damą w różnych kierunkach po szachownicy błyszczącej posadzki.

Do taktu obracał wprawo, wlewo i wyginał jak chciał ów piękny model kobiecy, wykonany dla Pawła na zamówienie.

Plótł jej coś nawet do ucha i pytał o coś, a ona odpowiadała z uśmiechem.

Poprostu zawarli znajomość.

A Paweł musiał obejść się smakiem.

Wolno mu było zaledwie przyglądać się im zboku. Lubystek dostrzegł go nawet gapiącego się zza framugi i wykrzywił się do niego kpiarsko. Paweł udał, że tego nie widzi, patrząc w jakiś odległy punkt, jakgdyby go tam nagle coś zaciekawiło.

— Bydlak z tego Lubystka — pomyślał ze złością i czmychnął czemprędzej do bufetu. Tu poczuł się trochę pewniej, podnosząc jednak do ust kieliszek, widział, że bardzo trzęsła mu się ręka. Po pewnym czasie zjawił się Lubystek.

— No i cóż, sam widziałeś — przemówił z triumfem — poznałem tę twoją damę.

— Co za „twoją" — żachnął się Paweł — taka jest „moja" jak i „twoja", jakaś pannica bez wychowania...

— O, przepraszam, pani Urszula jest moją „znajomą", zechciej to wziąć pod uwagę i nie wyrażać się o niej w ten sposób.

To rzekłszy, Lubystek zaśmiał się hałaśliwie.

— Urszula powiadasz?

— Pani Urszula — poprawił z naciskiem i znów parsknął śmiechem.

— Nie rób min głupich, tylko gadaj jak było — wybuchnął zniecierpliwiony Paweł, którego te żarty drażniły niewymownie.

— Nie śpiesz się tak, kotuchno, — uspokajał go Lubystek, głaszcząc po głowie z żartobliwą pieszczotą — zanim opowiem jak było, napijemy się wódki. Kelner, czysta dwa razy! — zarządził.

Wypili.

— No, gadajże wreszcie... — domagał się Paweł.

Lubystek wytarł spocone czoło. — Zgrzałem się w tym tańcu — rzekł, dysząc. — Ale dowiedziałem się od niej wiele, wiem również coś niecoś o tym, jak powiadasz, wujku, słyszałem o nim jeszcze dawniej, tylko nie wiedziałem, że to ten sam facet. Otóż... ale dłuższa historja, musimy wygodniej usiąść. — Wdrapali się na barowe, niewygodne stołki. Lubystek rozparł się łokciami na ladzie i wygiął swą postać dekoracyjnie. Paweł wiercił się niespokojnie.

— No, gadaj, gadaj... — przynaglał.

— Otóż, mój drogi, sprawa wygląda tak — rozpoczął Lubystek — ona, ta twoja donna, jest miłą rozwódką, właściwie jeszcze rozwodu niema, ale ma zamiar się rozwieść, to niekiedy starczy za rozwód. Narazie żyje z mężem w separacji. Mąż, były major, alkoholik, zwolnili go z wojska, może nawet wylali, jakaś niejasna sprawa, nie chciała tego wyraźnie powiedzieć. Nazywa się Urszula Dziubielowa, imię ma lepsze niż nazwisko, ale to nie jej wina, eksmajor nazywa się Dziubiel, tęgi to musi być pijak... napijmy się a propos.

— No, cyk...

— Cyk.

— Brrr, cóż to za podły trunek ta wódka — otrząsnął się Lubystek ze wstrętem i ciągnął dalej:

— Mieszka na ulicy S. numer 53, mieszkania zdaje się że sześć, może osiem, nie pamiętam, w każdym razie zapisz sobie numer

domu, mieszka sama... sama — powtórzył z naciskiem i mrugnął znacząco. — Tyle wiem o niej, to ci chyba wystarczy, mogę ci jeszcze dodać, że bardzo mile przytula się w tańcu...

— A kto jest ten gość, który z nią tańczy?

— O, to jest bardzo nieciekawa postać, znają go tu w mieście, nazywa się Załkin, Isaj Załkin, rosyjski żyd.

— I cóż ona ma z nim wspólnego?

— O, bardzo wiele, jest jej kochankiem.

— Skąd wiesz? — rzucił pytanie Paweł, czując, że czerwienieje.

— Od niej samej.

— Jakto, powiedziała ci tak wyraźnie, użyła tego słowa — kochanek?

— Prawie, powiedziała — „przyjaciel, który mi w życiu pomaga" — rozumiesz, pomaga — to wystarczy, zwłaszcza gdy się słyszało o Załkinie. Bo trzeba ci wiedzieć, że pan Isaj położył dość duże zasługi w rewolucji rosyjskiej, walcząc o wolność proletarjatu. Na terenie naszej stolicy objawił się tuż po wojnie bolszewickiej i jakiś czas siedział cicho. W parę lat później, dał się tu poznać jako jeden z krzewicieli naszej kultury gastronomicznej. Słynny bar „Pierrot" to jego własność, pewnie tam nieraz spijałeś koktaile, pozatem pan Isaj posiada dwa, czy trzy bary, w gorszym gatunku, takied la proletarjatu, jeden z nich mieści się obok kościoła Karmelitów, no i jeszcze słyszałem, że ma jakieś hoteliki, których opinją interesuje się bardzo policja. Są to przedsiębiorstwa rentowne, toteż nie dziw się, gdy ci powiem, że pan Isaj obraca się w najlepszych towarzystwach, żyje bardzo wytwornie, ma piękną limuzynę, fagasów i tam dalej...

— I sam się tego dorobił?

— Zależy, co się rozumie pod słowem „dorobił", chodziły słuchy, że Załkin przywiózł ze sobą z Rosji jakieś kosztowności, brylanty, perły, odebrane zapewne ciemiężcom proletarjatu, być może znalazły się tam również kolczyki, wyrywane „tyrankom" wraz z kawałkami uszu, w każdym razie pan Isaj przystąpił do interesów z tak zwanym „poważnym kapitałem zakładowym"...

— Więc dlaczego taka kanalja chodzi na wolności? — przerwał Paweł z pasją.

— Nie wyrażaj się źle o wujku porządnej panny z dobrego domu — upominał go Lubystek i uśmiechnął się gorzko.

W trakcie tej opowieści Paweł czuł, że traci panowanie nad sobą. W głowie miał szum, w który słowa Lubystka zapadały ciężko, jak kamienie. Duże ilości wódki, zwłaszcza „te ostatnie kieliszki', sprawiły, że Paweł się upił. Był jeszcze przytomny i rozumiał co do niego mówią, zdradzał jednak niezwykle silne podniecenie, mówił głosem donośnym, prawie krzycząc i wymachiwał rękami.

— Ach, więc to tak! — pienił się, utrzymując się z trudem na wysokim stołku — więc ten Isaj, czy jak mu tam, nie jest dla niej obcy, tylko ja jestem obcy, czekaj no, czekaj...

— Uspokój się, nie wrzeszcz tak, bo już się ludzie na nas oglądają — mitygował go Lubystek, lecz Paweł zaperzał się coraz bardziej.

— Słuchaj, Antoś, słuchaj co ja ci powiem, jak tylko zagrają...

— Ależ grają już od kwadransa...

— Więc jak tylko przestaną grać i zaczną następny taniec... uważasz? słyszysz, słyszysz co do ciebie mówię?

— Słyszę, słyszę...

— Więc jak tylko muzyka zacznie grać, to ja wtedy pójdę do niej i poproszę ją jeszcze raz do tańca...

— Teraz zapóźno, odmówi ci napewno, jesteś zalany.

— To nic, nie w tem rzecz... a w tem co jej powiem...

— Cóż ty jej powiesz?

— Powiem, co myślę o jej postępowaniu.

— Radzę ci teraz myśleć o swojem postępowaniu ,jesteś urżnięty... Paweł! Zostań, nie idź tam, zostań proszę cię...

Ale Paweł nie miał zamiaru zostawać, zgramolił się ze stołka i ruchem brutalnym odtrącił Lubystka. Zataczając się, szedł w kierunku sali, skąd dolatywała melodja fokstrotta.

— Będziesz tego żałował! — krzyknął Lubystek wślad za nim. Paweł nie słyszał. Aparatura słuchowa jego mózgu notowała teraz wewnętrzne odgłosy organizmu: przeciągłe, dalekie dzwonienie w uszach, na tle którego waliło przyśpieszone tętno, niby słyszane przez sen dzwonienie i stukanie do drzwi. Paweł szedł znacznie śmielej, niż za pierwszym razem, tracąc chwilami równowagę, chwytał jednakże pion i trzymał się uparcie obranego kierunku, który prowadził do pani Urszuli. Dojrzał ją zdaleka. Z potęgującym się szumem w głowie, wytrzymując razporaz przypływy alkoholu, które mdłą falą uderzały do głowy, Paweł przedzierał się poprzez tańczących, odsuwając nienawistnie każdą przeszkodę. Nie słyszał nawet sypiących się za nim uwag. Nie tracąc ani na chwilę tupetu, zatrzymał się przed panią Urszulą. Siedziała sama. Na jej twarzyczce ułożył się wyraz zmęczenia i rozluźnione rysy tworzyły tę maskę bezmyślną, którą można podpatrzeć u kobiety wówczas, gdy ma pewność, że nikt na nią nie patrzy. Zaskoczona, raptownie odwróciła głowę i neutralny wyraz zniknął w mgnieniu oka. W oczach zatrzepotało sztuczne ożywienie, po chwili brwi uniosły się wgórę, co wyrażało znak zapytania. Paweł ukłonił się.

— Czy mogę panią prosić do tańca? — postawił twardo pytanie. Na chwilę odzyskał panowanie nad sobą i spoglądał prosto w te lekko skośne, zielonkawe oczy. Wyczytał w nich odpowiedź, którą po chwili usłyszał wypowiedzianą, ostrym, zniecierpliwionym tonem:

— Proszę się ode mnie odczepić, już raz panu mówiłam, że z obcymi nie tańczę!

— To nieprawda — wymówił Paweł dobitnie, siląc się na spokój — tańczyła pani z moim kolegą, który jest również dla pani obcy...

Nie spodziewała się tej bezczelności, siedziała z zapartym tchem, nie wiedząc narazie, co ma odpowiedzieć. Powstała raptownie z krzesła.

— Nic panu do tego z kim tańczę, nie myślę się przed panem tłumaczyć!...

— Chcę panią tylko pouczyć, że się w ten sposób nie postępuje... — wybuchnął Paweł podniesionym głosem.

Powstało zamieszanie, dokoła zaczęli gromadzić się ludzie, posypały się zapytania: — O co chodzi? Co się stało?...

Pani Urszula, której wargi drżały ze zdenerwowania, zwróciła się do jakiegoś młodzieńca z chryzantemą w klapie:

— Proszę pana... — przyszłam tu z narzeczonym — mówiła ostrym, krzykliwym głosem... — zostałam na chwilę sama i wtedy podszedł ten pan i zaczął mi robić dzikie awantury...

— Czy pani zna tego pana?... — spytał młodzieniec, mierząc Pawła wzrokiem.

— Nie znam go wcale... to jakiś typ, który nie umie znaleźć się między ludźmi, proszę go stąd usunąć!...

Paweł przestał panować nad sobą.

— Hola, kochana pani!... — wybuchnął z całą pasją — nie takich tu trzeba usuwać!... nie takich jak ja, Polko jasnowłosa... usuwać trzeba Załkinów!... słyszy pani?... Załkinów, których forsa czaruje niektóre panie!...—Wyrzucał z siebie bezładne wyrazy, nie wiedząc już sam, co mówi. Jacyś panowie schwycili go za ramiona, szarpnął się z całej siły i wyrwał jednym ruchem. Przyskoczył do pani Urszuli i cisnął jej prosto w twarz:

— ...Nie umiem się znaleźć... między ludźmi! Pani za to umie... aż za dobrze... znalazła się pani w żydowskiej kieszeni!... Panna z dworku, psiakrew!...

Dokoła rozległy się głośne okrzyki: — Wyprowadźcie go stąd!... — Weźcie pod ramiona!... o tak... no dalej go, za drzwi z nim!...

Paweł stracił przytomność, już nie czuł, co się z nim dzieje.

Dziwił się tedy nazajutrz, gdy się obudził w swojem własnem łóżku. Czyjeś troskliwe ręce ułożyły go do snu, rozebrawszy z kusego fraczka, który złożony starannie zwisał na poręczy krzesła. Do fraka klapy była przypięta kartka:

„Wyrwałem cię wczoraj z rąk oprawców, śpij spokojnie".

Antoni Lubystek.

Widocznie poczuwał się do tego obowiązku.

Możnaby na tem zakończyć niedyskretne szperanie w kartotekach Pawła, opatrzonych napisem: „Przeżycia miłosne". Od czasu tego skandalu, zaczęły się w jego jestestwie dziać rzeczy tak przykre i tajemnicze, że trudno je podciągnąć pod to samo miano, ubliżałoby to uczuciu tak szlachetnemu jak MIŁOŚC. Niestety, brzydkie te sprawy figurują w tych samych kartotekach, gdzie dostały się zapewne przez pomyłkę. Warto przejrzeć je zatem, choćby dla porządku.

Następnego ranka, po balowym skandalu, Paweł czuł się nieźle, ubierając się, wygwizdywał nawet zasłyszane na balu melodje, zwłaszcza pewien wiedeński walc utrwalił mu się w pamięci. Wychodząc z domu, włożył swój ulubiony wiśniowy szalik.

Zastał dzień mroźny, ale pogodny i suchy. Była niedziela. Paweł nie posiadał w domu kalendarza, lecz zaraz po wyjściu z bramy na ulicę, poznał ten uroczysty dzień po jego odrębnej barwie i zapachu. Nie dlatego, że sklepy były pozamykane, bynajmniej, wcale tego nie zauważył, wyczuł niedzielę w powietrzu, wyłowił ją uchem z ulicznych odgłosów. Spokój, który wypełniał całą atmosferę, nastrajał ruch uliczny na inny tor, głębszy, ściszony i jakby wyraźniejszy. Rozmowy, kroki, dzwonienia, nie łączyły się, lecz każdy dźwięk brzmiał zosobna, zwłaszcza stukot dorożek, jadących po asfalcie, wydawał zupełnie inny odgłos — niedzielny. Nad ulicami przefruwały spokojnie gołębie, a uderzenia ich skrzydeł w powietrzu miały dźwięk blaszany. Przechadzając się swobodnie ulicami, Paweł przypomniał sobie dokładnie całe wczorajsze zajście. Uplastycznił je sobie wzrokowo, przyjrzał się sobie z boku okiem biernego widza, dokompletował w swojej wyobraźni te wszystkie odczucia, których nie mogły zanotować zmysły, przytępione nadmiarem czystej z kropelkami. Uprzytomnił sobie zwłaszcza chwilę, kiedy to chlusnął kobiecie prosto w twarz ostatnie, piekące zdanie. Uporządkowawszy to wszystko w głowie, doszedł do wniosku, że całość wypadła korzystnie.

— Tak, trzeba uczyć moresu te damy, których pojęcie taktu zmienia się, zależnie od ich fantazji.

Wszedł do apteki, gdzie zażył na miejscu proszek przeciwko katzenjammerowi, uprzejme farmaceutki odniosły się do niego z pieczołowitością i ku zdziwieniu Pawła nie chciały przyjąć pieniędzy za ten specyfik. Mało to nawet pewien styl.

Wałęsał się dalej bez celu, zaglądając do natłoczonych o tej porze kawiarni, stawał przed witrynami z męską konfekcją, ale głównie spoglądał w wyloty ulic, któremi płynęła rzeka niedzielnych spacerowiczów. Wzrok jego penetrował niespokojnie, jakgdyby czegoś szukał. Paweł przyłapał się na tem i w pewnej chwili uświadomił sobie, że wypatruje w tłumie pewnego, określonego kształtu — znajomej sylwetki. Przystanął na chodniku, zastanowił się chwilę i zdał sobie z tego sprawę — pragnął zobaczyć panią Urszulę.

Od tego momentu zaczęły się przeżycia arcyniemiłe. Natychmiast wrócił do domu i zwalił się na niezasłane łóżko. Przewracając się z boku na bok, to znów patrząc nieruchomo w sufit przeleżał bardzo długo. Nie jadł obiadu ani kolacji.

Myślał...

Wynik był ten, że gdy o północy podniósł się z łóżka, nastąpiło w jego jestestwie drobne, nic nieznaczące prawie przesunięcie. Jakgdyby niewidzialny jakiś figlarz przekręcił mały guziczek w nadawczym aparacie mózgowym, powodując dwoisty proces myślenia. W audycji mieszały się głosy dwóch Pawłów, z których wyraźniej rozlegały się słowa tego drugiego. Argumenty swe zaczął od tego, że odwołał to wszystko co myślał Paweł I-szy rano. Odmówił mu racji, nazywając jego wczorajszy postępek brutalnym i niegodziwym.

— Cóż wiemy obaj o tej kobiecie? — szeptał w podnieceniu — wiemy to tylko, że jest ładna i że się panu podoba, pozatem nic, czarna kurtyna. Cóż wiemy o jej pożyciu z mężem, z tym pijakiem Dziubielem? Kto wie, może było tak trudne i ciężkie, że jej słabe rączęta...

Paweł II-gi roztkliwił się i głos mu nagle zwilgotniał.

— Te rączęta... które się panu tak podobają — ciągnął po krótkiej przerwie — nie musiały wyżymać... brudnej ścierki do podłóg... Kto wie, może to urocze i słabe stworzonko, ma na opiece matkę staruszkę, którą kocha nad życie i osładza jej starość? Tak panie Pawle I-szy! to nie sztuka urządzać po pijanemu chamskie awantury... Wylazł z pana szlachetka, wiejski nieokrzesaniec... Poszło panu o tego Załkina... chyba nie zechce mnie pan przekonywać, że wytrąciło pana z równowagi zignorowanie pańskich tanecznych zapędów, to przecież drobiazg, żadna dama na balu nie jest obowiązana tańczyć z pijakami, a od pana jechało wódą na kilometr. Tymczasem Lubystek był trzeźwy i umiał się zachować do ostatka, najlepszy dowód, że wyratował pana przed „lynczem ludzi dobrze wychowanych" i odwiózł całego do domu. Tak, panie szlachetko, rozsierdził się pan o tego żyda. Nie przeczę, że jest to podła figura, ale ma pieniądze... A czy pan ma pieniądze? Co? zdobył je w nieuczciwy sposób? — bądź pan zatem uczciwszy, któż panu zabrania zdobywać pieniądze w granicach kodeksu? Dorabiaj się pan, pracuj, myśl, ruszaj się, odkładaj, ale na Boga, nie rób damie awantur! Zastanów się pan nad tem, a napewno dojdzie pan do wniosku, żeś postąpił jak brutal, który wyrządził ślicznej kobiecie krzywdę. A czy jest pan tego pewny, że po skandalu, całą noc nie płakała?... że spod tych rzęs długich. — Paweł II-gi rozczulił się teraz na dobre, hamując płacz, mówił drżącym szeptem — że... spod tych rzęs, nie spływały łzy?... Czy jest pan tego pewny? Ale trudno, stało się, nie będę pana dłużej nudził — sądzę, że będzie pan wiedział, co dalej począć. Przypomnę panu tylko, że ma pan dobre polskie nazwisko i że żaden z Popielców nie obraził nigdy kobiety. Krzywdę, którą pan wyrządził pani Urszuli, trzeba naprawić — jak? nie wiem, to już rzecz pańska, sądzę, że sprawa będzie załatwiona dopiero wówczas, gdy ona sama panu przebaczy. Jej uśmiech przyjazny, skierowany do pana, będzie dowodem, że jest pan w jej oczach zrehabilitowany. Ach panie zdobyć ten uśmiech, to będzie wielkie dla pana szczęście!... Ach i te nogi panie, te nogi...

Wie pan, powiem panu teraz otwarcie, że gdyby pani Urszula nie była tak piękną, nie winiłbym pana aż tak dalece...

Taką oto przemowę wykropił Paweł II-gi. Rzecz prosta, że tą świetną argumentacją przekabacił Pawła I-go i w ciągu następnych dni, rozpoczęli obaj w jednej osobie cykl nieopatrznych i dziwnych posunięć.

Z samego rana nazajutrz, Paweł zastawił w lombardzie srebrną papierośnicę, za którą otrzymał dziesięć złotych. Kupił za część tych pieniędzy bukiet czerwonych róż i posłał go pod adresem pani Urszuli (ul. S. numer 53, zapytać stróża o panią Dziubielową i oddać do rąk własnych nie mówiąc od kogo). Resztę pieniędzy przeznaczył na opłacenie elektryczności. Następnego dnia kupił kremowy papier listowy i kopertę z podszewką. Zasiadł na cały dzień do pisania epistoły, którą pisał z Pawłem drugim do spółki.

Odpowiedź nie nadeszła.

Wyrżnął więc drugą epistołę — również z tym samym skutkiem. Zastawił złoty zegarek i posłał pani Urszuli duży kosz azalij. Tym razem zaryzykował dołączyć do niego bilecik ze swoim adresem. Postąpił słusznie, posłaniec bowiem nie miał kłopotu z odnoszeniem kwiatów spowrotem. Wykonując te dziwne czynności, Paweł nic nie tracił czasu i poświęcał chwile wolne od tych zajęć na szpiegowanie pani Urszuli.Czaił się w bramie na vis a vis jej domu, ukrywając się na klatce schodowej o piętro wyżej lub niżej od jej mieszkania, oczekiwał na jej wyjście z domu, lub powrót. Chodził za nią ulicami, przemykał się po przeciwległym chodniku, śledził ją w lustrach ulicznych i szybach sklepowych, odwrócony tyłem, dla niepoznaki.

Po wielu trudach ustalił, że: pani Urszula żyje, chodzi, je, załatwia sprawunki, bywa w teatrze, czasem w kinie, wraca do domu spać, wstaje co rano i że w tem wszystkiem towarzyszy jej pan Isaj Załkin.

Nie zrażało go to bynajmniej, przeciwnie, począł uważać Załkina za przedmiot, za rzecz, którą pani Urszula zabiera ze sobą przez pomyłkę, że wystarczy jej tylko zwrócić uwagę, a wtedy ona pozna swój błąd i sprawa będzie załatwiona.

Wreszcie wtajemniczył w te sprawy Lubystka i zaprzągł go do roboty. Po długich targach i próbach wymógł na nim to, że Lubystek włożył czysty kołnierzyk i wybrał się do niej z petycją.

Gdy wrócił, rozłożył przed Pawłem bezradnie ręce.

— Owszem, rozmawiała ze mną, nawet długo, ale powiedziała, że nie chce nawet słyszeć o tobie...

Rozpacz zwiększała się z dnia na dzień i urosła wreszcie do takich rozmiarów, że Paweł odważył się na szalony krok. Oto ni mniej ni więcej, pewnego dni podszedł na ulicy do pani Urszuli i zaczął do niej coś mówić.

— Proszę się w tej chwili odczepić, bo zawołam policjanta! — krzyknęła w odpowiedzi, przyśpieszając kroku.

Wówczas dopiero zastawił swój sygnet z szafirem i posłał jej bukiet storczyków. Efekt był nieoczekiwany — wraz z odesłanym bukietem nadeszła wreszcie odpowiedź. — Odpowiedź napisana jej własną rączką! Jej własnym atramentem! Ba! pisząc te słowa musiała nachylać się nad tym listem i przepoić go własnym oddechem!

W kopercie był również zaklejony jej oddech!

O treść mniejsza... cóż, przecież to jasne — „Proszę mi dać spokój, nie chcę znać pana U. Dziubielowa".

Ale to nic, nie można się przecież tem zrażać, skoro się pieści w dłoniach wonny listowy papier, na którym jej biała rączka wypisała cudne, małe literki. Paweł nie mógł się nacieszyć tym listem.

— Nareszcie — wołał — nareszcie!

Uchwyciwszy się za ten rąbek nadziei, zdwoił wysiłki.

Zaczął działać ostrożnie, obmyślając dokładnie każde posunięcie. Przewidywał ewentualne kontr-posunięcia i brał każde z nich pod uwagę. Po pewnym czasie posłał znowu Lubystka. Petycja miała na celu przygotowanie odpowiedniego gruntu pod jeszcze jeden list.

— Nie dała mi wyraźnej odpowiedzi, próbuj! — taką przyniósł wiadomość Lubystek.

Paweł przysiadł fałdów i skomponował krótkie, lecz treściwe podanie.

Prosił tylko o możność przeproszenia jej osobiście, o nic więcej. Potrzebę tego umotywował dręczącemi wyrzutami sumienia, które nie dają mu spać i wielką skruchą, którą odczuwa z racji swojego postępku. Pisząc o tym postępku opatrzył go kilku groźnymi epitetami: „mój ohydny postępek, moje karygodne zachowanie się i t. p."

I oto pewnego marcowego ranka, posłaniec w czerwonej czapce przyniósł Pawłowi odpowiedź, której treść, ugięła pod nim nogi ze wzruszenia. Było to zezwolenie na osobiste przeproszenie: „W drodze wyjątku... z uwagi na jego młody wiek... zezwalam"...

...Czekam w domu dziś o dwunastej... — takie były tam słowa.

...O dwunastej!

Na tem można śmiało zakończyć plądrowanie kartotek, opatrzonych napisem „przeżycia miłosne".

Można odłożyć je do szuflady bez żadnej obawy, że się coś przepuściło. Niech sobie leżą. Należy powrócić do chwili bieżącej, kiedy to Paweł, po przespaniu się z obcym, nieuprzejmym panem, otrzymał właśnie ten list, który przyprawił go z radości o poty, drżenie rąk i inne temu podobne objawy.

Rozdział III.

POTRZEBNE SĄ PIENIĄDZE.

Paweł stał wciąż przy oknie, dotykając czołem wilgotnej szyby. radość płoszyła jego myśli, które hasały mu po głowie rozbieganem stadem. Usiłował powiązać je w całość, chwytając każdą zosobna. W niecierpliwej kolejce kolejce tłoczyły się pytania:

— Ciekawe, jak też mnie przyjmie?

— I cóż jej powiem?

— Czy będzie sama, czy z Załkinem?

— Jeżeli sama, to powiem tak i tak..., a jeżeli przeprosiny mają się odbyć w jego obecności?...

Założył ręce do tyłu i z głową pochyloną, przemierzał krokami pokój. Dziś o dwunastej — przepowiadał sobie szeptem, drżącemi wargami.

I nagle jak piorun z jasnego nieba poraziło go pytanie: — która godzina?

Miał w pokoju na ścianie zegar z kukułką, pozostałość cichego, wiejskiego dobrobytu. Rzucił na niego okiem — zegar stał: Nie miał go kto nakręcać: ostatnio Paweł zapijał się „na smutno".

Zegar wskazywał cztery minuty po jedenastej. Paweł skupił uwagę, usiłując sobie przypomnieć, czy w trakcie ubierania się wraz z pijackim intruzem, nie rozlegało się kukanie zegara. Nie mógł sobie przypomnieć, znaczyłoby to, że zegar zatrzymał się dnia poprzedniego i wskazywał godzinę wieczorną.

Należało się jednak śpieszyć. Paweł przyskoczył do lustra, był nieogolony, w zapomnieniu schwycił za telefoniczną słuchawkę, chcąc się połączyć z automatycznym zegarem. Odwiesił ją czemprędzej, wyłączony telefon milczał uparcie — jak grób. Włożył naprędce palto i wybiegł z pokoju. Zbiegając po schodach wiedział tylko o jednem — że żadną miarą nie wolno mu się spóźnić. Spóźnienie w tym wypadku oznaczało stracenie wszelkich szans na zdobycie uśmiechu pani Urszuli.

Panie bardzo cenią punktualność panów.

W rozpiętem palcie wybiegł na ulicę. Tuż za rogiem wisiał uliczny zegar. Paweł puścił się pędem do tego rogu. Zatknęło mu dech z przerażenia. Była za dziesięć dwunasta!

Zwykle się jakoś tak dziwnie składa, że gdy człowiek bardzo się śpieszy i wskakuje do taksówki, tyle razy starter nie działa.

Szofer niechętnym ruchem otwiera drzwiczki, wysiada bardzo powoli, leniwie zakłada korbę i kręci nią wielokrotnie.

Właśnie Paweł miał możność zaobserwowania tego zjawiska.

— Pośpiesz się pan do ciężkiej cholery!—wrzasnął przez okno.

Szofer pośpieszył się nieco.

— Dokąd mamy jechać — zapytał. W tej chwili Paweł uświadomił sobie, że za jazdę trzeba zapłacić. Zgłębił rękę w kieszeni i wydobył na światło dzienne kilka miedziaków. Normalną pozostałość z całonocnej libacji. Nie dając szoferowi odpowiedzi, wy-

skoczył czemprędzej z taksówki. Roztrącając przechodniów biegł do tramwaju.

— Muszę złapać „Osiemnastkę"! — przebiegło mu przez myśl. Czekając na przystanku, wyskakiwał co chwila na jezdnię i wypatrywał numery czerwieniejących w oddali wozów. Nadjeżdżały bardzo powoli. Gdy ukazała się „Osiemnastka", wybiegł jej daleko naprzeciw. Jechał wreszcie. Na tramwajowym zegarze dochodziła dwunasta, brakowało tylko dwie minuty. Wszystkie zegary na mieście wskazywały mniejwięcej to samo.

— Do przodu przechodzić, do przodu! — nawoływał konduktor.

Paweł przechodził posłusznie, posuwając się jednocześnie z ciżbą pasażerów. Widząc, że w przejściu utworzył się niebezpieczny zator, począł przeciskać się gwałtownie bokiem, w podświadomej nadziei, że przyśpieszy to jego jazdę.

Miał wygląd człowieka, który czuje się bardzo niepewnie, toteż konduktor wyróżnił go spośród pasażerów pytaniem:

— Pan ma bilet?

Paweł odruchowo sięgnął do kieszeni. Wydobył swoje miedziaki i zliczył je wszystkie — były tam trzy pięciogroszówki, jedna dwugroszówka i grosz — razem osiemnaście. Brakowało dwóch groszy do ceny biletu! Konduktor czekał z wyciągniętą dłonią. Tymczasem tramwaj zgrzytał na nakręcie, wjeżdżał w ulicę M, — było do celu jeszcze trzy przystanki.

Przeszukiwał kolejno wszystkie kieszenie. Okazały się puste, były tam różne papierki, znalazł nawet jakiś bilet wizytowy z napisem „Witold Kozicki", ale dwóch groszy nie było.

Widząc te beznadziejne poszukiwania, konduktor począł wydawać bilety innym pasażerom, nie oddalając się jednak zbytnio od Pawła. Po chwili spytał zniecierpliwionym tonem:

— Ma pan pieniądze na bilet, czy nie?

— Zdaje się... że nie, mam tylko osiemnaście groszy — wyjąkał zmieszany Paweł.

— To za mało, musi pan wysiąść na tym przystanku.

Resztę przestrzeni odbył piechotą. Gdy wchodził do bramy, oznaczonej cyfrą 53, było już grubo po dwunastej. Skacząc po schodach, które znał na pamięć, Paweł znalazł się wreszcie przed drzwiami pani Urszuli. Był tęgo zgrzany i dyszał ciężko. Nacisnął dzwonek i czekał. Długo nikt nie otwierał, gdy zadzwonił powtórnie, usłyszał za drzwiami ciężkie czyjeś kroki. Zgrzytnął łańcuch i w uchylonych drzwiach ukazała się szczurza twarz Załkina.

— Pan do kogo? — spytał.

— Czy mogę się widzieć z panią Dziubielową? — wykrztusił Paweł poprzez zadyszkę. Załkin przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, co robiło wrażenie, że razi go światło. Miał na sobie pyjamę. Nie dając wprost odpowiedzi, zadał skolei pytanie.

— Czy to pan Popielec?

— Tak.

— Pani Dziubielowa, niestety przed chwilą wyszła — odrzekł tonem, przez który przebijało się kłamstwo.

— Pani Dziubielowa kazała mi przyjść o tej godzinie... — próbował tłumaczyć się Paweł w nadziei, że jeszcze coś wskóra.

W odpowiedzi Załkin wysunął przez drzwi rękę, na której błyszczał zegarek, podsunął ją Pawłowi przed same oczy.

Na zegarku tym było dwadzieścia po dwunastej (widocznie Załkin miał zwyczaj posuwania zegarka naprzód).

— O ile wiem... — rzekł tonem, który zmroził Pawła do reszty,— miał pan tu być o dwunastej, pani nie mogła niestety czekać na pana dłużej niż kwadrans.

Paweł nie miał nic więcej do powiedzenia poza jedynem słowem — przepraszam.

Powiedział to słowo, skłonił się w milezeniu i poszedł. Schodząc po stopniach, usłyszał za sobą stłumiony, kobiecy śmiech. Może mu się zresztą tylko zdawało.

Drogę powrotną odbył bardzo powoli. Idąc, nie słyszał nic dokoła, toteż, gdy znalazł się przed swemi drzwiami, odniósł wrażenie, że przyszedł tu bardzo prędko, sam nie wiedząc kiedy. Zwalił się znów na nieposłane łóżko, tym razem w palcie i kapeluszu.

Nie chciał o niczem myśleć, ani nad niczem się zastanawiać — czuł tylko potrzebę leżenia bez ruchu. Leżał więc w ciszy, której mu nie mąciło nawet tykanie zegara. O jakiejś godzinie, gdy zdawało mu się, że już nie zaśnie — rozległ się dźwięk najmniej spodziewany — dzwonek z wyłączonego telefonu.

— Umarli mówią — mruknął, biorąc do ręki słuchawkę.

— Hallo!

Usłyszał niski, kobiecy alt. Nie był to głos pani Urszuli.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry...

— Oczywiście, chciałby pan zaraz wiedzieć, kto mówi?...

— Zapewne, skoro to nawet pani przewidziała.

— Otóż oznajmiam, że jeżeli pan będzie zanadto ciekawy, to nigdy pan się nie dowie.

— Wątpię, czy uda mi się stłumić ciekawość, ale... czy pani jest aby dobrze połączona, może to zwykła pomyłka?

— Niech się pan nie obawia, wiem doskonale z kim mówię, z panem Pawłem Popielcem, poznaję pana po głosie.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego ja nie mogę poznać pani po głosie, jest wprawdzie miły, ale zupełnie mi obcy.

— No widzi pan, a jednak prowadziliśmy z sobą kiedyś częste rozmowy.

— Usiłuję sobie napróżno przypomnieć, niestety...

— Widocznie ma pan kiepską pamięć.

— Trudno, przyznaję, może więc zechce mi pani ułatwić zadanie i powie nazwisko.

— Zaczyna się pan niecierpliwić...

— Zgadła pani, obawiam się nawet, że się szybko zmęczę...

— To co pan teraz powiedział, nie było uprzejme.

— W tym wypadku mogę sobie pozwolić na małą nieuprzejmość, dzwoni pani do mnie ni stąd ni zowąd, nie chce powiedzieć swego nazwiska, ani poco dzwoni, słowem bawi się pani w typowe telefoniczne żarciki.

— A propos żarcików, zadam panu jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy pan opłacił rachunek za swój telefon?

— Jaki telefon?

— Swój własny, ten, którego słuchawkę pan trzyma w ręku, przecież jeszcze przed godziną był nieczynny, nie przypomina pan sobie?

Paweł nie spodziewał się takiego pytania, przez dłuższą chwilę bezładnie szukał odpowiedzi. Wyręczyła go w tem nieznajoma.

— Czy i nadal uważa pan moje telefoniczne żarciki za „typowe"? — spytała i rezygnując z dalszej rozmowy, odłożyła słuchawkę.

Ten dziwny djalog przywrócił Pawłowi równowagę, zmuszając go do myślenia. Począł się zastanawiać nad zagadkową istotą, która zapłaciła za jego telefon, o czem powiadomiła go w lekkiej aluzji. Mimo starannych przeszukiwań pamięci nie znajdywał wśród znajomych osoby z jej głosem. A już zupełnie zbiło go z tropu twierdzenie, że prowadziła z nim kiedyś częste rozmowy.

— Jest to bądźcobądź jakaś opiekuńcza dusza — orzekł w konkluzji, mimo to uczuł niesmak do samego siebie.

Przez swoje finansowe niedbalstwo nastręczył jakiejś damie okazję do spłatania mu figla. Zapłaciła za jego telefon. Dotychczas nie miał zwyczaju korzystania z pomocy kobiet i żart ten podziałał na jego ambicję.

— Staczam się coraz niżej — pomyślał ze smutkiem — gdy sprawy pójdą dalej po tej linji, zostaną sutenerem...

Pocieszał się jednak myślą, że z czasem tajemnicza dama zgłosi się do niego po zwrot samorzutnie udzielonej pożyczki.

Narazie jednak telefon działał i trudnoby było z tego nieskorzystać. Po chwili namysłu Paweł postanowił zadzwonić do Lubystka i wprosić się do niego na obiad. Z domu, w którym mieszkał Lubystek, odpowiedziano, że przed chwilą wyszedł. Paweł zostawił dla niego zlecenie, aby zadzwonił, gdy tylko wróci. Będzie czekał na jego telefon. Gdy odwiesił słuchawkę, zauważył dopiero teraz, że ma na sobie palto. Zdjął je z siebie czemprędzej i przebrał się w szlafrok.

Tymczasem niefortunny dzień dobiegał końca. Niebo, na które Paweł miał z okien rozległy widok, oczyściło się z brudnych chmur. Spoza kominów przeciwległego domu, wysunął się wąski sierp księżyca i sączył blade światło do jego pokoju. W ciszy, którą mącił jedynie zaokienny, daleki pomruk ulicy, rozległy się trzy głośne puknięcia do drzwi, po krótkiej przerwie trzykrotne pukanie powtórzyło się, poczem nastała cisza.

Paweł znał ten sygnał, ustalił go sam w swoim czasie z bliskimi przyjaciółmi dla wykluczenia niepożądanych wizyt komorników, wierzycieli, lub też wysłańców elektrowni, którzy pozostawiali po sobie nieprzeniknioną ciemność, a w niej czający się lęk przed jakąś niechybną groźną niewiadomą. Trzykrotne stukanie w pewnych odstępach, oznaczało wizytę duszy bliskiej, a w każdym razie nieszkodliwej.

Dźwignął się z łóżka, zapalił światło i wpuścił tę duszę, która mieściła się w niskiej i wątłej postaci.

Znalazłszy się w pokoju, niepokaźna figura mrużyła przez chwilę oczy, kryjące się poza okularami w rogowej oprawie, poczem zdjęła kapelusz, obnażając przedwczesną, młodzieńczą łysinę i uśmiechnęła się blado, lecz przyjaźnie. Z ust przybysza wydobył się głos nikły, niewiele głośniejszy od szeptu.

— Jak się masz Pawełku, co się z tobą dzieje?

Od jednego rzutu oka Paweł poznał tę twarz zapomnianą. Nie mógł to być zresztą nikt inny jak Maciej Zebrzydowski, klasowa ofiara, nad którą wszyscy znęcali się w szkole. Wczesne zestarzenie się, pogłębiło w nim jeszcze bardziej nieśmiałość i ten wyraz lękliwy, dla którego uchodził wszędzie za ciamajdę. Pomimo przygniatającego znużenia, jakie Paweł odczuwał, przybycie Macieja uradowało go szczerze.

— Maciuś, przyjacielu! — wymówił jakimś nieswoim głosem — jakże się cieszę, żeś się zjawił.

Zakrzątnął się koło kolegi, pomagając mu rozebrać się z palta, odwinąć cienką szyję z grubego szalika.

— No, siadaj przyjacielu i mów skąd się wziąłeś? — ośmielał go tonem, pod którym kryła się jeszcze większa nieśmiałość.

Maciej usiadł na podanem mu krześle, boczkiem, jakby bojaźliwie.

— Ja mieszkam dawno w Warszawie — począł mówić, przecierając okulary z wilgoci — zachodziłem do ciebie już nieraz, ale nigdy nie mogłem się dostukać, dopiero nasz wspólny znajomy Lubystek, powiedział mi, że trzeba stukać trzy razy... ale Pawełku bój się Boga, jak ty wyglądasz!? — przerwał, spoglądając uważnie na twarz Pawła przez włożone okulary.

— Cóż takiego? Czyżbym się bardzo zmienił — zapytał Paweł z niepokojem.

— Nie zmieniłeś się, ale... masz taką cerę jakąś ziemistą, czyś ty przypadkiem nie chory?

— Nie, nic mi nie jest — uspokoił go Paweł, ale po chwili wstał i podszedł do lustra. Wyglądał istotnie niepokojąco. Twarz miała barwę szarą, przebijała spod skóry żółtawym odcieniem. Włosy zlepione w kosmyki, spadały w nieładzie na spocone czoło.

— Choruję psychicznie — rzekł do Macieja, zdobywając się z trudem na ton weselny — ale jeszcze nie zwarjowałem kompletnie, więc się nie obawiaj. Opowiem ci o tem kiedyindziej, bo to dłuższa historja. Teraz ty mów o sobie.

Macej odchrząknął nieśmiało i poruszył się na krześle w zakłopotaniu.

— No cóż, u mnie wiele się zmieniło — począł mówić swojem cichem szemraniem — szkoda, że nie mogłem wcześniej się do ciebie dostukać, chciałem cię prosić na moje wesele. Ożeniłem się.

— Co mówisz, z kim?

— Z taką sobie miłą, spokojną dziewczyną. Z domu nazywa się Lędźwianówna. Ojciec był kupcem, handlował fortepianami, ma jakieś zaoszczędzone grosze. Matka osierociła ją dawno. Skończyła konserwatorjum, gra na fortepianie.

— No to winszuję ci przyjacielu — wykrzyknął Paweł w sztucznem rozradowaniu i uścisnął podaną mu rękę, bezwładną i sztywną niby proteza — sądzę, że jesteś szczęśliwy — dodał.

— Maciej uśmiechnął się blado — szczęśliwy — powtórzył bezdźwięcznie — spójrz na mnie, czyż tak powinien wyglądać człowiek szczęśliwy?

— Zawsze tak wyglądałeś, nie wiele się zmieniłeś...

— To prawda, ale przyznasz, że nie promienieję ze szczęścia, nie mówię tu w tej chwili o mojem małżeństwie, owszem, zgadzamy si ęz żoną i szanujemy, ale czyż to jest wszystko, czyż tego oczekiwało się wówczas od życia kiedyśmy się wkuwali na szkolnej ławie. A zresztą, co tu gadać, straciłem posadę...

— Zredukowali cię?

— Tak.

— To nieprzyjemne...

— O nawet bardzo, zwłaszcza przy mojej zupełnej niezaradności. — Maciej westchnął i zamilkł. Paweł przechadzał się po pokoju. Przygnębiony wsunął dłonie w rękawy szlafroku i skulił się w ramionach, jak człowiek ziębnięty. Zastanawiał się nad czemś długo, coś rozważał, zgłębiając aż do podstaw istotę problemu. Odezwał się wreszcie głucho, mówiac jakgdyby sam do siebie:

— Posada... czyż to konieczne?

Maciej spojrzał nan iego pytająco. W tej chwili zadźwięczał dzwonek telefonu. Zgłaszał się Lubystek.

— Czekam na ciebie, zajdź! — namawiał go Paweł — mam bardzo miłego gościa, znacie się zresztą, pan Zebrzydowski, przychodź koniecznie. Dowidzenia.

Odłożył słuchawkę i mówił... dalej.

— Posada... marzenie o posadzie... to ciągłe dążenie do wysługiwania się jakiejś wyższej jednostce czy niższej zbiorowości...

— Czyż to konieczne?

— Znacz mnie przecież Pawełku i wiesz, że sam prochu nie wymyślę...

— Próbowałeś?

— Czego?

— Pytam się, czyś myślał kiedy o samodzielności, o tem żeby stworzyć coś nowego, jakiś nowy warsztat, w którym ty byłbyś majstrem, a nie czeladnikiem?

— Nie, o tem nie myślałem...

— Wiem, że nie myślałeś, nie potrzebujesz mi nawet tego mówić, znam takich jak ty, synalków.

Zatrzymał się przed Maciejem i wymachując nad nim rękawami szlafroka, mówił z wzrastającem podnieceniem.

— Kiedyś jeszcze leżał w kołysce, za rosyjskich czasów, już marzyłeś o posadzie, nie wypieraj się, rodzice twoi wysadzając cię na nocniczek, widzieli cię w swoich marzeniach siedzącego na dobrej posadzie. Wychowałeś się, chodziłeś do szkoły i zdawałeś egzaminy... z tą niezbitą pewnością, że otrzymasz wkońcu posadę... Posadę! Pomyśl tylko co za absurd: kiedyś się uczył historji, widziałeś w swojej wyobraźni cwałujących na koniach triumfatorów, którzy zdobywali i dzielili połacie kuli ziemskiej wzdłuż i wszerz, jak chcieli; miałeś w rękach chemję — Boską moc przetwarzana materji, ba, zajrzałeś nawet w metafizykę — otchłań, w której się skończy nasze istnienie, albo rozpocznie na innej fali... I przyznaj teraz pokrako, że obcując z tem wszystkiem, myślałeś tylko o posadzie, no, czy nie tak było?

— Tak Pawełku, masz słuszność, ale powtarzam ci, że jestem w życiu niezaradny i nie nadaję się ani na wodza, ani na wynalazcę, nie wiem nawet, czy mógłbym zostać człowiekiem niezależnym...

— Więc aż tak w siebie zwątpiłeś?

— No, znasz mnie przecież...

— Otóż posłuchaj teraz, co ci powiem. Do tego, żeby być niezależnym, nie trzeba żadnej nadzwyczajnej siły, woły chodzą zwykle w zaprzęgu. Trzeba zupełnie czego innego, odrobiny abmicji, ciekawości życia i wytrwałości.

— Cóż ty nazywasz ambicją?

— Niechęć do tego stanu, w jakim ty się obecnie znalazłeś. Zredukowany — to miłe określenie. Nudną i nieciekawą figurę wyrzucono poza grono ludzi bardziej interesujących, poprostu sympatyczniejszych.

— Mój drogi Pawle, mówisz mi rzeczy nieprzyjemne... — wtrącił Maciej tonem urazy.

— Owszem mówię i bardzo się cieszę, że zaczynasz się wreszcie obrażać, może uda mi się obudzić w tobie ambicję, która będzie ci teraz bardzo potrzebna.

— Taw uważasz?...

— Jestem tego pewien, skoro cię wylali z posadyy, to musisz radzić sobie sam, chyba, że marzysz o nowej posadzie, w takim razie pardon, ambicja jest tu zbędna.

— Wątpię, czy uda mi się dostać nową posadę, szukałem, starałem się i wszelkie nadzieje zawiodły...

— No właśnie, a zatem musisz zmienić system i postępować tak, jak wielu innych, uruchomić swoją inicjatywę i działać na własną rękę.

— No tak, ale widzisz Pawełku, ja dotychczas piastowałem urząd nie wymagający specjalnej inwencji, poprostu wpisywałem kolumny cyfr do księgi głównej.

— Byłeś kółeczkiem w maszynie i dałeś się z łatwością wymienić na inne kółeczko, na przyszłość powinieneś się silniej zazębiać.

— Jak to zrobić?

— Musisz mieć w interesie swój udział.

— Niestety, nie mam żadnych danych potemu.

— No to marny twój los przyjacielu, szczerze ci współczuję, bo przypuśćmy nawet, że po wielu wysiłkach uda ci się znowu otrzymać funkcję automatu, w tym wypadku jedynym atutem mogłaby być jakaśś nadzwyyczajna sprawność, wydaje mi się jednak że jej nie posiadasz. No i co, przyjdą zmiany, nowi zwierzchnicy, z których każdy dla bezpieczeństwa otacza się swoimi ludźmi i... znów cię wyleją. Niedobrze jest z tobą Macieju, zastanów się tylko.

— Pewnie, że niedobrze, ale cóż robić?

— Czy nie masz żadnych pieniędzy?

Maciej nie odrazu odpowiedział na to pytanie, przez chwilę wiercił się niespokojnie na krześle, przecierał okularyy, spoglądając na nie pod światło, wreszcie rzekł cichym głosem.

— Mógłbym wydostać od teścia, ale bardzo niewiele...

— Ile? — spytał Paweł krótko.

— No, jakieś kilka tysięcy... ale musiałby to być zupełnie pewny interes.

— Jak się nazywa twój teść?

— Krzysztof Lędźwian, to człek starej daty.

Rozmowę przerwało stukanie Lubystka. Wpuszczony do wnętrza, wszedł klnąc siarczyście od progu.

— Znowu u ciebie winda zepsuta, do djabła z temi schodami, patrz, całe plecy sobie usmarowałem!

Kwitnące rumieńce na policzkach wskazywały na to, że był po paru kieliszkach. Zresztą zalatywało od niego kminkiem.

— Cóż tu za straszny bałagan — wykrzyknął, rozgllądając się ze zdumieniem po mieszkaniu Pawła, — nie sprząta się tu u ciebie?

— Owszem, sprząta się dwa razy na tydzień, ale wróciłem wczeraj zalany, z jakimś facetem, który spał tu u mnie, potem pogubił spinki i trzeba było wszystko odsuwać — tłumaczył się Paweł.

— Cóż to za facet?

— Nie wiem,jakiś starszy jegomość nie raczył mi się przedstawić...

— To miłe zwyczaje.

— Owszem, ale zdejm palto Antoś i przywyitajcie się panowie, znacie się przecież...

— Ach tak, znamy się z panem Maciejem, piliśmy razem, zobacz no, jak się straszliwie usmarowałem — lamentował Lubystek, rozpościerając w rękach wybielone palto.

— Schody są zasadniczo dobre tylko po paru kieliszkach stają się niewygodne.

— A po paru butelkach są już zupełnie niezdatne do użytku — wtrącił swój dowcip Maciej.

— No, ale za to ty ładnie wyglądasz — śmiał się Lubystek, spoglądając na Pawła z ironicznym zachwytem — kiedy zapraszasz na swój pogrzeb?

— W kilka lat po ukazaniu się twego nekrologu — odciął się Paweł i zerknął ukradkiem w lustro, które odbiło wiernie jego zmizerowaną twarz.

— Kiedyż to jadłeś ostatni obiad?

— Nie baw się w sadyzm, powiedz lepiej czy masz co w kieszeni? — zapytał Paweł rzeczowo.

— Jakbyś zgadł, mam okrągłego pięćdziesiątaka — tu Lubystek przybrał ton wyyszukanie uprzejmy, wymawiając słowa przeciągle i krygując się błazeńsko.

— Sądzę, że prezes mi nie odmówi, gdy ośmielę się prosić go wraz z panem Maciejem na skromną kolacyjkę do baru pod „Księżycem".

Wypowiedziawszy to zaproszenie, skłonił się czołobitnie i stał zgarbiony z kapeluszem w ręku.

— Na najbliższem posiedzeniu rozważę pańską śmiałą propozycję — odrzekł Paweł, patrząc na niego zgóry i naśladując ton prezesa — hm. Wprawdzie prowadzę kurację odtłuszczającą i właśnie dziś rozpocząłem głodówkę... ale... kto wie, może skorzystam z tego zaproszenia...

To rzekłszy, odetchnął z ulgą, czując, że puste kiszki skręcają mu się z tęsknoty do jadła.

— No to zrzucaj ten szlafrok i ubieraj się prędko — zarządził LLubystek — pójdzie pan z nami — zwrócił się do Macieja, który siedząc cicho na boczku, uśmiechał się przyjaźnie.

— Owszem, jeżeli nie zrobię panom różnicy...

— Ależ koniecznie, pogadamy sobie przy wódzi...

— Porozmawiamy sobie o interesach — wtrącił Paweł, wchodząc za zbite z desek przepierzenie, którem odgrodził sypialnię od reszty, tego dziwacznego mieszkania.

— Właśnie, trzeba się zabrać wreszcie do interesów — przytakiwał Lubystek — młodość ucieka, a forsy jak niema, tak niema.

— Czy panu też ciągle brak forsy? — zwrócił się do Macieja z pytaniem.

— Ciągle... — wyszeptał tamten ze smutkiem — ale przecież pan jako Lubystek, ten słynny „Gałka i Lubysytek", nie powinien chyba narzekać na brak gotówki — dodał po chwili zastanowienia.

Lubystek roześmiał się na tę uwagę...

— To stare dzieje, panie Macieju, „Gałka i Lubystek" to firma. z którą mię łączy jedynie wspólne nazwisko.

— Słynne browary były kiedyś własnością mojego stryja i pana Gałki, obaj już nie żyją. Piwo, które spijamy po knajpach, jest dziś produktem braci Ajbeszyców, którzy kupili całe zakłady na pniu o dwdowy po stryju Lubystku. Spfzedała wszystko po śmierci stryja.

— No to ma pan zamożną stryjenkę — zauważył Maciej.

— Owszem, dwa domy w Berlinie, z których jeden stoi na Kurfürstendamm, willa w Cannes, trzy kamienice w Warszawie, fabryka czekolady, no i sporo brylantów w safesach, nie mówiąc już o płynnej gotówce, nie może baba narzekać, niestety panie Macieju, to wszystko mnie nie dotyczy...

— Jakto, nic panu stryjenka nie daje?

Lubystek machnął ręką.

— Nie chce nawet słyszeć o mojem istnieniu, twierdzi, że jestem nie z prawego łoża. to jadowite ziele...

— Ale zapisze panu coś nie coś...

— Przedtem mi włosy na dłoni wyrosną. Ostatnio moja kochana stryjenka zajęła się gorliwie społeczeństwem, chce pewnie kandydować do przyszłego Sejmu, ohydna baba, psiakrew!...

Na rumianej twarzy Lubystka zagościł smutek, zapatrzył się w jedną z licznych szpar w podłodze i siedział dłuższą chwilę bez ruchu. Wreszcie ocknął się z zamyślenia.

— Ubrałeś się już? — krzyknął w stronę Pawła, który przez cały czas tej rozmowy pluskał się i prychał za przepierzeniem.

— Już kończę — rozległ się głos, stłumiony ręcznikiem.

— Nie elegantuj się tam zanadto, do baru „Pod księżycem" wystarczy zwykły uniform dorożkarza..., a propos muszę wyczyścić to palto — rzekł, powstając z krzesła. Maciej podniósł się również i sięgnął po swoje paletko.

— Ile płaciszza tę mansardę — zwrócił się do Pawła.

— Nominalnie sto złotych, ale de facto nic, — odparł tamten z prostotą.

— Dawno zalegasz?

— Jakieś trzy miesiące, może cztery...

— No chodźmy panowie, — przynaglał Lubystek.

Wkrótce Paweł był gotów. Strumienie zimnej wody nadały mu nieco zdrowszego wyglądu.

Maciej wysilił się nawet na komplement, mówiąc półgłosem do Lubystka, że Paweł mógłby mieć duże powodzenie u kobiet.

Po chwili, trzej panowie wyszli, dowcipkując. Paweł wysunął się naprzód, sprowadzając swych gości wdół z czwartego piętra. Schodząc po ciemnych i ponurych schodach wszysc trzej doszlil do zgodnego wniosku, że przedstawiają one wiele do życzenia. Nadgniłe, drewniane stopnie trzeszczały pod nogami, chwierutliwa barjera lepiła się od brudu.

Wyszli na ulicę. Było już po północy, naco wskazywał ruch nielicznych przechodniów, z których jedni spóźnieni śpieszyli do domów, a inni wałęsali się bez celu, przstając w bramach i zagadując uliczne dziewczęta.

— Przyznam się panom, że nie wiem, gdzie mieści się bar „Pod księżycem" — wtrącił Maciej, gdy gawędząc wesoło, zdążali do śródmieścia.

— Tuż obok kościoła Karmelitów — objaśnił Lubystek.

Po chwili, za rogiem szarego gmachu ministerstwa X, zabłysnął żółty neon w kształcie półksiężyca. Bar ten wciśnięty między dwa stare domostwa i oddzielony skwerkiem od pryncypalnej ulicy, gromadził o późnej porze ludzi różnego autoramentu. Można tu było spotkać nad ranem znakomitych artystów i poetów, którzy „zażywając do wewnątrz" wódkę i piwo, leczli się z nadmiaru megalomanji, widywało się również państwowe figury, które poziazłszy ze swoich stromych piedestałów, szły nocąmiędzy lud szary i prosty, między zalatujących nawozem końskim „sałaciarzy", uperfumowanych benzyną szoferów i damy, których nieobyczajność nastręcza wiele kłopotu policji od czasu istnienia policji wogóle, czyli od kilku tysięcy lat. Przytulny ten zakątek, w którym rozlegało się hałaśliwe trio z harmonją na czele, upodobało sobie również paru emigrantów rosyjskich, którzy w ucieczce przed krwawym regimem, znaleźli schron bezpieczny w barze „Pod księżycem". Właściciellł baru urządził nawet dla nich specjalną salkę w piwnicy, gdzie podawano im pieprzne potrawy na rożnie. I tam właśnie zaprowadził przyjaciół Lubystek, który sądząc z uśmiechów, jakiemi go przywitali kelnerzy bywał tu częstym gościem. Gdy usiedli za stołem, w przepełnionej salce, zamówił buteikę wódki i porcję szaszłyku „do podziału na trzech".

— Narazie poda pan coś ostrego, naprzykład grzybki albo korniszony — zwrócił się do kelnera.

— Słucham pana dziedzica — zakrzątnął się tamten służbiście.

— Panie, panie! — wstrzymał go w pędzie Lubystek — chcę pana o cośL zapytać.

Kelner nachylił się nad nim poufnie.

— Czy będzie tu dziś gospodarz? — spytał półgłosem.

Kelner spojrzał na zegar — będzie, za jakieś pół godziny.

— Sam czy z panią? — indagował szeptem Lubystek.

— Tego nie wiem.

— No to wal pan tymczasem po wódkę.

Odprawił kelnera i zwrócił się do Pawła.

— Trzeba ci wiedzieć, że ten bar jest własnością znanego ci skądinąd pana „Zet".

— Załkina? — wykrzyknął Paweł zupełnie tem zaskoczony.

— Zgadłeś, Załkina.

— Więc cóż to, nie możesz kogo innego popierać?

— Mogę, ale lubię popatrzyć na tę wstrętną gębę.

— Szkoda żeś mi tego wcześniej nie powiedział byłbym tu nie przyszedł — rzekł Paweł, tonem niechęci — widziałem tę gębę nie dalej, jak dzisiaj i do tego w przykrej dla mnie sytuacji.

—O tem nie wiedziałem — tłumaczył się Lubystek — jeżeli chcesz, możemy odwołać zamówienie i wyjść, tembardziej, że mogą zjawić się tu oboje...

— Ooboje, to znaczy on z nią?...

— Tak, przychodzą tu często razem na inspekcję, ona pomaga mu w interesach... — Paweł milczał przez chwilę, chaotycznie szukał decyzji, wyjść czy zostać? Logicznie rzecz biorąc powinien wyjść, by nie rozjątrzać świeżej, niezabliźnionej jeszcze sprawy. Jednocześnie czuł, że pali go i wstrzymuje jakaś niezdrowa ciekawość, ta sama która nie daje spokoju choremu, zmuszając go do przenikania myślą swoich schorzałyych wnętrzności.

— Może ją tu zobaczę — przebiegało mu przez myśl i w tej samej sekundzie ekran wyobraźni wyświetlił jej postać wkrótkiej, przelotnej migawce. Ukazała mu się w myślach, jak żywa.

— Zostanę— powziął Paweł decyzję i głośno rzekł::

— Nie obawiam się tak dalece widoku pana Załkina, żebym miał stąd uciekać, zostanę chętnie i razem z tobą, przyjrzę się jeszcze raz tej niezwykle interesującej fizjognomji.

Kelner ustawił wódkę i ostre zakąski. Ostrożnie z nabożeństwem napełniał kieliszki. W niedużej salce panowało ożywienie i gwar, który wódka podniosła już o oktawę, znagła rozlegały się piskliwe, kobiece okrzyki.

Panowie stuknęli się kieliszkami.

— Za pomyślność naszych interesów — przemówił Maciej, półgłosem.

Trzy głowy przechyliły się symetrycznie, chłonąc zawartość kieliszków.

— A widzisz, przekonałem cię — rzekł Paweł z odcieniem triumfu.

— O czem? — spytał Lubystek, nakładając na talerz sporą ilość grzybów.

— O tem, że się powinien wziąć do interesów, wylali go z posadyy.

— Wylali pana... hm, to przykre — zauważył współczująco Lubystek — i cóż pan zamierza robić?

— Myślałem spocząlku o innej posadzie, szukałem...

— Poco pan szukał? — przerwał mu Lubystek — gdyby pan nawet znalazł, to za jakiś czas znówby pana wylali, wszelkie posady zwykle się tak kończą.

— To samo mówiłem — wtrącił z boku Paweł.

— Mojem zdaniem — radził Lubystek, napełniając powtórnie kieliszki — powinien pan sobie dobrać wspólników i wziąć się do interesów.

— Należy coś obmyśleć, pieniądze ma pan?

— Może mieć kilka tysięcy od teścia — wyęczył Macieja w odpowiedzi Paweł.

— No, to można rozpocząć — zadecydował Lubystek — a zatem wiwat panowie, wypijmy tę wódkę i zastanówmy się chwilę nad interesami, projekty będziemy zgłaszać kolejno. I znów trzy głowy przechyliły się w zgodnym rytmie, opróżniając kieliszki. Od początku tej zapowiadającej się miłe biesiady uwagę Pawła zaprzątał siedzący w pobliżu jegomość, który przechylał się w stronę ich stołu, wyraźnie przysłuchując się całej rozmowie. Paweł podzielił się z kolegami swojem spostrzeżeniem.

— Widuję go tu często, zwykle przychodzi sam i zamawia jakieś wymyślnne potrawy — objaśnił Lubystek.

— Wygląda na mongoła, ma ciemną cerę i wystające kości policzkowe — zauważył Maciej, obserwując zagadkową postać, włożywszy w tym celu okulary.

— Zwłaszcza oczy ma skośne, cecha wybitnie azjatycka — dodał Paweł, śledząc badawczo rysy jegomościa.

Wszyscy trzej odłożywyszy widelce, jęli wpatrwać się w tę postać, siedzącą samotnie prz karafce wina. Przez chwilę obcy pan nie zdawał się tego dostrzegać. Przeciwnie, zapatrzony gdzieś w imną stronę, robił wrażenie głęboko zamyślonego.

Nagle, ruchem gwałtownym odwrócił się i widząc skupione na sobie spojrzenia, podniósł się zwolna i podszedł do ich stolika.

— Panowie raczyli się zainteresować moją osobą, bardzo rad jestem — oświadczył, przeciągając wyrazyy z rosyjska — pozwolą panowie, że i ja skolei zacznę się panami interesować.

To rzekłszy, bez żadnej ceremonji przyciągnął swoje krzesło do ich stołu, rozsiadł się na niem wygodnie i zawołał kelnera.

— Proszę przynieść karafkę z mojego stolika, będę jadł z tymi panami — zarządził.

W miłem gronie, zwiększonem o jedną osobę, zaległo głuche milczenie. Intruz długo nie kwapił się z wyjaśnieniami, uważając widocznie, że postąpił właściwie, obserwował spokojnie nowe towarzystwo, bębniąc palcami po stole. Wreszcie rzekł:

— Moje azjatyckie rysy, tłumaczą się tem, że jestem z pochodzenia Tatarem. Rodzina moja wywodzi się z Litwy, gdzie jak panom wiadomo, Tatarzy osiedlali się w czasie najazdów.. Panowie natomiast wywodzą się od Normanów... ale nie wszyscy... o pan naprzykład — mówił, zwracając się do Lubystka, — pochodzi z ludu, który żyjąc koczowniczo w dolinie Wisły, klepał biedę i dostał się z czasem pod jarzmo Wikingów. Najeźdźcy ci, wytworzyli później szlachetniejszy typ... o. pańska twarz jest tego najlepszym dowodem — pokazał skolei na Pawła — wysokie czoło, włosy czarne, oczy jasne, energiczny zarys szczęki, to jest twarz, na którą przyjemnie popatrzyć, bo te wszystkie gęby, które tu siedzą... dokooła... — to mówiąc, obrócił się w stronę sali, zapewne w poszukiwaniu żywego przykładu i nagle urwał wpół zdania.

Utkwił spojrzenie w jeden punkt i nie spuszczał z niego oka. Paweł podążył za jego wzrokiem i wypatrzył ten punkt — była nim pani Urszula. Towarzyszył jej Załkin, właściciel „lokalu". Stali oboje w drzwiach, spoglądając na gości, którzy rozbawili się teraz na dobre.

Zakin upiększył swoją twarz wyrazem słodyczy, mrugając kaprawemi oczami, wsłuchiwał się z lubością w brzęk szkliwa na sali, niby konstruktor, chwytający do ucha odgłosy działającej sprawnie maszyny. Pani Urszula przysłoniła oczy rzęsami i trudno było odgadnąć, w którą stronę patrzy. Trzej kompani siedzieli bez słowa i spoglądali kolejno, to na przybyłą parę, to znów na dziwnego intruza, który siedział zwrócony do nich profilem. Sytyuacja zdawała się być bardzo zagmatwaną.

Lubystek wykonał nawet ruch, jakgdyby się chciał komuś ukłonić, ale Paweł przytrzymał go za rękę. Jedynie MaMciej, który niczego się nie domyślał, przerwał nagle milczenie, mówiąc jak tylko mógł najgłośniej.

— O którą więc gebę panu chodzi?

Jegomość, wywodzący swój ród od Tatarów, drgnął niby zbudzony ze snu i spojrzał na Macieja oczami szklistemi, pozbawionemi na chwilę wyrazu. Zabębnił palcami po stole.

— O, naprzykład taka fizjognomja — przemówił, nawiązując do poprzedniego tematu — czy nie uważacie panowie, że ten Żyd ma coś w wyrazie satanistycznego?

— Czy ten, który stoi przy kasie z przystojną blondynką? — wypytwał Maciej.

— Tak, ten sam, znam tego pana nie od dzisiaj, spotkaliśmy się dawniej w Kijowie.

— Czy w czasie wojny? — zainteresował się nagle, Lubystek.

— Tak, tuż przed wkroczeniem naszych wojsk do Kijowa, pracowałem wtedy w naszym wywiadzie, o znam ja niektóre sprawki Załkina... znam, ten pan nie załatwił jeszcze ze mną starych porachunków, a zdążył pozaciągać już nowe długi... ale to nic, jeszcze się kiedyś porachujemy...

Cedził te słowa pzez zęby, wypowiadając wyrazy przeciągle, a w jego skośnych oczach czaił się wyraz nienawiści. Tymczasem kelner przyniósł skwierczący na rożnie szaszłyk i począł go dzielić, nakładając na cztery talerze.

— Może napije się pan razem z nami? — odezwał się nagle Paweł, który na podłożu wspólnej nienawiści, poczuł sympatję do tego intruza.

— Owszem bardzo chętnie — zgodził się tamten, zapraszając nowych kompapów do korzystania z jego karafki wina.

Gdy Paweł zerknął po chwili w stronę pani Urszuli, napotkał pustkę. Wyszli. Udali się widocznie na dalsze inspekcje, do rozrzuconych po mieście przedsiębiorstw Załkina.

To polepszyło mu humor. Aby odegnać resztki smutnych reminiscencji, napełnił wszystkie kieliszki.

— W pańskie ęce — rzekł, trącając się z nowym kompanem.

— Mieliśmy porozmawiać o interesach — przypomniał Maciej, który przeczekał cierpliwie te wszystkie dykresje.

— No właśne, bo trzeba panu wiedzieć — objaśniał przybysza Lubystek — że znalazł się pan przypadkiem na handlowej konferencji, namyślamy się właśnie nad jakimś intratnym interesem.

— No to świetnie się składa, poszukuję właśnie wspólników — rzekł nieznajomy z nagłem ożywieniem — mam na widoku szereg interesów. Na jednym można zrobić w krótkim czasie parę tysięcy, co da podstawę do dalszych...

— A czy pan ma gotówkę? — wtrącił pytanie Maciej swoim nikłym głosem.

— Niewiele, ale mam zato dobre pomysły.

— To też jest coś warte.

O, nawet wiele — zachwalał przybysz.

— Czy można wiedzieć w jakiej dziedzinie?

— Propaganda pewnego kartelu.

— A czy ten kartel dużo wydaje pieniędzy na propagandę? — badał Maciej, wykazując niezwykłe zainteresowanie.

— Dwa miljony rocznie.

— No to można coś nie coś zarobić — wtrącił Paweł.

— No cyk, wypijemy tę wódkę!

— Cyk, pijcie panowie wino, kelner, jeszcze trzy kieliszki do wina.

— Dobry szaszłyk.

— Owszem, Załkin nauczył się przyrządzać.

— A wolno wiedzieć jaki jest pański zawód? — zapytał Paweł nieznajomego — bowiem przybysz nie raczył się dotąd przedstawić.

— Jestem doktorem medycyny, pracuję w instytucie biologji eksperymentalnej — odrzekł tamten — niestety warunki materjalne mamy tak kiepskie, że muszę zdobywać gotówkę skąd się da — dodał z goryczą w głosie. — Zwłaszcza teraz pieniądze mi będą potrzebne, prowadzę niesłychanie frapujące eksperymenty z pierwotnikami. — Pzedłużam sztucznie ich życie, jest to poważny przyczynek do rozwiązania problemu nieśmiertelności

To mówiąc, napełniał kieliszki winem.

— Dawno pan pracuje w dzedzinie biologji?

— Niedawno, dotychczas byłem lekarzem garnizonowym, zwolniono mię przed rokiem, no wypijcie panowie.

Sympatja trzech kolegów do dziwnego człowieka, wywodzącego się z hanów, rosła z godziny na godzinę. Umacniana wódką, winem a na zakończenie piwem z browarów „Gałki i Lubystka", zamieniła się wkrótce w przyjaźń. Trójka młodych kompanów dostroiła się wkrótce do nieznajomego, który przewyższał ich znacznie rozumem i wiekiem. Pili gęsto i rozmawali o interesach. Nad ranem, gdy czwórka panów wyszła z baru na siniejące miasto w przedświcie, doktó zataczał się mocno na swych krótkich nogach. Skierował się do taksówki, którą przywołał do niego Paweł.

— Więc sprawa staje na tem, że pan, panie Macieju, pomówi jutro z teściem o pieniądzach — mówił, siedząc już wewnątz wehikułu — potrzebne są pieniądze... ach zapomniałem dać panom swój adres, ładnie jestem wychowany... zapiszcie więc sobie panowie... telefon 295-65 — Doktó Dziubiel... dowidzenia!

Zatrzasnął drzwi taksówki, Pawłowi wypadł z ręki ołówek, długo szukał go w błocie, powtarzając, by nie zapomnieć 295-65... 295-65... nazwisko pamiętał...

Rozdział 4.

CZTEREJ WSPOLNICY BIORĄ SIĘ DO INTERESÓW.

Paweł spał do południa. Leżał martwo, jak kłoda, chrapiąc z poświstem. Nie miał snów żadnych. Zmęczona jaźń odpoczywała po przebytych trudach, pogrążona w głębiach niebytu. Pzywołał ją stamtąd telefon, który nad Pawła spoconem czołem począł dzwonić miaowo i nieustępliwie. Obudził go nareszcie. Bezwładną ręką sięgnął po słuchawkę i wykrztusił — proszę...

— Dzieńdobry! no, nareszcie się pan odezwał, pewnie przerwałem pan ujakieś pilne zajęcie?

Był to ten sam głęboki alt, którego posiadaczka, zafundowała mu telefoniczny abonament.

— Dzień dobry, zdaje się, że wczoraj miałem przyjemność z panią rozmawiać — nawiązał Paweł rozmowę, obiecując sobie dowiedzieć się koniecznie nazwiska tej damy.

— Owszem, tym razem pamięć pana nie zawodzi, poznał mię pan po głosie?

— Właśnie, po głosie, który jest aksamitny i ciepły...

— Dziękuję. .

— Uważam nawet, że powinna pani kształcić głos, zdaje się, że ma pewne atystyczne walory.

— Owszem, kiedyś myślałam o tem, ale nic z tego nie wyszło.

— I cóż stanęło na przeskodzie?

—Brak pieniędzy... poprostu...

— Nie dziwię się, wydaje pani przecież dużo na cele filantropijne.

W odpowiedzi rozległ się w słuchawce śmiech niepohamowany i dziewczęco szczery, śmiech dziecka na skutek spłatanego figla.

— O, proszę mi nie brać tego za złe, tu nie chodziło o filantropję!

— A o co?

— Chciałam poprostu porozmawiać z panem, aż tu nagle wyłączono telefon, obawiałam się nawet, że pan skasuje aparat, bo teraz dużo osób wyrzeka się tego zbytku, chciałam temu zapobiec...

— Stąd wniosek, że ma pani coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Tak, badzo ważnego.

— No więc słucham, proszę.

W słuchawce zamilkło na chwilę.

Nieznajoma wahała się widocznie, odezwała się po namyśle:

— Chcę się z panem zobaczyć...

Pawłowi wydało się, że pewny siebie ton, jakim przemawiała, załamał się przy tych słowach nagłem onieśmieleniem.

— Czy nie wygodniej będzie dla pani zakomunikować tę ważną wiadomość przez telefon? — zapytał i korzystając z kłopotliwej ciszy, którą spowodowało to pytanie, dodał z przekąsem — zwłaszcza, że dzięki pani wspaniałomyślności, aparat nadaje się do użytku?...

— Panie Pawełku, wyczuwam w pana głosie irytację, pan się na mnie gniewa — odrzekła, przybierając ton żartobliwie czuły. — O, bardzo mi przykro, że aż tak uraziłam pańską ambicję...

— Proszę mi wybaczyć, panie Pawełku, bardzo proszę — przymilała się, przeciągając pieszczotliwie wyrazy — już więcej nie będę...

W jedwabnej pieszczocie głębokiego altu dawał się jednak wyczuć ukryty ładunek ironji, mogącej wybuchnąć lada chwila śmiechem. Nie chcąc do tego dopuścić Paweł rzekł:

— Nie gniewam się wcale na panią, raczej na siebie samego, żarcik był niezły, przy najbliższej okazji — zwrócę pani koszta...

— Bardzo pięknie, ale nie dzwonię przecież do pana w roli wierzycielki, chodziło mi o coś innego... chciałam się z panem zobaczyć — tłumaczyła się, tracąc znowu pewność siebie.

— Kto wie, czy nie okaże się pani groźnym wierzycielem? — mścił się Paweł, za jej poprzedni ton.

W tej chwili jednak uświadomił sobie, że widzenie się z nieznajomą będzie tą właśnie najbliższą okazją do zwrócenia jej pieniędzy, których nie posiadał. Aby uspokoić swoją ambicję, musiał nagwałt wytrzasnąć dwadzieścia kilka złotych. Przewidując trudności w tym względzie postanowił odłożyć spotkanie na dzień następny.

— Ależ bardzo chętnie, służę pani — przystał skwapliwie.

— Więc gdzie i kiedy? — spytała.

— Może w kawiarni „Empire", powiedzmy jutro... — zaproponował niepewnie.

— Dobrze, umowa została zawarta, więc proszę na mnie czekać jutro o 8-ej wieczorem — powzięła decyzję — i dodała tonem przestrogi:

— Panie Pawełku, dam panu jedną radę, ambicja to duża energja, trzeba ją oszczędzać. Nie należy szafować ambicją z byle błahego powodu. A zatem dowidzenia, jutro o 8-ej!

Odłożyła słuchawkę.

— Dziwna istota — pomyślał Paweł, opadając bezwładną głową na poduszki. Przeciągnął leniwie ramiona, przyczem dosłyszał lekkie trzeszczenie w stawach.

— Młody starcze, albo stary młodzieńcze! żyjesz w kompletnym zastoju — przemówił do siebie w duchu — nawet trudno to nazwać życiem, poprostu trwasz. Gnaty ci trzeszczą, marniejesz, niczem koń zastały w stajni. Powinieneś się wprzągnąć do twardego pługa. Organizm ludzki to maszyna — maszyna nie może długo stać bez ruchu!...

— Dziwna zaiste kobieta i nie wiem czego chce — począł się zastanawiać, odpędzając niemiłe myśli.

— Ciekawe, jak też wygląda? Wpoprzedniej rozmowie mówiła, że prowadziłem z nią kiedyś częste rozmowy... nie, nie przypominam sobie tego zupełnie.

Zgrzytnął klucz w zamku i do pokoju wszedł Franio.

Wartoby napomknąć coś niecoś o tej postaci, która odznaczała się tem, że na pierwszy rzut oka nie budziła w nikim zaufania.

Franio był synem stróża i pełnił funkcje windziarza. Winda była starego typu, wprawiana w ruch korbą, z którą nie każdy umiał się obchodzić. Wprawdzie wystarczyłoby dziesięciominutowe przeszkolenie lokatorów, ażeby wszyscy mogli posiąść tę wiedzę, ale nikt się do tego nie kwapił i z tej racji umiejętność puszczania w ruch korby, stała się wyłączną specjalnością Frania.

Łatwy ten fach, dawał przywilej zbierania napiwków, stanowiących dla niego podstawowy zarobek. Ponadto Franio wyręczał czasami swoją siostrę Helkę, która obsługiwała kawalerskie pokoje.

Paweł czuł instynktowną niechęć do tego windziarza.

— Czyście zwrócili uwagę na jego wstrętną posturę? — pytał zwykle kolegów, którym się nadarzyła sposobność zobaczenia Frania.

— Jakieś kiepskie zapachy walą od tego faceta, stary ser, czy kwaszona kapusta, djabeł wie co — mruczał, krzywiąc się niechętnie.

Franio natomiast w stosunku do Pawła był ugrzeczniony, czem denerwował go jeszcze bardziej.

W tej chwili Franio przybył w zastępstwie Helki, posprzątać w pokoju.

Paweł nie spojrzał nawet na tę figurę, nie chciał psuć sobie humoru.

— Czego tam? — rzucił przez ramię.

— Przychodzę porobić porządki u szanownego pana, znakiem tego, że Helka nie może — tłumaczył się Franio skrzypiącym niemile, głosem.

— A cóż się znów stało Helce?

— Nie wiem, jak wczoraj wyszła, to do tej pory jeszcze nie wróciła.

Paweł przypomniał sobie, że Helka, dość ładna zresztą dziewczyna, w ostatnich dniach systematycznie zmieniała swój wygląd. Malowała usta jaskrawą pomadką, a brwi pociągała węglem czy też sadzą z komina, co wprawdzie twarzy nie upiększało, lecz zato podkreślało w jej charakterze pewne wyraźne tendencje.

Uzgodniwszy te spostrzeżenia z odpowiedzią Frania, Paweł nie pytał go o nic więcej.

— No, to sprzątaj, tylko mi nie hałasuj! — rzucił przestrogę i oddał się rozmyślaniom. Teraz dopiero zaprzątnęły jego uwagę myśli, któremi powinien był właściwie rozpocząć dzisiejszy poranek.

Dziwne poznanie się z Dziubielem, mające za tło uroczą postać pani Urszuli w towarzystwie Załkina, dalej zarysowujące się możliwości pieniężne, Zabrzydowski jako finansista przyszłej spółki czterech i propagandowe interesy...

Po rozstaniu się z majorem Dziubielem, co nastąpiło prawie jednocześnie z usłyszeniem jego nazwiska, Paweł wracał do domu zupełnie oszołomiony.

— Więc to jest Dziubiel!... no patrzcie państwo! — wtórował swym myślom na głos, nie mogąc opanować wielkiego zdumienia.

W niezwykłem spotkaniu tego właśnie człowieka na krętych ścieżkach, jakiemi błądził ostatniemi czasy, zaczynał się dopatrywać figla, którego zamiar zrodził się gdzieś poza obrębem rzeczywistości.

Żegnając się z kolegami o świcie na rozstaju jezdni, skropionych rannym prysznicem, odciągnął na stronę Lubystka i szepnął:

— Ani słówka nikomu o tem, co mię łączy z Dziubielem!

Wyznaczyli sobie spotkanie w parku łazienkowskim.

Maciej przyrzekł do tego czasu porozmawiać z teściami o pieniądzach.

Paweł podjął się obowiązku podtrzymania znajomości z Dziubielem telefonicznie.

Na pożegnanie wziął od Lubystka dwuzłotówkę, która mu miała zapewnić dzisiejsze śniadanie.

W koleżeńskiej gwarze pieniądz ten nosił miano „krążka".

Przypomniał sobie o tej monecie, zasłyszawszy w swem wnętrzu głuche pomrukiwanie kiszek, które dopominały się pożywienia, niczem zgłodniałe lwy w Zoo.

Wydobył „krążek" z kieszeni marynarki i posłał Frania po zakupy. Sam podniósł się z łóżka i począł się zwolna ubierać. Z odbicia swego w lustrze nie był zadowolony, przedstawiało się blado. Zdziwiła go nienaturalna jakaś czerwoność popękanych warg, co świadczyło o przebytej gorączce.

Dużo już zdrowia kosztowała go miłość do pani Urszuli, od której, co najzabawniejsze, nie usłyszał dotychczas dobrego słowa. Trudno mówić tu zresztą o „dobrem słowie", skoro zamieniła z nim parę zdań zaledwie, wykrzykiwanych w wielkiej irytacji. Nie słyszał nawet jej zwykłego głosu, tego „na codzień", pamiętał tylko ostry i krzykliwy ton, jakim go zwymyślała dwukrotnie.

Pierwszy raz wtedy na balu i drugi raz... na ulicy, kiedy groziła mu policjantem. Jedynym, jasnym promyczkiem w tej smutnej miłości był list, w którym pozwalała łaskawie przeprosić się osobiście, reszta uczuć składała się z całego szeregu poniżeń i upodleń, których mu nie szczędziła, mszcząc się na każdym kroku.

Mówiąc otwarcie, Paweł osoby tej wcale nie znał. Nie wiedział jakie posiada zasoby wiedzy, jakiego rodzaju inteligencję, nie zdołał poznać jej pragnień ani przyzwyczajeń, nie mówiąc już o ukrytych zaletach pani Urszuli, na temat których miewał często wizje. Udaremniając mu dostęp do swojej osoby, co przybrało już cechy zaciętego uporu, stanowiła dla niego zagadkę tembardziej zawiłą, że pozbawioną możności jej dociekania. Trzymana w dręczącem oddaleniu kobiecość Pani Urszuli, gmatwała się w Pawła umyśle, dystansując pod względem swej zawiłości niemal odwieczną tajemnicę bytu. Obecnie miał w ręku klucz do tej zagadki, lub może raczej wytrych.

Tym wytrychem był Dziubiel, mąż pani Urszuli. Należało więc zjednać sobie jego zaufanie, zachowując oczywiście incognito, zdradzenie swych uczuć do jego żony, mogłoby mu odebrać ochotę do zwierzeń. Po namyśle Paweł zdecydował się do niego zadzwonić i umówić się na spotkanie. Dziubiel ucieszył się wielce z tego powodu.

— Przyznam się, że nie liczyłem na pański telefon — mówił wesołym głosem — bo wie pan, te znajomości knajpowe, niezawsze są trwałe, bardzo rad jestem żeście panowie o mnie pamiętali.

Pawła zdziwiło nawet to jego zadowolenie. Później, gdy poznał bliżej Dziubiela, zrozumiał tego przyczynę: Dziubiel „na trzeźwo" nie cieszył się ludzką sympatią, był zbyt cyniczny i dokuczliwy, pozatem często mówił ludziom prawdę w oczy. Miał jeszcze wiele innych przywar, o których pomówimy w odpowiednim czasie. Narazie major wyznaczył spotkanie w miejscu bardzo odległem od mieszkania Pawła.

— Spotkamy się, wie pan na ulicy H. pod numerem 50-ym — ciągnął z rosyjska — poczeka pan na mnie na dole w bramie, punkt druga! — było to niezbyt delikatne, — a stamtąd pójdziemy spacerkiem do pańskich kolegów, zakończył tonem, w którym wyczuwało się dawne wojskowe nawyki.

Paweł czuł się tą formą lekko dotknięty, mimo to, zjadł prędko spóźnione śniadanie, odprawił Frania, który wykonywał w pokoju jakieś leniwe funkcje i pośpieszył na wyznaczone przez majora miejsce.

— Gdy znalazł się na ulicy, wionął mu w nozdrza ciepły, wilgotny wiaterek, nasiąknięty zapachem wiosny.

— Był to pierwszy dzień w tym miesiącu, o którym większość mieszkańców stolicy wyraziła się z pewnem uznaniem. Prawdziwy, wiosenny dzień — mówili do siebie ludzie, spoglądając na lekkie obłoki, jak z pianki.

— Wiosenny mamy wiaterek, zwracali uwagę inni, przytrzymując dla pewności kapelusze na głowach.

Istotnie figlarny wietrzyk hulał sobie swobodnie ulicami, dmuchał w wyblakłe twarze przechodniów, bawił się ogonami dorożkarskich koni i rozdmuchiwał spódnice bosych pokojówek, które zajęte myciem szyb, tkwiły w oknach. Ludzie, którym dopisywało bardziej powonienie, mówili poprostu:

— Dziś pachnie wiosną.

I mieli także rację, bowiem wietrzyk, mając szerokie pole do popisu, rozpylał w powietrzu zapachy, które przywiewał skądeś zpoza miasta, pewnie z okrytych oziminą pól, dalekich lasów i Bóg wie skąd jeszcze. Czuło się w tym wiaterku zapach wilgotnej gleby, wyzbywającej się resztek brudnego śniegu, znalazła się tam i woń gnijących, zeszłorocznych liści a może było tam również trochę aromatu czystych, białych pierwiosnków. W każdym razie wiosenne te perfumy nie były w kiepskim gatunku, skoro ludzie wdychali powietrze z rozkoszą. Pawła natomiast wiatr owionął smutkiem. Przypomniał mu się dom rodzinny, ogród i drzewa, które pęczniały teraz pod naporem soków.

— Pewnie przyleciały już szpaki — pomyślał naiwnie, łowiąc słuchem pamięci świstanie tych ptaków.

W zamyśleniu przeoczył nawet dom, przed którym miał spotkać Dziubiela. Musiał wracać spowrotem. Dziubiel już czekał na niego w bramie.

— Spóźnił się pan troszeczkę — rzekł na powitanie.

— Miałem dalszą drogę od pana — odciął się Paweł

— Daleko pan mieszka? — zainteresował się major.

— Na ulicy N.

— O, to daleko.

Czas jakiś szli obok siebie w milczeniu.

— Cy ten pański kolega... ten łysy, mówił już z teściem o pieniądzach — rozpoczął Dziubiel, przystępując odrazu do rzeczy.

— Miał rozmawiać dziś rano, dowiemy się zresztą wkrótce od niego samego, będzie czekać na nas w Łazienkach razem z Lubystkiem.

— Bo widzi pan, zanim przystąpimy do interesów, musimy spisać umowę, zarejestrować naszą spółkę i wynająć lokal w dogodnym punkcie. Dalej — urządzenie biurowe, maszyna do pisania, telefon, trzeba wynająć chłopca na posyłki, słowem musimy sobie stworzyć warunki do pracy, a to wszystko, wie pan, kosztuje.

— Oczywiście — zgodził się Paweł.

— Potem już łatwiej damy sobie radę, realizacja mojego pierwszego pomysłu propagandowego powinna przynieść około dziesięciu tysięcy, a jeśli się okaże, że pomysł dał dobre wyniki, zdobędziemy sobie na stałe świetnego klienta, jakim jest niewątpliwie kartel hurtowników kakao. Później....

— Ach więc tu chodzi o propagandę kakao—podchwycił Paweł — to bardzo głośna impreza!

— Właśnie. Ten produkt jest bardzo skwapliwie reklamowany.

— Czy rzeczywiście kakao jest tak pożywne jak głosi reklama?

Dziubiel machnął ręką lekceważąco.

— Nic podobnego, o wiele pożywniejsze są powiedzmy, jaja, rzecz w tem, za dookoła wszystko tanieje, a hurtownikom zależy na utrzymaniu dotychczasowej, kartelowej ceny. Gwałtowna ofensywa propagandowa stwarza dla kakao sztuczną konjunkturę, zwiększając popyt, oczywiście tylko do czasu, gdy zajdzie konieczność obniżenia ceny, propaganda stanie się zbędną, narazie jednak dobrze się opłaca.

Rzucając luźne uwagi zmierzali do łazienkowskiego ogrodu. Mijały ich tłumy szarych istot ludzkich, które wypełzły na wiosenne słońce.

Spoglądając na ich wyblakłe w ciągu zimy twarze, Paweł przypomniał sobie niektóre hasła hurtowników.

„Kakao wzmacnia organizm!" — głosiły pierwsze strony dzienników.

„W kakao siła!" — wołał donośnie gruby głos z ekranów.

„Chcesz być silnym, zdrowym spożywaj dużo kakao!" — obwieszczały wielkie plakaty, umieszczane na placach, gmachach, stacjach kolejowych i sportowych boiskach.

Wczytując się w te napisy, miało się wrażenie, że kakao jest środkiem na wszelkie dolegliwości. Od niemowiąt w kołyskach począwszy, a kończąc na stojących nad grobami starców, wszystkim gwałtownie zalecano kakao. Zwiększając konsumcję tego artykułu, grubas mógł pozbyć się z łatwością tuszy, chudy przytyć, paniom kakao dobrze robiło na cerę, a dzieci zabezpieczało przed angielską chorobą. Uporczywa reklama wciskała się wszędzie, wykorzystując każdą szczelinę ludzkiej łatwowierności.

Propagatorzy tego artykułu skomponowali nawet książkę kucharską, której wszystkie przepisy przyrządzania potraw zalecały domieszkę kakao.

W tych warunkach trudno już było wyobrazić sobie człowieka, który ośmieliłby się zjeść dajmy na to talerz grochówki, nie wsypawszy do niej kakao.

— A jednak ludzie są bardzo łatwowierni — zauważył Paweł, wtórując swym myślom na głos.

— Jak owce panie, jak owce — potakiwał Dziubiel — i dlatego chcąc się dorabiać na ludzkiej łatwowierności, trzeba tak się urządzać, aby mieć do czynienia ze stadem. Masa jest znacznie łatwiejszą do opanowania niż pojedyńcze jednostki. Łatwowierność jest właściwością każdego stada.

Gdy wchodzili w bezbarwną i pustą zazwyczaj ulicę W., przed słynną, starą winiarnię, zajechało auto. Dziubiel wskazał je ruchem ręki.

— Znam ten wóz, piękną ma linję — rzekł, wykonując w powietrzu pieściwy ruch dłonią.

Gdy to mówił, otworzyły się drzwiczki pięknej limuzyny i na chodnik wyskoczył ostrowłosy griffon. Wślad za nim wysunął się z auta, kusząco zgrabny, damski pantofelek. Prąc naprzód i niecierpliwie szarpiąc za smycz, griffon wyciągnął z głębi limuzyny wspaniałe futro karakułowe, dwa srebrne lisy, ostatni paryski model kapelusza i wiele innych kosztowności, które więziły w sobie piękny kształt niewieści.

Elegantka zatrzasnęła w pośpiechu drzwi auta, rzuciła okiem przelotnie na Dziubiela i Pawła — dwóch zwykłych gapiów, poczem wciągnięta gwałtem przez griffona, wpadła do wnętrza winiarni. Z osobistych jej wdzięków Paweł dostrzegł jedynie czerwień pomadki na ustach i loki utlenione na kolor słomy. Przez chwilę stali obaj wpatrzeni w puste drzwi winiarni.

— Jak panu się podobało to zjawisko? — zapytał Dziubiel po chwili milczenia.

— Nie przyjrzałem jej się dokładnie, zdaje się, że ładna — odrzekł Paweł, wpatrując się w błotniki auta.

— To jest słynna niegdyś tancerka Mimi Rover, obecnie żona pana Kurzawki.

— Cóż to za jeden?

— Jakto, nie słyszał pan o Kurzawce? — To znany fabrykant, bardzo już stary i zacny jegomość.

— I cóż ten pan fabrykuje? — zainteresował się Paweł.

— Pan Kurzawka wyrabia sztyfty.

— Jakie sztyfty?

— Różne, większe i mniejsze, sztyfty do butów, to duży przemysł.

— Hm, to dziwne, wierzyć mi się nie chce — mruknął Paweł i pociągnął Dziubiela za rękaw.

— Chodźmy, tam już pewnie czekają w Łazienkach.

Przez chwilę szli w milczeniu, obserwując przechodniów, którzy pomimo eleganckiej dzielnicy, mieli wygląd tandetny i wypłowiały.

— Wie pan, gdy patrzę na tych ludzi, zauważam brak ładnych kobiet — odezwał się Dziubiel,—a tyle się mówiło o urodzie Polek.

— Nic dziwnego, — odrzekł Paweł — co ładniejsze zostały już wykupione przez panów Kurzawków, którzy trzymają te ptaki pozamykane w klatkach - limuzynach, mniej ładne chodzą na wolności. Wie pan, panie majorze, dopóki natura będzie stwarzała tak drobny odsetek urodziwych kobiet, nie uwierzę nigdy w ideę równości. Cóż to mi za „egalité", gdzie większości przypada w udziale brzydota, a nielicznym tak piękne kobiety, że oczy wylażą z zachwytu.

Niestety, idea równości nie bierze damskich wdzięków pod uwagę.

— To źle, bo nieraz są one więcej warte, niż kapitał.

Dziubiel nic na to nie odpowiedział, zamyślił się tylko. Nerwowym ruchem palców skubał podbrudek, opuścił głowę nisko i patrząc przed siebie na chodnik dreptał małemi kroczkami. Coś przywoływał w pamięci i rozpamiętywał.

Gdy mijali kościół św. Aleksandra, zastąpił im drogę żebrak.

— Co łaska, panowie — wesprzyjcie bezrobotnego! — mamlał spopielałemi wargami.

Na ciele nosił brudne, wszawe ubranie, na nogach resztki spękanego obuwia. W jednym bucie wierzch ledwie się trzymał zelówki. Żebrak owinął go sznurkiem. Mimo to przy każdem poruszeniu stopy, but rozwierał paszczę krokodylą, błyskając zębami sztyftów. Paweł trącił Dziubela i pokazując na ten but żałosny, spytał z ironją:

— Czy o takich sztyftach pan mówił?

Dziubiel ocknął się z zamyślenia i przypomniał sobie poprzednią rozmowę.

—Tak, to są właśnie wyroby pana Kurzawki.

— Więc to stąd ta tancerka, limuzyna i inne wspaniałości? — dopytywał się Paweł w bolesnem zdziwieniu.

— Tak, wszystko zrobione na sztyftach do butów, nawet ten wybitnie rasowy griffon.

To rzekłszy Dziubiel zapadł znowu w odrętwienie. Zapatrzył się teraz przed siebie tem szklistem spojrzeniem, które miewają ludzie, marzący na jawie. Oczy miał wpół otwarte, ale wzrok nie ogarniał pola widzenia. W tej chwili błąkał się w starych składach wyobraźni, wertując dawne klisze i odbitki, na których rysowały się sprawy minione. Paweł uznał tę chwilę za sposobną dla poruszenia delikatnej sprawy. Wydało mu się, że teraz właśnie Dziubiel myśli o tem, co oplatało ich obu pasmem wspólnego cierpienia. Sformułował na prędce niewinne pytanie i rzucił je tak sobie, niby odniechcenia.

— Przepraszam, chciałem pana zapytać, czy... pan jest żonaty?

— I jeszcze nie przebrzmiały mu w ustach jego własne słowa, a już zmiarkował, że ton w jakim pytanie to wypowiedział, wypadł nieco fałszywie. Odchylenie było niewielkie, najwyżej o jedną ósmą od zwykłego tonu. Widocznie jednak Dziubiel wyczuł tę drobną różnicę, bowiem spojrzał na Pawła zukosa i odpowiedział spokojnie, tonem głębokiej powagi.

— Nie, panie, nie byłem nigdy żonaty i pewnie już zostanę starym kawalerem.

Paweł nie mógł sobie darować tego posunięcia.

— Niepotrzebnie się wyrwałem — myślał z wyrzutem — i co gorsza przełknąłem ślinę w połowie pytania, przez co timbre głosu zaznaczył się fałszem. Powinienem był jeszcze poczekać.

Resztę drogi odbyli nie mówiąc do siebie ni słowa. Gdy podeszli pod umówiony pomnik Chopina, Paweł ujrzał liczniejsze grono czekających. Oprócz Lubystka i Zebrzydowskiego znalazły się tam jeszcze dwie nowe postacie, starszy pan drobnej postawy i młoda, średniego wzrostu kobieta. Na czoło grupy wysunął się Zebrzydowski. Zdjął kapelusz i kłaniał się zdaleka. W wiosennem słońcu świeciła się jego łysinka, a jasne, nieliczne włosy drżały na wietrze. Był bardzo zmieszany, witając się z przybyłymi, nałożył szybko kapelusz, aby móc się ukłonić każdemu zosobna. Podprowadził ich do kobiety, z którą Lubystek stał na uboczu.

— Pozwól, kochanie... — mówił urywanym szeptem — pan doktór Dziubiel, biolog... i mój kolega szkolny i przyjaciel.. tak, wielki przyjaciel... pan Popielec — a to moża żona.

Podobna ceremonja odbyła się ze starszym panem.

— A to mój ojciec, pan Lędźwian — objaśnił Maciej przybyłym, poczem wydobywając z kieszeni chustkę do nosa, upuścił na ziemię kapelusz, a wycierając czoło, zgrzane z emocji, strącił ze swego nosa okulary.

Wciąż giął się w ukłonach i skwapliwie zabiegał, wszystkich przepraszał, słowem był bardzo onieśmielony. Pan Lędźwian natomiast, teść Zebrzydowskiego, wykazywał o wiele mniej zakłopotania. Jego swobodne, wykwintne niemal poruszenia, były nacechowane dostojnym umiarem. Zdjął czarny kapelusz o szerokiem rondzie, przyczem odsłonił bujną grzywę włosów, białych jak mleko.

— Bardzo mi miło powitać panów, pozwoliłem sobie przyjść razem z dziećmi na umówioną naradę.

Miał głos nosowy, nieco metaliczny i nie wymawiał litery r. Poruszając sprawy zwykłe i oczywiste, pan Lędźwian wypowiadał je tak, jakgdyby miały wagę wielkiej tajemnicy. Unosił przytem w górę brwi, które w odróżnieniu od włosów były czarne jak sadza. Przyjrzawszy mu się pobieżnie, Paweł skierował spojrzenie na żonę Macieja.

Była podobna do swego ojca. Brunetka, o ciemnej, oliwkowej cerze i piwnych oczach. Miała jednak coś w rysach, czego próżnoby było szukać w obliczu pana Lędźwiana. W wyrazie jej twarzy ukrywały się jakieś nieprzyzwoite intencje. Czy to w puszku, okalającym brzeg górnej wargi, czy też w nozdrzach, które zbyt często ruszały się niespokojnie, a najprawdopodobniej w spojrzeniu ciekawskiem i penetrującem, czaiła się owa niepokojąca zmysłowość. Ubrana była szykownie i z dużą śmiałością fantazji. Dopełnienia jej stroju pół sportowego, w rodzaju piórka na kapeluszu, rękawiczek, dziwacznej gałki u parasolki i jaskrawej torebki, przemawiały za jej skłonnością do eksperymentalizmu..

DALSZY CIĄG W PONIEDZIAŁKOWYM NUMERZE „ABC"



Nowy angielski minister wojny A. Duff Cooper.



Prezydent R. P. prof. Mościcki przyjął przysięgę od nowego ministra oświaty prof. Świętosławskiego w obecności premjera M. Kościałkowskiego.



Ludność powraca do zniszczonego podczas działań wojennych miasta Makalle.



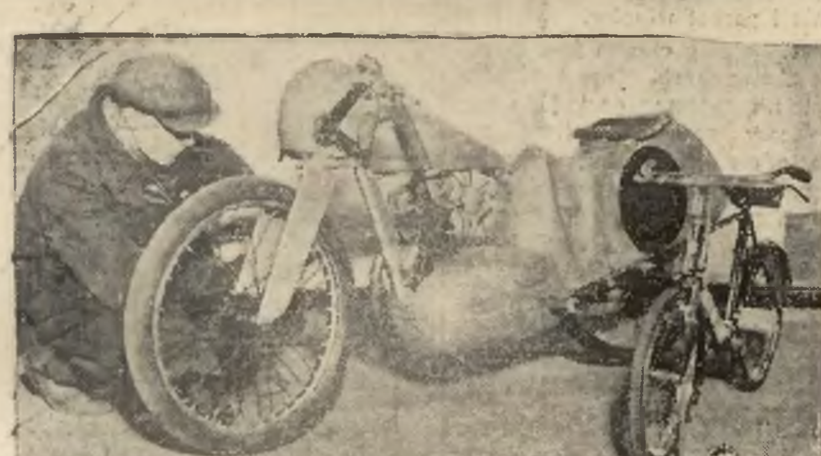
Papież mianował kardynałem msgr. Tapponi, patrjarchę syryjskiego. Jest to pierwszy człowiek Wschodu, mianowany kardynałem.



W Saint Raphael spadł do wody wodny samolot francuskiej marynarki wojennej. Cztery osoby załogi zginęły. Na zdjęciu miejsce katastrofy.



Rząd francuski wypuścił nowe pocztowe znaczki kolonjalne spowodu 300-lecia zdobycia wysp Antylskich.



Fabryki angielskie skonstruowały nowy typ motocyklu, który posiada na wzór samochodu oprofilowanie aerodynamiczne zapewniające mu większą szybkość.



Lekkoatletka czeska, rekordzistka świata, 24-letnia, Zdenka Koubowa, podda się operacji zmiany płci na męską.



Amerykańska olimpijska drużyna narciarska. Od lewej: Fraser, Carter, Ayr, Smith, Croockes i Wiegel.



B. cesarz abisyński Lidż-Jassu zmarły nagle w więzieniu, jak zapewniają źródła włoskie, wskutek otrucia przez obecnego negusa.



Rząd abisyński nałożył nowe olbrzymie podatki na kupców. Widzimy na zdjęciu kupców, niosących worki z pieniędzmi do pałacu w Addis Abebie.



Murzyn nowojorski Hubert Juljan, znany pilot, który objął dowództwo lotnictwa abisyńskiego, wysłany został przez negusa w tajnej misji do Waszyngtonu.

Kącik dla pań pod redakcją p. FRANCINE

Futrzane i skórzane kamizelki

Wszechwładny kryzys daje się wszystkim we znaki. Moda jest nim również dotknięta, a właściwie wszystkie panie, żyjące pod znakiem Mody. W jaki sposób przeciąć ów węzeł gordyjski i pomyślnie rozwiązać zagadnienie modnego ubioru, oszczędności i — ciepła, bo z zimą żartować nie można i na chłody każda z nas musi koniecznie mieć ciepłe okrycie, jeżeli nie chce ryzykować zdrowiem, a nawet życiem!

Futrzanych płaszczy lub okryć, podbitych futrem — nie brak, ale są to ubiory drogie, na które niełatwo sobie pozwolić, na szczęście możemy je zastąpić imitacjami lutrów, bobrów, albo brzuszkami popielic i innemi lekkiemi futerkami, które są bardzo modne. Mamy przytem grube, wełniane płaszcze, przybrane kołnierzem futrzanym lub ciepłym, sportowym szalikiem.

Zapewne — odpowiedza mi moje miłe Czytelniczki — ale te futerka i wełniane płaszcze są dobre w Paryżu, w naszym klimacie okazują się niedostateczne i nie rozstrzygają zagadnienia ciepłego ubrania.

Zgadzam się zupełnie z tym poglądem i powiem, że Moda przewidziała ten protest kobiet, mieszkających w surowszym klimacie i ma dla nich — eleganckie kamizelki.

Już w czasie wojny zauważono, że więcej grzeją dwie kurtki, nałożone jedna na druga, niż jedna, grubością swoją odpowiadająca tamtym dwóm.

Moda przypomniała sobie tę praktyczną zdobycz lat wojennych — i wprowadza, jako wyraz elegancji i szyku — ciepłe kamizelki, noszone pod wełnianemi płaszczykami, lub futerkami trois-quarts.

Dotąd nosiłyśmy swetry, trykoty z rękawami lub bez rękawów, co było niezawodnie praktyczne, ale mniej eleganckie i nawet mniej ciepłe — niż obecne kamizelki.

Kamizelki bowiem robią się nie tylko z wełnianych wyrobów, ale nawet ze skóry; nie można więc wyobrazić sobie bardziej ciepłego ubioru, chroniącego nasze płuca przed lodowatym wiatrem i mrozem. Jednocześnie kolorem swoim i przybraniem kamizelka zalicza się do efektownych przybrań, robiących bardzo do twarzy i mogących służyć — aż do wyjścia z mody!...

Mamy kamizelki z długiemi rękawami i bez rękawów, przybrane futrzanemi kołnierzami, które mogą mieć najrozmaitsze kształty, lub wąskim, szalowym kołnierzem z tego samego materjału co kamizelka.

Bardzo oryginalnym pomysłem są skórzane kamizelki, przybrane filcowemi aplikacjami; aplikacje te wyglądają jak duże grochy; naprzykład możemy mieć kamizelkę beige w bronzowe grochy czerwoną w białe grochy, czarną w białe, jasno-zieloną w ciemno-zielone grochy, granatową w niebieskie. Wszystko zależy od koloru okrycia lub futerka, z którym mamy nosić kamizelkę. Najlepiej wybrać neutralne połączenie barw.

Efektowne przybranie stanowią guziki, są one skórzane do skórzanych kamizelek, do wełnianych zaś mogą być metalowe albo z kolorowej masy, z kryształu, z drzewa lub przykryte tym samym materjałem, albo futerkiem, z którego zrobiony jest kołnierz.

Dla większego podobieństwa z męską kamizelką mamy stylu patkę, czasem zamiast patki pasek skórzany lub z tego samego materjału ujmuje stan. Oryginalnie wygląda kamizelka sznurowana stylu; dzięki tym wszystkim dodatkom kamizelka przylega do figury i uwydatnia linję.

Z taką kamizelką możemy nosić ciepłą bluzkę, z wełnianego jersey. Powinna być ona zupełnie gładka, o długich wąskich rękawach, bez kołnierzyka, zakończona u szyi wąską wstążeczką lub aksamitką, związaną sprzodu. Jeżeli kamizelka jest bez rękawów — rękawy bluzki powinny stanowić z nią harmonijną całość. Tak zaopatrzone możemy nie lękać się najsroższej zimy.



Model Nr. 1.

Szykowny płaszczyk trois-quarts z lutrów, bobrów lub ich imitacji. Okrycie to jest dość wcięte w stanie, natomiast u dołu układa się w kilka fałd. Zwróćmy uwagę na bufki przy rękawach, niejednokrotnie już wspominałyśmy, iż obecnie futra traktowane są jak wełniane lub aksamitne wyroby, co pozwala na różne futrzane fantazje, nieznane dotąd. Efektowny kołnierz jest właściwie szerokim, futrzanym pasem luźno otaczającym szyję i spiętym na jeden duży guzik z tego samego futerka.



Model Nr. 2.

Pod lekkie futrzane płaszczyki nosimy kamizelki, które nie poszerzają, a jednocześnie są bardzo ciepłe. Niniejszy model jest ze skóry, filcowe aplikacje w tym samym kolorze, lub w ciemniejszym nieco tonie stanowią oryginalne przybranie. Kołnierz i pasek są ze skóry. Kamizelka jest bez rękawów, zapięta na rząd guzików skórzanych lub filcowych. Kamizelka jest sznurowana stylu, dzięki czemu doskonale przylega do figury.



Model Nr. 3.

Bardzo ciepła kamizelka z długiemi, wąskiemi rękawami. Jest ona z wełnianego materjału, przybrana futrzanym kołnierzem z osła lub leoparda, co efektownie wygląda przy kamizelkach. Trzy duże guziki z tegoż futerka dopełniają sportowej całości.

Francine.

Kłopoty czarnych dam
z nowymi wynalazkami

Najróżniejsze wynalazki trafiając do dzikusów, znajdują tam nieraz zgoła nieoczekiwane zastosowanie lub w każdym razie wyglądają zupełnie dziwnie w zestawieniu z prymitywnemi warunkami życia.

Takim więc objektem zachwytu jest zawsze dla dzikusów gramofon, którego tajemnicy nie mogą zgłębić. Są jednak i takie przedmioty, które oddają mieszkańcom egzotycznych krajów wielkie usługi. Naprzykład rower, który znajduje szerokie zestosowanie w Afryce, zwłaszcza w Kamerunie. Bardzo częstem zjawiskiem jest tam jadąca na rowerze czarna dama, ubrana zresztą jedynie w piękny naszyjnik. Murzynki są świetnemi kolarkami i rower służy im jako środek komunikacyjny między odległemi wioskami murzyńskiemi.

Podczas jednej z wypraw do Afryki, w której brały udział dwie młode Amerykanki — przedmiotem zazdrości i uwielbienia stał się aparat do suszenia włosów. Ten wyraz komfortu wywarł na czarnych damach tak silne wrażenie, że Amerykanki ciągle musiały pilnować, aby nie skradziono im aparatu. Murzynki pełne były uznania dla cudownego fetysza, który dmuchał na włosy i je suszył. Wreszcie pewnego dnia zjawiła się delegacja murzynek. Zażądały podarowania im aparatu. Perswazje, że aparat działa jedynie tylko wtedy, kiedy ma połączenie ze źródłem elektrycznem — na nic się nie zdało. Aparat ten któregoś dnia zginął. Odnaleziono go później w jednej wiosce murzyńskiej, gdzie oddawano mu cześć boską. Ponadto, za pokaźną opłatą ta murzynka, która skradła aparat, pozwalała dotykać się do niego i wymachiwała nim nad głowami swoich czarnych sióstr, które zaklinały się, że czują wyraźnie wiew wiatru, tak jak to miało miejsce wtedy, kiedy aparat połączony był z prądem.

Amerykanki podróżowały w krótkich, białych spodeńkach „shortach". Ten strój tak się podobał murzynkom, że zapragnęły mieć coś podobnego. Niestety, nie miały odpowiedniego materjału. Wobec tego jedna z odważniejszych czarnych elegantek wpadła na zgoła rewelacyjny pomysł i ukazała się któregoś dnia na ulicy wioski — w białych spodenkach. Jakież jednak było zdumienie członków wyprawy, kiedy po przyjrzeniu się tej „kreacji" stwierdzili, że spodenki te są... namalowane białą farbą.

Jak pielęgnować włosy?

Prawdziwą ozdobą pięknych pań są niewątpliwie włosy, otaczające łagodnie owal, umiejętnie zwichrzone nad czołem, delikatnemi falami zdążające od skroni do białego, ponętnego karczka, rozsypujące się w złote kędziorki, albo solidnie upięte w niski wałek.

Uczesanie dostarcza nam wielką ilość efektów, któremi upiększamy twarz, nadając jej właściwy i oryginalny charakter. Dlatego też powinnyśmy bardzo dbać o tę naszą prawdziwą i niezastąpioną ozdobę, która przez niedostateczne pielęgnowanie może chorować i zmarnieć. Przedwczesna siwizna, wypadanie włosów, łamanie się ich — jest karą za zaniedbanie tych ważnych starań, jakiemi każda kobieta powinna otaczać swoje włosy.

JAK PIELĘGNOWAĆ WŁOSY?

Pierwszem przykazaniem w pielęgnowaniu włosów, jest utrzymywanie ich w wielkiej czystości i zapobieganie tworzenia się łupieżu, który utrudnia oddychanie skóry.

W zachowaniu czystości włosów pierwszą rolę gra — szczotka. Szczotka usuwa nagromadzone w ciągu dnia kurze i pyły, nadaje włosom połysk i jednocześnie masuje głowę i pobudza obieg krwi, bardzo ważny dla porostu włosów.

Rola grzebienia polega tylko na rozplątywaniu włosów i na ich estetycznem ułożeniu (gęstego grzebienia nie powinnyśmy nigdy używać, gdyż drażni naskórek i powoduje łupież).

Szczotkując włosy, pamiętać należy, że najlepiej podzielić je na pasemka i szczotkować każde pasmo z osobna, idąc od korzenia do końca. Końce włosów nie powinny dzielić się na dwoje lub troje, jest to dowód złego ich stanu, który trzeba wyleczyć.

MYCIE GŁOWY

Czem powinnyśmy myć głowę? Dla włosów suchych i delikatnych wszystkie „schampooing'ie są nie odpowiednie, bo wysuszają i łamią włosy. Zwykłe mydło również działa w podobny sposób. Najlepiej używać specjalnej oliwy, stosowanej obecnie we wszystkich dobrych zakładach fryzjerskich. Oliwa ta nie jest tłusta, zawiera oliwę nafciana i olejek rycinowy, znakomicie działający na wzmocnienie i porost włosów.

Mycie głowy eterem jest szkodliwe dla suchych, blond włosów. Jeżeli nie możemy dostać do mycia głowy specjalnej oliwy, poprzestańmy na środku, wypróbowanym przez nasze prababki, a którym są dwa żółtka dobrze rozmieszane w szklance ciepłej wody.

Tłuste włosny inaczej powinny być pielęgnowane. Dla nich mycie w nafcianym eterze jest wskazane, należy tylko zwrócić uwagę, żeby w pokoju nie było ognia, naftowej lampy i t. d.

Płókanie włosów w wodzie z amoniakiem jest również bardzo dobre dla przetłuszczonych skór, zwracamy jednak uwagę blondynek, że amoniak nadaje rudawy odcień blond włosom.

Zdziwi nas zapewne fakt, że zbyt tłuste włosy są objawem ogólnego niedomagania, a w szczególności wadliwego funkcjonowania gruczołów, np. gruczołów kobiecych. W tych wypadkach, obok lokalnego leczenia, lekarz zapisuje kurację, usuwającą przyczynę tego anormalnego stanu rzeczy.

Nie powinniśmy zapominać o jeszcze jednym ważnym czynniku, niezbędnym dla zdrowia naszej cennej ozdoby, jest nim:

POWIETRZE

Powietrze jest konieczne dla porostu i zdrowia włosów. Powinnyśmy jak można najwięcej, wystawiać głowę na jego działanie. Nie wymagamy od współczesnych kobiet, żeby, jak Lorelei, w poezji Heinego, stawały na wzgórzu, czesząc swoje złote sploty, ale noszenie kapelusza na wakacjach nad morzem lub na wsi, nie jest wskazane.

W następnym numerze pomówimy o farbowaniu włosów.

Wspaniały rozwój kinematografji

W 40-lecie dokonania genjalnego wynalazku przez braci Lumière - kinematografji — departament handlu Stanów Zjednoczonych ogłosił interesujące cyfry, dotyczące rozwoju kina w Ameryce. Inwestycje wykonane w kinematografji amerykańskiej do roku bieżącego, stanowią wartość 10 miljardów złotych. Roczne wpływy przemysłu filmowego wynoszą 500 miljonów złotych. Przemysł ten zatrudnia około 300.000 osób, nie licząc statystów. Wszystkie kina na całym świecie odwiedza tygodniowo 200 miljonów osób. Liczba kin w związku z kryzysem poważnie się zmniejszyła, np. w Ameryce z 21 tys. do 15 tys. Ogółem na całym świecie jest obecnie 54 tysiące kin czynnych, w tem 30 tys. grających cały tydzień.

Najlepsze szynki

Jakość pożywienia dawanego bydłu trzodzie i ptactwu wpływa na smak mięsa. Pikantny, ostry smak, jaki posiada wszelkiego rodzaju dziczyzna, pochodzi stąd, że zwierzęta na wolności jadają najrozmaitsze zioła, nadające ich mięsu specjalny aromat. Ktoby jednak przypuszczał, że specjalny i podobno jedyny w swoim rodzaju, wyborowy i niezrównany smak posiada mięso świń, które żywią się żmijami?. Temu podobno niezwykłemu rodzajowi pożywienia, należy przypisać niezrównany smak słynnych na cały świat i cenionych przez smakoszy — szynek pochodzących z Estramadura w Hiszpanji.

Papa — jako wózek dziecinny

W wodach jezior i rzek tropikalnych żyje pewna odmiana owadów wodnych, które mają oryginalne obyczaje. Są to owady duże, długość ich wynosi bowiem 7 cm.. Samiczka ich składa z całem zaufaniem jajeczka na grzbiecie swojego małżonka. Małżonek zachowuje się z godnością i spokojnie zarówno wtedy kiedy dźwiga jajeczka, jak i wtedy, kiedy wykluwają się już z nich małe. A ponieważ niedołężne narazie potomstwo nie może pływać samodzielnie — troskliwy papa z przejęciem odgrywa rolę wózka dziecinnego.

NOWELKA NIEDZIELNA

Dobry urzędnik

Czy wiecie państwo co to jest mierny urzędnik? To taki, który do biura przybywa nie zbyt późno, ale też nigdy zawcześnie, który nie ma żadnej inicjatywy, a dane sobie polecenia spełnia posłusznie, nie starając się ich zrozumieć. Nigdy nie można liczyć na jego pamięć, a jeszcze mniej na jego inteligencję i zaradność.

Takim właśnie urzędnikiem był Paweł Kapuściński. Znałem go już od kilku lat i wiedziałem, czego się mogę po nim spodziewać, to też zdziwiło mnie, kiedy ni stąd ni zowąd zaczął zdradzać niezwykłą pracowitość i zainteresowanie działalnością biurową. Coś w tem musi być — myślałem, oczekując rozwiązania zagadki.

Nie czekałem długo. Pewnego dnia Kapuściński wszedł do mego gabinetu i po zdaniu mi sprawozdania ociągał się z wyjściem, przestępując nieśmiało z nogi na nogę.

— Chciałem zapytać, czy pan dyrektor jest zadowolony ze mnie? — zapytał czerwieniąc się lekko.

— Owszem, owszem, ale dlaczego stawia pan mnie to pytanie?

— Bo... jeżeli pan dyrektor jest zadowolony, to mnie to ośmiela do... jednej prośby — mówił z widocznem zażenowaniem.

— Oj, pewnie prośba o podwyżkę — pomyślałem, ale odpowiedziałem przyjaźnie.

— Proszę, niech pan mówi zupełnie szczerze i otwarcie!

— Bo to sprawa taka... ja mam narzeczoną... młodsza ode mnie o piętnaście lat, ale bardzo poważna, serjo dziewczyna! Chce ona być artystką kinową... ma dwadzieścia lat, urodę, zdolności, może się z czasem wyrobić... ale trzeba mieć stosunki... być przedstawioną jakiemuś reżyserowi! Więc myślałem, że może pan dyrektor mógłby ją komu polecić!

Nie lubię nikomu odmawiać najdrobniejszej nawet przysługi, więc chociaż rola protektora nowych gwiazd kinowych nie uśmiechała mi się zupełnie, nie dałem Kapuścińskiemu odmownej odpowiedzi, tembardziej, że trzeba go było wynagrodzić za biurową gorliwość, jakiej dawał dowody.

Chciałem jednak przekonać się, czy narzeczona mego urzędnika odpowiada wymaganiom ekranowym, umówiliśmy się więc, że się spotkamy wieczorem w kawiarni, żeby uniknąć ciekawości i niedyskrecji innych urzędników.

Istotnie, panna Miecia była ładną i pikantną dziewczyną, mająca szanse powodzenia. Napisałem do znajomego reżysera długi list, prosząc go usilnie o zaopiekowanie się nią. W kilka dni później spotkałem go na ulicy i zapytałem o losy mojej protegowanej.

— Kochany dyrektorze — rzekł niedbale — podobnych do niej kandydatek mamy tuzinami! To ciężka praca takie debiutantki nauczyć gry, ekspresji!

— Ale przyzna pan, że to ładna dziewczyna!

— Zapewne, ale dla ekranu to jeszcze nie wszystko! Nam potrzeba artystycznych zdolności, wyrazu, inteligencji!

— No, ale przecież jej pan nie odmówił? — zapytałem z pewnem zniecierpliwieniem, zaniepokojony o wyniki mojej interwencji.

— Przyjąłem ją do zagrania małej roli, żeby panu zrobić przyjemność — odpowiedział mi z jakimś dziwnym uśmiechem.

W tydzień później Kapuściński wpadł do mego gabinetu rozpromieniony.

— Miecia jest uszczęśliwiona i strasznie panu dyrektorowi wdzięczna. Otrzymała rolę w filmie „Tajemnice Warszawy": ma piętnaście słów do wypowiedzenia i nawet pokazuje się dwadzieścia razy. Chciała przyjść osobiście podziękować panu dyrektorowi, ale jest strasznie zajęta. Uczy się roli i chodzi do krawcowej, bo musi mieć ładne tualety!

Upłynął miesiąc. Co jakiś czas pytałem Kapuścińskiego, jak się powodzi jego narzeczonej. Wiadomości były coraz lepsze.

— Ma wielki talent, który trzeba rozwinąć — mówił Kapuściński takim tonem jakgdyby powtarzał lekcję — musi więc strasznie dużo pracować! Ci artyści nigdy chwili spokoju nie mają, nawet w niedzielę bywają zajęci.

— Zapewne, ale jest pan zadowolony z powodzenia narzeczonej.

Kapuściński uśmiechnął się smutno.

— Bardzo, jestem zadowolony, ale teraz tak się stało, że jej prawie nie widzę, bo jest zawsze kinem zajęta. Przytem zmieniła mieszkanie i wzięła do siebie matkę. A matka jej mnie nie cierpi! Dlaczego nie wiem, bo zawsze starałem się być z nią w zgodzie. Ale teraz, ponieważ mieszkają razem, więc Miecia nie chcąc drażnić matki, nie może mnie przyjmować u siebie. Mówi, że jak zostanie gwiazdą, to wtedy z matką liczyć się nie będzie...

— A kiedyż się pobierzecie? — zapytałem ze współczuciem patrząc na zafrasowaną minę Kapuścińskiego.

— Miecia mówi, że jak tylko otrzyma stały kontrakt do jakiejś kinowej wytwórni, to weźmiemy ślub — odpowiedział urzędnik z dumą w głosie.

W tym czasie wyjechałem w interesach biurowych za granicę, potem wypadł mój urlop, tak, iż dopiero po dwóch miesiącach powróciłem do Warszawy. Jak zwykle z rana Kapuściński wszedł do mego gabinetu przynosząc korespondencję, spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Zmienił się do niepoznania: schudł, pożółkł, ramiona mu się zgarbiły, oczy zapadły wgłąb.

— Co panu jest? Chorował pan może? — Zapytałem.

Kapuściński żachnął się.

— Co mi jest! Panie dyrektorze! Ona uciekła! Wyjechała z tym... reżyserem! Uciekła bez słowa... bez spojrzenia! Wszystko to były kłamstwa! Wiem teraz od dozorcy domu... od jej matki... Od pierwszego dnia poznania się z tym reżyserem oni wszystko ułożyli, on ją wziął jak swoją rzecz-...

Nagle przypomniałem sobie dziwny uśmiech mego przyjaciela.

— Ale przecież ona mieszkała z matką — rzekłem starając się ją bronić.

— Ta matka, to nie była matka! — zawołał Kapuściński — to był reżyser! Ona z nim zamieszkała! Teraz jej matka robi mi wymówki, że ja jej córę popchnąłem na złą drogę! Nieszczęście chciało, że uparła się filmy kręcić! Zmarnowała moje życie, a może i swoje — dodał Kapuściński i odwróciwszy się, żeby ukryć łzy szybko wybiegł z mego gabinetu.

Od tego czasu stał się znów miernym urzędnikiem, może nawet bardziej opieszałym i obojętnym niż kiedykolwiek. Ale nie robiłem mu uwag i nie myślałem o usunięciu go, bo coś mi w głębi duszy mówiło, że się poniekąd przyczyniłem do jego niedoli.

M...lza.

Tajemnica, pełna niewyjaśnionych zagadek

Choroba św. Walentego

Pominąwszy wszelkie epidemje, żadna chyba choroba nie wywoływała tak wielkiej grozy w średniowieczu, jak padaczka, inaczej zwana epilepsją, chorobą św. Walentego, „kadukiem" lub poprostu wielką chorobą. Przypisywano jej zjawienie się djabłu, a chorych uważano za opętanych.

Bo też objawy są przerażające. Epileptyk traci przytomność, pada, mięśnie twarzy zaczynają mu drgać, wskutek czego następuje charakterystyczna gra mimiki, oczy biegają na wszystkie strony, źrenice są rozszerzone, z ust płynie ślina częstokroć zabarwiona krwią wskutek pokaleczenia zębami języka. Nogi i ręce wyprawiają ruchy osobliwe, niezwykle gwałtowne i szybkie. Dłonie są zawsze tak zaciśnięte, że wielki palec jest objęty innemi palcami. Chory rzuca się wtył i naprzód, twarz sinieje, wargi stają się czarne.

Oto jak wygląda napad „wielkiej choroby". Jeżeli objawy są słabsze, jeżeli ograniczają się do utraty przytomności i lekkich drgawek, wówczas lud powiada, iż jest to „mała choroba".

ZWIASTUN CHOROBY

Przed atakiem występują rozmaite, lecz dające się sklasyfikować objawy, zwane aurą. U niektórych osób zwiastuny takie zjawiają się na pół godziny przed napadem, u innych na kilkanaście lub kilka minut.

Ostrzeżeniem więc będą bóle, zawsze powtarzające się w tem samem miejscu, swędzenie, dreszcze, nagle wzdęcia, tak zwane ciągoty w kościach, wreszcie właściwa aura, czyli widziadła świetlne.

Chory spostrzega raptem iskierki, błyskawice, lub też odczuwa mrok w oczach. Czasami widzi czarne punkciki, nie jest rzadkością, że jednocześnie zjawiają się inne złudzenia zmysłów. Epileptyk odróżnia imaginacyjne zapachy, to znów odczuwa szum w uszach.

Zdarza się też, że jedynym zwiastunem napadu jest ból głowy, po którym następuje utrata przytomności.

Notowano też ataki epilepsji bez żadnych sygnałów ostrzegawczych. Ot, idzie sobie przechodzeń, jest wyprostowany, trzyma się dobrze. Raptem pada i uderza głową o bruk. W tych wypadkach zdarzają się niebezpieczne okaleczenia.

Bywa jeszcze gorzej. Przy wyjątkowo ostrych objawach choroby, wskutek gwałtownych skurczów, pękają ścięgna, łamią się kości, występują krwotoki wewnętrzne. Są to jednak wyjątki i dziś, dzięki pomocy lekarskiej, chory nie jest narażony na tak straszne następstwa ataków epileptycznych.

SPLOT ZAGADEK

Do niedawna medycyna była najzupełniej bezsilna wobec epilepsji. Dziecko, nawiedzone przez tę chorobę, uznawano poprostu za stracone. Trzeba bowiem pamiętać, że jest to choroba młodzieńczego wieku. Występuje najczęściej między 6 a 15 rokiem życia, lecz niestety, nie mija po dojściu do pełnoletności.

Przyczyny jej nie są znane. Początkowo lekarze przypisywali epilepsję alkoholizmowi rodziców, to znów poczytywali ją za następstwa innych chorób, jak ospa lub szkarlatyna. Obserwacje nie potwierdziły tych hipotez.

Zaczęto doszukiwać się źródła choroby w mózgu. Przypuszczano, że wywołują epilepsję wrzody i nowotwory, bądź też anemja mózgowa. Sekcje zwłok nie potwierdziły tych przypuszczeń. Okazało się, że mózg epileptyka częstokroć nie da się odróżnić od mózgu człowieka zdrowego.

Gdzież ukryła się przed okiem lekarza przyczyna tej strasznej choroby?

Nauka współczesna dopatruje się źródeł padaczki w zaburzeniach przemiany materji całego ustroju. Jest to pojęcie tak szerokie, że narazie nic nam nie mówi. Nim więc fakultety wydadzą sąd o przyczynach, pocieszmy się tymczasem, że istnieją sposoby, jeżeli nie zwalczania zła, to przynajmniej, złagodzenia jego objawów.

STARE LEKARSTWA

Dużym krokiem naprzód w walce z padaczką było zastosowanie bromku potasu. Preparat ten oddał duże usługi i uchodzi niejako za lek klasyczny. Dziś jeszcze często bywa stosowany, choć ustępuje miejsca innym lekarstwom, pewniejszym w działaniu i mniej szkodliwym.

Oprócz bromu, który wywoływał u wielu chorych przykre objawy zatrucia, zwłaszcza wysypki skórne, podawano w wypadkach lżejszych nalewkę walerjanową, której skuteczność sprawiała jednak zawód. Stosowano też dietę i zalecano chorym powstrzymywanie się od wysiłków fizycznych i wzruszeń. Dziś wybór środków jest dość bogaty, a kilka preparatów syntetycznych uzyskało zasłużone uznanie.

LECZENIE NOWOCZESNE

Padaczkę leczy się dziś z powodzeniem. Doświadczenie wskazuje, że specjalna dieta może doprowadzić do ustąpienia napadów. Stosuje się więc, w zakładach zamkniętych, — głodówkę. Kuracja głodem wywołuje zakwaszenie organizmu, co pociąga za sobą, jeżeli nie zanik, to przynajmniej złagodzenie objawów choroby.

Dobre też daje czasami wyniki odwodnienie ustroju. Rzecz oczywista, że i ten zabieg musi być przeprowadzony pod ścisłym nadzorem lekarskim. Prowadzone są próby sztucznego zakwaszania organizmu przez podawanie soli kwaśnych. Świat lekarski czeka z niecierpliwością na wyniki tych prób.

Zabiegi chirurgiczne (trepanacja czaszki) bywają stosowane tylko wtedy, jeżeli zachodzi podejrzenie, że objawy padaczkowe wywołał guz na mózgu. Inne operacje, jak wycinanie pewnych okolic kory mózgowej, zarzucono, gdyż nie dawały dobrych wyników.

Natomiast dobre wyniki dają kuracje przy pomocy nowoczesnych środków farmakologicznych. Pożyteczne okazały się preparaty kwasu barbiturowego, które, niestety, wywoływały u chorych senność.

Dziś udało się usunąć ten uboczny objaw. Opracowano recepty antyepileptyczne, nie powodujące senności.

Podaje się więc, jednocześnie ze środkiem nasennym, belladonnę, kofeinę lub poprostu kawę. Mieszanki tego rodzaju wyjdą wkrótce z użycia, o ile nowy preparat barbiturowy (prominal) zda egzamin.

Pozatem ukazał się w Stanach Zjednoczonych znakomity jakoby specyfik antyepileptyczny, będący połączeniem soli bromowych z wyciągiem rośliny Scutellaria laterifolia. Preparat ten nie jest w Polsce znany, powinien jednak ukazać się wkrótce w naszych klinikach.

Jak widzimy, świat lekarski nie próżnuje i, choć poomacku, zdołał jednak przygotować szereg dzielnych środków do walki z epilepsją.

Dr. A. Hempel.

O tych, co nam osładzają życie

Dzieje cukru

Dziś — teoretycznie przynajmniej — cukier jest rzeczą codziennego użytku. Teoretycznie, bo np. w województwach wschodnich nie używa się nietylko cukru, ale nawet potrzebniejszej od niego i kilka razy tańszej soli. W innych krajach Europy spożycie cukru jest wielokrotnie większe na głowę ludności, aniżeli w Polsce.

Niezawsze jednak tak było. Cukier swój pochód zwycięski po świecie zaczął przed wiekami w Bagdadzie. Ale był wtedy tak drogi, że stawiano go obok srebra i purpury, czyli przedmiotów zbytku, dostępnych tylko dla możnych tego świata. Z bliskiego wschodu cukier zaczął powoli przenikać do Europy i odgrywać coraz to znaczniejszą rolę. Portem europejskim dla cukru była Wenecja, tak jak dla handlu śledziami — miasta hanzeatyckie.

W r. 1246 po raz pierwszy występuje cukier w rachunkach budżetu domowego królów angielskich. Drogę z Wenecji do Anglji cukier odbywa przez Ren i Flandrję, a prowadzą go potężni podówczas kupcy moguneccy. Powoli i Niemcy zaczynają interesować się tym produktem, a ośrodkiem handlu cukrem dla cesarstwa niemieckiego staje się Norymberga. W mieście tym odbywa się zaciekła walka między cukiernikami i aptekarzami, gdyż ci ostatni mieli dotąd faktyczny monopol na wyroby słodkie w rodzaju karmelków, syropów i t. p.

Gdy Kolumb po raz drugi wyruszał do Ameryki — było to w r. 1493 — zabrał z sobą i pewien zapas trzciny cukrowej, pochodzącej z Indyj Wschodnich. Ta właśnie azjatycka trzcina była surowcem, dostarczającym dotąd cukru. Przyjęła się ona w Ameryce, zwłaszcza na Kubie i San Domingo doskonale. Nastąpiła dla cukru nowa era. Opłaty portowe w Hiszpanji, pobierane od przywożonego z San Domingo cukru, tak dalece zasilały skarbiec cesarza Karola V, że był on w stanie zbudować za to wspaniałe pałace w Madrycie i Toledo, które i dziś jeszcze stanowią ozdobę Hiszpanji.

Dwie przypadkowe okoliczności bardzo przyczyniły się do znacznego powiększenia spożycia cukru. Jedną z nich było to, że gdy zdobywca Meksyku, okrutny Cortez, ulokował się w pałacu ostatniego władcy wolnego Meksyku, króla Montezuma, Hiszpanie po raz pierwszy spotkali się tam z napojem, znanym w Meksyku od czasów najdawniejszych: czekoladą. A sto kilkadziesiąt lat później, bo w połowie wieku siedemnastego, powstaje w Londynie pierwsza w całej Europie kawiarnia. W tych warunkach cukier zyskał sobie poważne i zapewnione już rynki zbytu.

Od chwili otwarcia tej kawiarni londyńskiej upłynęło lat prawie sto, gdy świat dowiedział się o epokowem odkryciu, zrobionem przez pruskiego uczonego, chemika Marggrafa. Interesował się on specjalnie rozmaitemi kombinacjami soków roślinnych. Przy jednem z doświadczeń — w roku 1747 — robi on sensacyjne odkrycie, że burak zawiera taki sam cukier, co i trzcina cukrowa. Na tej podstawie Marggraf pisze w swym memorjale, że „tę słodką sól możnaby wyrabiać i w naszych okolicach, zupełnie jak tam, gdzie rośnie trzcina cukrowa".

Uczeń Marggrafa, Achard, prowadził te badania dalej; założył on nawet plantacje doświadczalne buraków pod Berlinem. Klęska pożaru zmusza go do przeniesienia się na Śląsk, gdzie buduje cukrownię, która również pada pastwą płomieni. Achard zdołał jednak napisać wielkie dzieło o przyszłości cukru z buraków. Ale era pomyślności dla cukru z buraków nastała dopiero za czasów Napoleona; jego blokada kontynetalna odgrodziła Europę od dowozu z Anglji, cukier więc trzcinowy musiał być zastąpiony na całym lądzie przez buraczany.

Dziś na rynku cukrowym współzawodniczą z jednej strony Kuba i Jawa, które walczą i między sobą o teren zbytu, wyrabiają zaś cukier z trzciny, — a z drugiej strony liczne kraje europejskie, które wyrób cukru z buraka doprowadziły już do wielkiej doskonałości. Przed wojną światową, w r. 1911, walka o rynki zakończyła się, wyglądało to, że na czas dłuższy, wyraźnem zwycięstwem tych krajów, które wyrabiają cukier z buraka. Na ich czele kroczyły wtedy Niemcy. Wogóle zaś były to kraje europejskie.

Wybuchła jednak wojna światowa, produkcję cukru z buraka przerwano niemal całkowicie, a bezpośrednio po wojnie pola, na których jeszcze przed paru laty były wspaniałe plantacje buraków, zupełnie zarosły zielskiem. Zaczął się znowu okres wielkiego triumfu cukru trzcinowego. Wygłodzony przez wojnę świat pragnął dużo cukru. To też jego cena skoczyła na giełdzie nowojorskiej w r. 1920 do 11 i trzech ósmych centa na funt angielski, czyli około ćwierci dolara za kilogram, bez cła w dodatku! Była to cena nigdy dotąd nienotowana.

Gdzie tylko rosła trzcina cukrowa, zabrano się, wobec takiej ceny, do masowego wyrabiania cukru. Plantacje trzciny powiększały się z roku na rok. Ale już w r. 1930 plantatorzy stanęli wobec odwrotnego, niż przed dziesięciu laty, zjawiska. Składnice całego świata posiadały mianowicie 8 miljonów ton cukru, a nie było żadnych widoków sprzedania go. Spożycie cukru oddawna już nie mogło dorównać swym wzrostem skali zwiększenia się produkcji. Dlatego to w tymże 1930 roku giełda nowojorska notuje już cukier trzcinowy z Kuby mniej niżli cent za funt angielski, czyli dwanaście razy taniej, aniżeli w roku 1920! W tych warunkach wyrabianie cukru nie opłacało się nawet przy najbardziej pierwotnych, a więc najtańszych sposobach fabrykacji.
się.

J. W.

Pozorna śmierć — środkiem leczniczym

Leczenie gruźlików zamrażaniem

Czy możliwe będzie leczenie chorych na tuberkulozę przez zamrażanie pacjenta aż do osiągnięcia stanu pozornej śmierci, pozostawienia go w tym stanie przez szereg dni — a następnie przywołanie na nowo do życia?

Oto pasjonujące zagadnienie, które jest raczej tematem jakiegoś fantastycznego filmu niż rzeczywistością. Okazuje się jednak, że stosowanie takich zabiegów wobec chorych na gruźlicę jest zupełnie możliwe.

Zjawisko pozornej śmierci wskutek zamrożenia znane jest od wieków. Wiadomo, że zwierzęta zimnokrwiste mogą być zamrażane, a następnie przywracane do życia. Żaby, naprzykład, mogą przebywać przez dłuższy czas zamrożone w bryle lodu, poczem zaczynają żyć na nowo, kiedy lód stopnieje.

Jeśli chodzi o zwierzęta posiadające krew gorącą, to znamy zjawisko takie, jak sen zimowy zbliżony zresztą wskutek stanu długotrwałego odrętwienia do paraliżu. A zresztą czy podobnym bardzo wypadkiem nie jest katalepsja, podczas której ciało ma również temperaturę lodowatą, a przecież mimo wszystko czai się w człowieku wtedy iskierka życia?

Nad zagadnieniem zamrażania istot żywych panuje od dłuższego czasu doktór Turner, który otrzymał ciekawe wyniki w dziedzinie zamrażania ryb. Interesujących odkryć dokonał również Rosjanin, prof. Bachmetieff, który ustalił istnienie pewnych punktów krytycznych temperatury, poniżej których w wypadkach zamrażania następuje śmierć.

Bezwzględnie jednak najważniejszych odkryć dokonał amerykański lekarz — dr. Willard. Zwrócił on uwagę na to, jak ważną rzeczą jest niebezpieczeństwo nadmiernego „przemrożenia" mięśni. Podczas doświadczeń z zamrażanemi zwierzętami, dr. Willard zawsze zwraca uwagę na konieczność pokrywania ciała zwierzęcia tłuszczem, który chroni je przed zbytniem zmarznięciem. Stosuje on pozatem specjalne zastrzyki dożylne, które powodują, przy pobudzaniu na nowo do życia — łatwiejsze krążenie krwi. W skład zastrzyku wchodzi ściśle odmierzona doza białka. Jest to poniekąd warunkiem, gwarancją zachowania przy życiu.

Ważną także sprawą jest stopień temperatury, w jakiej ma się znajdować zamrożone zwierzę. Stan zamrożenia zwierzęcia można osiągnąć w temperaturze między 1,08 a 5,06 stopni poniżej 0. Punktem krytycznym jest w tym wypadku 5.06 stopni poniżej 0, przy zamrożeniu w temperaturze —5,07 stopni następuje śmierć. Po dokonaniu zamrożenia — mają następnie miejsce dwie również ważne czynności — określenie czasu trwania zamrożenia oraz szybkość przywrócenia do życia. Dla zwierząt przewidziany jest czas zamrożenia na przeciąg 22 dni.

A co to wszystko ma wspólnego z gruźlicą?

Otóż dr. Willard przeprowadził m. in. doświadczenia, mające na celu zaobserwowanie wpływu niskiej temperatury na zwierzęta zarażone gruźlicą. I tu właśnie osiągnął swoje wspaniałe wyniki. O ile bowiem zarazki gruźlicy — prątki Kocha, poddane same przez się zamrożeniu — nie giną przy najniższej temperaturze, to zato giną bardzo szybko wówczas, kiedy znajdują się w organizmie zamrożonego zwierzęcia. I mało tego, że giną; ale w dodatku w ten sposób organizm staje się zabezpieczony przed gruźlicą na przyszłość.

Odkrycie to otwiera przed medycyną nowe horyzonty.

Dotychczas nie dokonywano tego rodzaju doświadczeń na ludziach. Natomiast przeprowadzono badania na świnkach morskich psach i małpach, które, jak wiadomo, mają organizm zbliżony do ludzkiego i otrzymano wyniki dodatnie. Ostatnio dr. Willard otrzymał kilkanaście zgłoszeń ludzi chorych na gruźlicę, którzy oświadczyli, że chcą się dać zamrozić, byle tylko pozbyć się gruźlicy. Jak dotychczas jednak dr. Willard nie zgadzał się na prowadzenie doświadczeń na ludziach, prowadząc dalej, coraz bardziej szczegółowe badania.

Jak wygląda przebieg procesu zamrażania?

Zwierzątko usypia się eterem, a następnie poddaje działaniu niskiej tempertury, poczem zostaje ono umieszczone w pokoju o chłodnej temperaturze. Po określonej ilości dni następuje przywrócenie do życia przez umiejętne rozgrzanie. W parę godzin później objekt czuje się już doskonale, a w dalszym ciągu obserwacji wykazuje poprawę zdrowia i przyrost wagi.

Dr. Willard oświadczył, że dokonanie takiego eksperymentu, dającego szansę wyleczenia, na człowieku, którego stan nie pozostawia nadziei mogłoby nietylko przyczynić się do ocalenia skazanej na śmierć jednostki, ale także oddać wielką usługę wiedzy medycznej i całej ludzkości. Spodziewa się on, że za kilka lat będzie mógł przystąpić do takiego doświadczenia.

Perfumy i kwiaty

które przynoszą szczęście w miłości

W starych księgach, pisanych przez astrologów znajdują się wśród przepowiedni o losach ludzi urodzonych pod takiemi czy innemi znakami Zodjaka — również i wskazówki, jakich wonności powinny używać kobiety, zależnie od tego, pod jakiemi planetami się rodziły — jeśli chcą, by sprzyjało im szczęście w miłości. Niewątpliwie temi radami zainteresuje się każda pani, tak samo, jak przejmowały się niemi piękności z epoki Renesansu.

A więc — cóż mówią gwiazdy o woniach sprzyjających miłości?

Jeśli ktoś urodzony jest między 21 stycznia 20 lutego, niechaj perfumuje się wonią mimozy lub fiołków. Urodzeni między 21 lutym a 20 marca — powinni perfumować się zapachem fiołków. Ci, którzy przyszli na świat między 21 czerwca a 20 kwietnia — niechaj pamiętają, że szczęście będzie im sprzyjać, jeśli perfumować się będą goździkami. Natomiast urodzeni między 21 kwietnia a 20 maja — powinni używać werweny lub bzu, podczas kiedy zapach konwalji lub akacji przynosi szczęście w miłości tym, którzy przyszli na świat między 20 maja a 20 czerwca.

Zapach kwiatu irysu oraz białego bzu wskazany jest dla osób urodzonych między 21 czerwca a 20 lipca, a dla tych, którzy ujrzeli światło dzienne między 20 lipca a 20 sierpnia — uprzywilejowanemi zapachami są heliotrop i lawenda.

Zapach hjacyntu i jaśminu — wskazane są dla osób urodzonych między 21 sierpnia a 20 września, zaś dla urodzonych między 21 września a 21 października — woń róży. Urodzeni między 21 października a 20 listopada — niechaj używają woni wrzosu, urodzeni między 21 listopada a 20 grudnia — fiołków, między 21 grudnia a 20 stycznia — gardenji.

Należy wiedzieć, że drogocenne kamienie przynoszą również szczęście oraz sprzyjają powodzeniu. Każdy kamień posiada swoje specjalne zalety, które powinny wziąć pod uwagę panie, lubiące klejnoty i — panowie, którzy klejnoty damom ofiarowują.

Szafir — jest to symbol szczerości, prawości charakteru i umiłowania sprawiedliwości. Przynosi spokój serca i chroni od gwałtownego gniewu.

Ametyst — miły, ładny kamień o fioletowym odcieniu — chroni od pijaństwa i od upicia się. Dlatego w starożytności podczas uczt spijano wino z czar ametystowych. Pozatem ametyst odpędza złe myśli, uspakaja namiętności, wznieca bystrość umysłu, niweczy smutki i przeciwdziała skutecznie złorzeczeniom. Zapewnia także przychylność możnych tego świata i — sprzyja macierzyństwu.

Akwamarina zapewnia wzajemność osobie, która kamień ten ofiarowuje. Ponadto wzbudza optymizm i usuwa złe myśli.

Rubin — przynosi szczęście w małżeństwie i mądrość. Chroni przed smutkiem i zaraźliwemi chorobami.

Diament — daje temu, kto go nosi męstwo, siłę, radość i czystość duszy. Sprawia, że ten kto go nosi, pozostaje do końca wierny zobowiązaniom i jest długo kochany. Trzeba jednak pamiętać, że aby spełnił to wszystko — należy nosić na palcu tylko jeden pierścionek z djamentem. Jeśli natomiast djament noszony jest razem z rubinem — wówczas przynosi wielkie szczęście w miłości, ale jednocześnie grozi tragedją z tego powodu.

Topaz — jasno - żółty kamień, znany jest również pod nazwą chryzolitu. Ma te właściwości, że chroni przed trucizną i daje sny, które sprawdzają się. Pozatem leczy bezsenność i broni przed głodem.

Turkus — chroni od wypadków, uwalnia od fałszywych przyjaciół, przynosi szczęśliwe małżeństwo i duży spadek.

Szmaragd — usuwa lęk, oddala złe sny, przynosi mądrość i zdrowie oraz powodzenie w sprawach pieniężnych i handlowych.

Tak mówią o woniach i klejnotach stare księgi.

Największy zegar świata

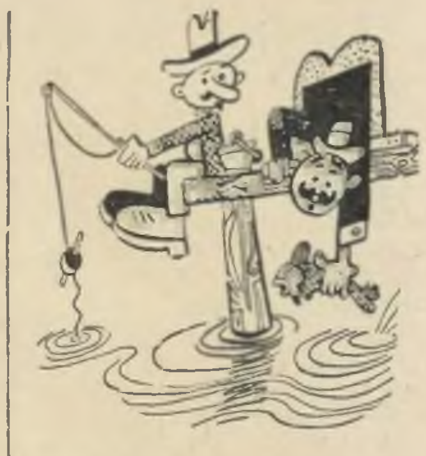
W Afryce Południowej, na aerodromie w Germiston zainstalowany będzie największy na świecie zegar elektryczny, przeznaczony specjalnie jako wskaźnik i znak dla samolotów odbywających loty na tej trasie. Średnica tego zegara - olbrzyma wynosić będzie 10 metrów. Mała wskazówka będzie miała 4,4 mtr długości, duża zaś — 5 metrów. Zegar będzie w nocy oświetlany i lotnicy będą mogli zobaczyć, która godzina już z wysokości 1000 metrów.

WESOŁE ABC



KIEPSKIE CZASY

— O, że kasa rozpruta, to glupstwo, boję się tylko, żeby ten łobuz nie rozbębnił po mieście, że nie mamy pieniędzy.



SPORT WĘDKARSKI

— Teraz się nie dziwię, że nic złapać nie mogę, skoro ty urządzasz z rybami jakieś głupie witze.

Trudy abstynencji

Jeżeli początkującemu alkoholikowi przyjdzie ochota zrobić na jakiś czas przerwę w popieraniu monopolu i zabawić się w abstynencję, wówczas oczekują biedaka trudne przeprawy.

Naród pijacki bowiem czuje nienawiść do renegatów i posiada różne sposoby egzekutywy na tępienie ich abstynencji.

Pijacy mają swój wywiad.

Jeśli pojawi się w knajpie renegat, wyczują go na odległość.

— Podobno Milski od tygodnia nie pije.

— Co mówicie, czy to fakt? — podają sobie tę wiadomość z ust do ust.

— Tak, podobno przestał naprawdę.

Po chwili postać pana Milskiego zaczynają otaczać prowokatorzy.

Zadaniem ich jest przerwać za wszelką cenę abstynencję, która równie jest zaraźliwa, jak alkoholizm.

— Słyszałem, że od tygodnia nie pijesz? — zapytuje pierwszy z przyjaznym uśmiechem.

— Tak, przestałem, doszedłem do wniosku, że wódka mi szkodzi — odpowiada pan Milski.

— I długo masz zamiar nie pić? — rzuca prowokator podstępne pytanie.

I teraz jedno z dwojga: jeżeli abstynent odpowie, że ma zamiar nie pić przez resztę swego żywota, to wtedy łatwiejsza sprawa. Oznacza to bowiem wielką desperację, na którą najlepszem — jak wiemy lekarstwem jest wódka.

Jeśli natomiast oznajmi, że ma zamiar nie tykać kieliszka przez miesiąc, to znaczy, że nie jest jeszcze odszczepieńcem zupełnym i że można mu będzie to wyperswadować.



Pijący więc proszą pana Milskiego do swego grona i zaczynają podważać jego samopoczucie.

— Trzeba przyznać, że nie świetnie wyglądasz, zmizerniałeś.

— Dawno nie pijesz?

— Od tygodnia.

— Przed tygodniem lepiej wyglądałeś, wódka jednak trzyma.

— Przedewszystkiem dezynfekuje przewody pokarmowe i zabija bakterje — wtrąca jeden z prowokatorów.

— Chroni przed grypą — dodaje drugi.

— Odświeża umysł i daje pogodę myślenia — przypomina trzeci.

— Oczywiście, to co mówimy, to są wszystko żarty — uspokaja delikwenta czwarty prowokator — skoro postanowiłeś nie pić, to nie pij, w każdym razie nie bierz zbyt przesadnie szkodliwości wódki, nie jest tak zła, jak ci się wydaje.

— Zagranicą piją znacznie więcej — informuje któryś z pijaków.

W międzyczasie kelner ustawia kieliszki. Abstynent oczywiście odwraca swój kieliszek podstawką do góry.

— Nie będę pił — oświadcza ponuro.

— Możesz nie pić, ale kieliszek może stać nalany, cóż ci to przeszkadza? — prowokują pijacy.

— Dobrze, niech sobie stoi...

Kelner napełnia kieliszek zdrajcy. Połowa sprawy jest już załatwiona.

Po pewnym czasie, któryś z obecnych wznosi toast:

— No, twoje zdrowie — zwracają się wszyscy do abstynenta.

— Wybaczcie, ale ja nie piję — obstaje tamten przy swojem.

Wtedy pijacy uderzają w niego prośbami:

— Napij się, cóż ci szkodzi, dla towarzystwa.

— Nie bądź uparty.

— No, wypij tylko ten jeden...

Jeżeli abstynent wypije tylko ten jeden, to przez to samo stanie się innym człowiekiem, (otrzyma inny skład chemiczny), który zapragnie zaraz wypić drugi. Wiedząc o tem abstynent, mówi tonem zniecierpliwienia.

— Nie nudźcie mnie, pijcie sami.

Wtedy pijacy wyciągają jeszcze jeden towarzyski argument.

— Będziesz się źle czuł. Nie będziesz dostrojony do towarzystwa, bez wódki będziesz ponury i popsujesz nam całą zabawę i t. d.

Jeżeli i to nie skutkuje biją na oszczędność:

— Patrz, nie wypiłeś dotąd, wódka się zmarnuje.

— Wypijcie za mnie.

— Nie, to kieliszek dla ciebie nalany, tylko dla ciebie, kochany, drogi przyjacielu...

Jeśli jego upór przetrwa te wszystkie namowy, to wtedy pijacy zaczynają go straszyć:

— Stracisz stosunki.

— Bez wódki nic się w Polsce nieda zrobić.

Ludzie odsuną się od ciebie i wkońcu cię znienawidzą.

— Rozchorujesz się, wódka przeciwdziała wielu chorobom.

— Wyleją cię z posady.

— Zredukują.

— Bo nic po takim obywatelu, co nie ratuje naszego budżetu.

Jeżeli i te argumenty nie poskutkują, to abstynent jest bliski zwycięstwa.

Musi jedynie uważać, żeby nie wejść do baru w pojedynkę i nie wytrąbić ni stąd ni zowąd angielki czystej (do lustra). Ale tak twardych ludzi jest w Polsce niewielu, możnaby ich policzyć na palcach. Chciałbym spotkać takiego jednego. Przyjemnieby było z nim popić.

Jur.

SZKOCI

Dwaj Szkoci Jim i Johny udali sie na wycieczkę w góry.

W pewnej chwili pod Johnym skruszyła się skała. Na szczęście Johny zdążył schwycić rękami występ skalny i zawisł nad przepaścią.

— Jim — wołał przerażony, — biegnij do wsi i przynieś sznur, tylko prędko bo długo się tak nie utrzymam.

Jim pobiegł co tchu do wsi. Po godzinie wraca zdyszany i nachyla się nad przepaścią.

— Johny — krzyczy do towarzysza, który trzymał się resztkami sił, nic nie da się zrobić, oni nie chcą oddać sznura taniej, niż za 2 pensy.

WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE

Piszkies i Malowańczyk spotykają się w sali restauracyjnej małego prowincjonalnego hotelu.

— Powiedz pan panie Piszkies, czy u pana w łóżku też jest tyle robactwa?

— Co znaczy tyle? Zależy od tego ile jest u pana.

„NASZE" DZIECI.

Pani Kopelmanowa wyszła na spacer ze swą pięcioletnią córeczką Jolantą.

— Mamusiu, niech mi mamusia kupi czekoladkę za pół złotego!

— Nie mam pieniędzy.

— Niech mamusia, kupi, to później mamusia mi to odliczy z posagu!

Rozmówki

Ojciec: — Stasiu, dlaczego nie powiedziałaś mamie, że byłeś w szkole karany?

Synek: — Nie powiedziałem, bo kobiety nie powinny o wszystkiem wiedzieć.

Dozorca więzienny do zwolnionego więźnia:

— Dzisiaj opuszczasz więzienie.

Więzień: — Ach, mój Boże, cóż takiego przeskrobałem? Trzeba być bez sumienia, by w tak ciężkich czasach wyrzucać kogoś na bruk.

— Bardzo byłbym zadowolony, gdyby pan swego psa oddał komuś. Wczoraj znowu zaczął wyć, gdy moja córka śpiewała!

— Bardzo mi przykro, ale ona pierwsza zaczęła!

— Ile oskarżona ma lat?

— Trzydzieści pięć...

— To niemożliwe...

— O! Pan sędzia mi pochlebia...

— Pan już wrócił z Pragi, ładne miasto?

— Owszem, ładne. Tylko że za dużo Czechów!

— Ja, proszę pana w najzimniejsze noce sypiam przy otwartem oknie!

— Nieprawda! Wczoraj przechodziłem koło pańskiego domu i widziałem, że wszystkie okna były zamknięte.

— Przepraszam bardzo, a czy wczoraj była najzimniejsza noc?

— Ile kosztuje ta maszyna?

— Osiem tysięcy.

— Hm...

— Płatne w ośmiu ratach miesięcznych.

— Hm...

— Dla pana w dwunastu ratach.

— Hm...

— Ostatecznie... po 500 zł. miesięcznie.

— A gdybym odrazu zapłacił?

— W takim razie... pan wybaczy, ale musielibyśmy przedtem zasięgnąć informacji o panu.

— Jeżeli będę miał syna pozbawionego inteligencji oddam go do szewca.

— Widzę, że pan ma na tę sprawę inny pogląd niż pański ojciec.

— Ona: — Czy cieszysz się żeśmy się już zaręczyli?

— On: — O tak! To będzie dla mnie odpoczynek. Będę się mógł teraz całkowicie poświęcić grze w golfa.

— Bardzo mi przykro, ale ten taniec obiecałam już komu innemu. No niech pan się nie dąsa, przedstawię pana ślicznej pannie.

— Ależ panno Edyto, ja nie chcę tańczyć z żadną śliczną panną, tylko z panią.

— Panie Kon, czy u pana jest też tyle robactwa?

— Co znaczy tyle, zależnie ile jest u pana...

— Słyszałem, że umiesz wywoływać duchy.

— Owszem, umiem.

— No i cóż?

— Nic, nie przychodzą.

ZAKŁAD.

W falach Missisipi tonie człowiek. Ostatkiem sił, walczy o życie, starając się wypłynąć. Na brzegu dwóch Jankesów zwyczajem amerykańskim robi zakład:

Wypłynie, czy nie wypłynie.

Nagle zjawia się trzeci osobnik i zrzuciwszy ubranie, chce skoczyć do rzeki, aby ratować tonącego.

— Tylko bez pomocy! — wołają tamci — gra musi być czysta!...

Rozmaitości

Pani Wala jest interesująca kobietą:

Najpierw kochała się nieszczęśliwie, później była szczęśliwa narzeczoną, potem nieszczęśliwie wyszła zamąż, a teraz jest szczęśliwą rozwódką.

— Utrzymuje pan zatem, drogi panie, że jest pan całkowicie normalny. Otóż pierwszem zadaniem lekarza - psychjatry jest właściwie uleczyć pana z tego obłędu.

Potrzeba jest matką wynalazków a macochą uczciwości.

Powiedz mi co jadasz, a powiem ci jak daleko jest do pierwszego.

Mówiono o starym pośle:

— Nie przychodzi na posiedzenia. Jest bardzo cierpiący; na wpół ogłupiały...

Ktoś zauważył: — Wiedzie mu się więc lepiej...

Dwóch mężczyzn weszło do apteki pana M. i zapytało, czy może im zmienić banknot dwudziesto złotowy.

W chwili, gdy pan M. wziął banknot i otworzył kasę... skamieniał na widok dwóch rewolwerów, skierowanych w jego pierś.

Bandyci porwali zawartość kasy 10 zł. 50 groszy i uciekli, zostawiwszy przerażonego pana M., zostawiając w jego ręku dwadzieścia złotych.

* * *

Za lat 20 nie będzie genjuszy, będą **fosgen - juszene**. nie będzie rysowników — będą iperyto-wnicy, nie będzie chlorodontu, będzie chlor.

* * *

— Poczemu są tu obiady?

— Po 4 zł. 50 i 5 zł. 50.

— A jaka jest między niemi różnica?

— Jeden złoty.

Anegdoty

OSTROŻNOŚĆ

Pan Leszek Rubinsztajn został nareszcie właścicielem upragnionej limuzyny. Z tego powodu był niezmiernie dumny i nie mówił o niczem innem jak tylko o swej maszynie i jej zaletach.

Pewnego razu spotyka go znajomy i staje zdziwiony: Rubinsztajn zziajany i spocony ciągnie swoje auto na sznurze:

— Co się stało? — pyta znajomy — czy motor się popsuł?

— Skąd znowu! Mój motor?!

— Benzyny zabrakło?

— Nie.

— Tylko co?

— Zapomniałem w domu prawo jazdy!

KIBIC

Pan Paznower gra w karty. Za nim stoi kibic, który z uwagą śledzi przebieg gry.

Nagle zdenerwowany kibic wymierza Paznowerowi siarczysty policzek.

Paznower odwraca spokojnie głowę i pyta:

— A na jaką kartę miałem grać?

POKREWIEŃSTWO KRWI

Królowa angielska Wiktorja przyjęła pewnego razu na audjencji „Królowę" jednej z wysp należących do Anglji.

— W moich żyłach płynie angielska krew — rzekła nie bez dumy egzotyczna znakomitość.

— Niemożliwie! — Jakto — pyta zdziwiona królowa.

— Mój dziad zjadł angielskiego generała Millera.

ODWROTNY EFEKT

Pan Hilary Zasobnicki (dawniej Herszek Gewinman) oddał swego synka do Kolegjum Pijarów w jednem z miast galicyjskich, gdyż raził go niemożliwy do słuchania przeciągły akcent małego Wicusia.

Po roku pan Hilary odwiedza synka w kolegjum. Właśnie zbliża się do bramy zakładu, przed którą stoi jakiś zakonny braciszek.

— Przepraszam, czy ksiądz nie mógłby mnie skierować do Wincentego Zasobnickiego.

— Czemu nie? Panie! Dlaczego miałbym ausgerechnet nie skierować, dlaczego?...

WIARA

Jakób Lewi często przyjmował u siebie rabina. Przy obiedzie rozmawiali o interesach, a nawet prowadzili dysputy filozoficzne. Raz rabin zapytał:

— A gdyby żona pańska była niemową i nagle odzyskała mowę, czy i wtedy nie uwierzyłby pan w cud Jehowy?

— Nie, rebe, ale gdyby nagle oniemiała i została niemową, to wtedy uwierzyłbym!

EGOISTA

Ojciec, matka i mała córeczka udają się w niedzielę na spacer. Przechodzą obok wagi osobowej. Właściciel wagi nawołuje:

— O, tu najlepsza lekarska waga za jedne pięć groszy, waży na kila i deka.

Ojciec wchodzi na wagę. Córeczka patrzy na niego z żalem, aż matka się zlitowała i mówi:

— Stary! Nie bądź taki egoista, weź dziecko na rękę!

PRAWO KRÓLA

Pewnego razu Ludwik XIV pokazał poecie Baileau jakieś wiersze pytając go, co o nich sądzi. Poeta otwarcie powiedział, że wiersze są bez żadnej wartości. Król na to:

— To ja je napisałem.

— Wszystko w porządku! — odpowiedział Boileau. — Król jest jedynym człowiekiem, któremu wolno pisać nędzne wiersze.

POZNANIE KRAJU

Dziesięcioletni Polak, urodzony w Ameryce, przyjechał z ojcem po raz pierwszy w życiu do Polski. Ojciec pragnął zwiedzić kraj i chciał również, aby synek poznał swą ojczyznę, którą znał dotąd tylko z opowiadania.

Po drodze do swego rodzinnego miasta emigrant wstąpił do Warszawy, gdzie zamieszkał przy ulicy Gęsiej.

Po paru dniach pobytu w stolicy, pyta się syna. — No Kaziu jakże ci się podoba Polska?

Na to Kazio:

— Owszem tatusiu, bardzo mi się tu podoba, tylko że u nas w Detroit, to więcej na ulicy słychać polskiego języka, niż tutaj.

PRAWO

Pan Teofil Ździbko staje przed sądem oskarżony o kradzież.

Oskarżonego broni zdolny adwokat. Dzięki doskonałej obronie, Ździbko zostaje uniewinniony.

Adwokat wraz z klientem opuszczają gmach sądu.

Po drodze adwokat powiada do klienta:

— Dobrze pana broniłem, co?

— Wielka sztuka! — powiada Ździbko. — Gdybym wiedział, że jestem taki niewinny, jak pan mecenas dowodził sądowi, tobym wogóle nie brał adwokata!

HUMOR MARSYLSKI

Bawiąc na gościnnych występach w Marsylji Caruso zamieszkał w małym hoteliku na Cannebière.

Pewnego dnia rano wszedł do pokoju jakiś człowiek usmarowany sadzami.

— Przyszedłem oczyścić kominek — powiedział do Carusa, który właśnie powtarzał rolę. — Nie będę panu przeszkadzał i zabrał się do roboty, pogwizdując wesoło.

Caruso zniecierpliwiony podszedł doń i rzekł podniesionym głosem:

— Czy wiecie, mój człowieku, że znajdujecie się w obecności pierwszego tenora na świecie?

Na to tamten z dobrodusznym, uśmiechem:

— Jak to dobrze się składa! Ja jestem pierwszym kominiarzem w Marsylji.

O TRISTAN BERNARDZIE.

Opowiadają, że Tristan Bernard przyjął u siebie pewnego młodego autora, który uprosił mistrza o pozwolenie przeczytania mu swego utworu. „Mistrz" zasiadłszy w fotelu, słuchał...

Lecz w pewnym momencie wybuchnął śmiechem. Młody autor podniósł głowę z nad rękopisu.

— Mistrzu! Więc panu się podoba!!!

— Najmocniej pana przepraszam — zaczął się tłumaczyć Tristan Bernard — lecz przypomniałem sobie zabawną historyjkę, którą mi dziś rano opowiadała stróżka.

SPEŁNIONE MARZENIA

Do znakomitego reżysera Reinhardta przyszedł pewnego dnia jakiś młodzieniec i kładąc na biurku olbrzymi plik papierów powiedział:

— Panie Dyrektorze, przynoszę panu do przejrzenia moją nową tragedję...

Reinhardt wziął rękopis, przeczytał kilka kartek i spytał:

— Wspaniała rzecz! Czy to pański utwór?

— Tak — odparł młodzieniec rumieniąc się.

— To cudownie się składa! i woła Reinhardt wzruszonym głosem, chwytając go za ręce! Już oddawna marzyłem o tem, żeby pana poznać, panie... Goethe!...

SZTUKA

Atelier słynnego malarza Degasa było zwykle zupełnie puste. Gdy przyjaciele pytali go, gdzie są jego obrazy, malarz odpowiadał zazwyczaj:

— Prawdziwy Degas kosztuje pół miljona. Na taki luksus nie mogę sobie pozwolić.

AU RALENTI.

Znakomity cywilista mecenas X. znany jest z tendencji do przewlekania w nieskończoność spraw, które prowadzi.

Pewnego razu zgłosił się doń pewien klient, powierzając mu jakąś bardzo skomplikowaną i nijasną sprawę.

— Czy pan mecenas sądzi, że przegram ten proces? — zapytał.

— Pan nie, — odparł adwokat — ale pańskie wnuki!